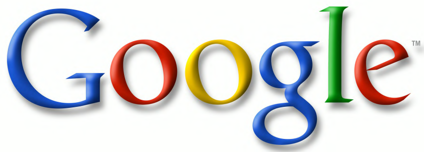
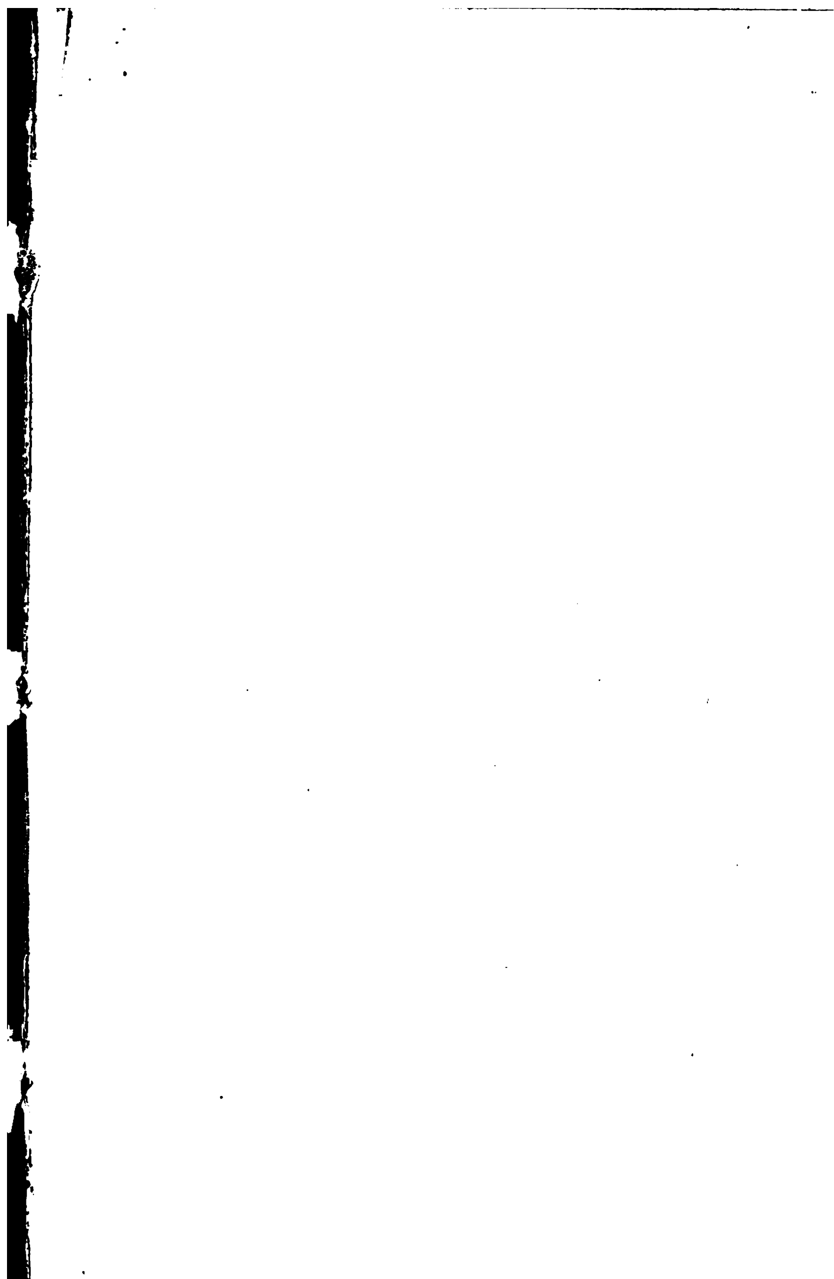









LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XLII.

POEZJE

KORNELA UJEJSKIEGO.

NOWE WYDANIE Z WYBORU AUTORA.

TOM PIERWSZY.



1866.

CO MOGŁEM.

ZMARŁYM ZA OJCZYZNĘ,

ŻYJĄCYM DLA NIEJ,

CO JEST Z BOLU I Z WIARY POLSKIEJ

W MOICH POEZJACH,

POŚWIĘCAM.

SPIS RZECZY.

SKARGI JEREMIEGO.

DROBNE POEMATA I URYWKI.

MELODYE BIBLIJNE.

SKARGI JEREMIEGO.

(r. 1846.)

9\. .... widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które o niem mieli.

10\. I wołali głosem wielkim, mówiąc: Czemuż wżdy miły Panie, któryś jest święty a prawdziwy, nie sądzisz a nie pomścisz się krwi naszej nad temi, którzy mieszkają na ziemi?

11\. A dano z nich każdemu po szacie białej i powiedziano im, aby jeszcze w spokoju byli do czasu małego, ażby się dopełnił poczet spółsług i braci ich, którzy mają być pobici jako i oni.

Apokalipsis Roz. VII.

SŁOWO JEREMIEGO.

Jeremi sługa Ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
I patrzał w swoją matkę co pod jego okiem
Płonęła, nito lampa przykryta obłokiem,
I dumał nad jej życiem tak bladem i niskiem.
Aż oto światłość owa czerwieńszym połyskiem
Buchnęła, i gwar dziki powiał od niej nagle...
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu.......

Patrzę.... moją ziemię
Krew zlała!... to wróg moje pomordował plemię.

Jeremi sługa Ludu, syn ziemi natchniony,
Co wzleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
Uczuł jak krew płynęła z jego dawnej rany,
Bo z braćmi pobitemi był sercem związany,
A więc upadł z obłoków — bo swej krwi kropelkę
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...

Bo zapragnął na biednej matki swojej łonie
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego Ojców biły łuny krwawe,
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrzawę;
Pośród ogniów, szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za niemi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga strącona karaniem nie Bożem:
Gdzie przeszła zapadały domy — groby rosły!

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni,
I mniemał że miecz dzierży archanielski w dłoni;
I okiem iskier pełnem spojrzał po narodzie,
I mniemał że w nim duszę odbije jak w wodzie.
A przy drogach jak stare pochylone słupy
Sterczeli ludzie — spojrzał im w twarz — żywe trupy!
Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I widząc to Jeremi spłonął strasznym gniewem,
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem;
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,
I mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem obwiany,
Uderzył w hymn jak jego serce potargany.

PIEŚŃ ZEMSTY.

Razem głosy, dłonie razem
A nie próżne dłonie;
A ty zahucz nam na ucztę
Sycylijski dzwonie!

Już od dawna chytry wróg
  Krwią frymarczy Laszą,
Naszą krzywdę święcąc Bóg,
  Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu:
Zemsta mu!

Pan miłuje zapał siły,
  Nie bezmocy trwogę;
On rzekł: «Kto sobie pomaga,
  «Temu dopomogę.»
Wżdy z pod stopy lichy płaz
  Na wolność się pręży,
Mamyż leżyć jako głaz
  Gdy nas wróg ciemięży?
Hej! olbrzymów dawna krwi obudź nas ze snu:
Zemsta mu!

Wróg, podobny do onego
  Zdeptanego węża,
Jednych kusi, drugich truje
  A wszystkich rozprzęża.
Póty jemu w świecie stać,
  Póki mętne matnie;
A więc on na rodną brać
  Zbroił dłonie bratnie!?
Za tysiące spadłych głów na katowskim pniu
Zemsta mu!

I wróg jak dziki satrapa
  Hańbi nasze córki,
I przy pieśni niewolników
  Szare kręci sznurki;

Potem w ziemię wbija słup,
  Porywa nam syna
I na czarnych ptaków łup
  Na sznurku upina......
Więc za każdą taką nić skrwawionego lnu:
Zemsta mu!

Słowo święte, słowo wiary
  Wróg oddechem ziębi,
A więc pieśń o zemście naszej
  Skryjmy w serca głębi:
A tam tajnie niechaj w niém
  Jak wulkan się chowa,
(Tak w pieczarach dawny Rzym
  Skrywał prawdy słowa),
Aż wyleci kiedyś w świat nakształt pieśni chrztu:
Zemsta mu!

A Ty Panie! co w Swym ręku
  Ważysz nasze losy,
Boże wielki! dla tej pieśni
  Otwórz Swe niebiosy!
A gdy przyjdzie ów dzień nasz,
  Ów dzień upragniony,
Ty aniołom swoim każ
  W cztery świata strony
Na miedzianych trąbach grzmić hasłem w onym dniu:
Zemsta mu! zemsta mu! zemsta mu!

I odśpiewał Jeremi tę pieśń rwiącą szałem,
I wychylił się za nią duszą, sercem całem,
Drgnął naród! — lecz za chwilę ściągnięty łańcuchem
Znowu opadł — bo Bożym nie odetchnął duchem,

I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.
A Jeremi gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,
Za śladem skruszonego króla i proroka
Chciał zapłakać — i ręką gdy sięgnął do oka,
To zamiast łzy, krew sępia spłynęła mu z powiek:
I poznał że u Boga niżej stał — niż człowiek!
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił
I Panu na ofiarę całą duszę palił,
I przed progiem kościoła długo pokutował;
Aż w końcu Pan w litości język mu rozkował,
Ażeby modląc Jego — imię Jego chwalił.

O mój Ludu! krwią moją są te pieśni moje!
Jam je jak w arkę świętą złożył w ręce twoje;
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych żyłach płynie,
Niech wrogom urągając w tobie nie zaginie,
A innego pręgierza nie trzeba dla wroga.....
Dla szatana najsroższą karą — «CHWAŁA BOGA!»

NOC NATCHNIENIA.

MODLITWA WSTĘPNA.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
  Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
  Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
  Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
  A wiatr leciuchny muska im włos.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
  Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
  Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
  Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
  Na nim chleb biały i sól i miód,
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
  Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
Puharem stoi jedno — drugie morze...
  Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi Lud się położył
  Lew — co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
  Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
  I w słońcu wiary błyskał jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy
  Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
  Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
  Zbójca-grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
  Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy krusząc pęta,
  Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
  By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno — w drugie morze...
  Mój Boże — mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu
  Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha — liść winogradu
  Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
  Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
  O gwiazdach spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze!....
  Mój Boże — mój Boże!...

I.

OJCZE NASZ.

Na gwiazdach oparty, z za obsłon błękitu
  O Panie! przeglądnij nas okiem,
Patrz! ile tu śmiechu, zwątpienia i zgrzytu
  Pomiata cierpieniem głębokiem!
Jak życie Twych ludów opaczną szło drogą
  Na uździe ciemiężców, pod biczem!
To ziemię zhańbioną — w otchłanie trąć nogą!
Nie umie być wolną — niech będzie znów niczem!
  O zniszcz nas lub podnieś! wołamy do Ciebie,
    «*Ojcze nasz, któryś jest w Niebie!*»

Niech światło Twej łaski ród wzniesie zdeptany,
  Jak księżyc co morze podnosi,
Z ołtarzów i z tronów strąciwszy bałwany,
  Niech Ciebie za Pana ogłosi;
A ludy gdy znamion pozbędą się pychy
  Za Tobą polecą jak roje,
Miodowe zapasy gromadząc w kielichy....
    «*Święć się Imię Twoje!*»

Niech ludy, co w wiecznym trapiły się boju,
  Odetchną w braterstwie i zgodzie;
Niech rosną w tak zgodnej równości, w pokoju,
  Jak rosną szuwary na wodzie;
Niech miłość i wolność opaszą tę ziemię,
  Jak wiecznie zielone powoje;
Niech jeden Bóg będzie — cel jeden — i plemię...
    «*Przyjdź Królestwo Twoje!*»

O, wtenczas to, wtenczas żyć byłoby warto
  Swobodnym pod Twoją opieką!
Dziś, kiedy nam przyszłość niewolą zaparto,
  Napróżno bijemy o wieko;
Dziś naszej pokory rozkrusza się zbroja,
  Dziś słowy jąkamy cichszemi:
    «*Bądź wola Twoja*
    Jak w niebie tak i na ziemi!»

To zeszlij o Panie! nam Swoich proroków,
  Co w wielkiem zwątpieniu człowieczem
Rzucają pociechę jak mannę z obłoków,
  A słowem wojują jak mieczem!
I daj im stal w piersi, grom w głosie, skrę w oku,
  A kieruj ich okiem i głosem;
Na Pańskiej biesiadzie umieść ich przy boku,
  Niech pierś Twą obwiną swym włosem,
I nasyć nas wszystkich pokarmem aniołów —
  A w gniazda hyeny i rysia
Z odwagą pójdziemy wstawszy od Twych stołów....
    «*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.*»

To wytęp tych czarnych szatańskich handlarzy
  Co kupczą głowami swych braci,

Za które im tyran uśmiechem na twarzy,
  Srebrnikiem lub blaszką zapłaci.
To wytęp ich Panie! bo ręka człowieka
  Na karę tak wielką za miękka,
I od nich jakoby od trądu ucieka
  I skalać dotknięciem się lęka.
A nikt ich nie karci, nikt Panie! prócz śliny
  Wyplutej na czoła tym zdrajcom —
    «*I odpuść nam nasze winy*
    «*Jako my odpuszczamy naszym winowajcom.*»

Wielbiony niech będzie, kto tyle ma męztwa,
  Że zamiast zasłonić się zbrodnią,
Sam siebie rozpina na krzyżu męczeństwa,
  Sam stos swój zapala pochodnią!
To dodaj nam siły, bo w trudnej tej walce
  Nieprawi przewagą się szczycą,
Nad niemi potęga, znaczenie — i chwalce
  Wzlatują jak sępy nad lwicą.
A wiernym w ślad idzie ubóstwo, strapienie
  I praca dla chleba dziennego —
    «*I nie wodź nas na pokuszenie*
    «*Ale nas zbaw ode złego*»

AMEN.

II.

SMUTNO NAM BOŻE!

Od Twego ludu, co w mękach umiera,
Ostatnia może dochodzi Cię skarga,
Bo nas już robak toczy i pożera
I serce targa;
Bo tylko próchno świeci w naszej korze....
Smutno nam Boże!

Choć nas Twój palec ostrzega strażniczy,
Dzieci-sieroty błądzimy śród grzechów,
Ależ my Panie! wypili goryczy
Krocie kielichów,
Ależ my Panie! wyleli krwi morze....
Smutno nam Boże!

Na naszych braci palące się stosy,
Na naszych synów pragnących na palu,
Gromy dorzucasz.... miast chłodu i rosy!
Och, toż my w żalu

Wołamy gardłem zakutem w obrożę....
Smutno nam Boże!

Pełni jesteśmy płaczu i żałoby
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,
I znieważając wodzów naszych groby
Plwać na nie będzie;
Że nasze kości po świecie rozorze....
Smutno nam Boże!

Że dotąd dębom skołysanym nocą
Ojczyste słowa szeleszczą nad głową,
Że w całej ziemi jaskółki świegocą
Rodzinną mową,
A wielu synów pogardza nią może?...
Smutno nam Boże!

Że wszelkie ptactwo co w obcy kraj leci,
Wiosną, łańcuchem pieśń powrotu nuci,
A z naszych braci pędzonych w zamieci
Żaden nie wróci!
Ciałami tylko wytyczą bezdroże....
Smutno nam Boże!

Że wróg w lichwiarskie porwał nas objęcie:
Łzami — perłami naszemi frymarczy,
A my bezsilni! — i znać już pęknięcie
Na naszej tarczy;
Że wrogów na niej nie kruszą się noże....
Smutno nam Boże!

I już więc nigdy, Panie, nie pocieszysz
Lud twój pokutny? — więdniemy jak liście
Pod Twojem okiem, a Ty nie przyśpieszysz
Zbawienia przyjście?!
Toż choć przed Tobą klękamy w pokorze....
Smutno nam Boże!

III.

ELI, ELI, LAMA SABACHTANI.

O Panie, Panie, czemuś nas opuścił!
Gwiazdy nad nami zmgliły się żałobą,
Czemuż Ty Panie, naszych łez nie uczcił
Gdyśmy płakali przed Tobą?...

Onego czasu było orle gniazdo,
Gniazdo zapaśne, szerokie, a całe,
Orłowie z niego swą podniebną jazdą
Rozgłaszali Pańską chwałę.

Orłowie, skrzydła łamiąc w zawierusze,
Padli nieżywi na skały dalekie,
Czemużeś, Panie, ich dzieci bezpusze
Trzem wężom oddał w opiekę?

Orlęta skrzydeł nie mogą rozwinąć
Karmione śliną i niemocy jadem;
Lepiej im było wraz z ojcami zginąć
Niż w jednem gnieździe żyć z gadem!

Żałobni Panie, żałobni my bardzo,
Bo duchy ojców gdy lecą obłokiem,
To na swe syny, co ich lotem gardzą,
Ponurem patrzają okiem.

Korni jesteśmy, choć żywot nasz lichy
W jarzmie i w hańbie wleczemy powoli;
Wszak łatwiej zniesiesz w człowieku grzech pychy,
Niźli pokorę — niewoli!

U obcych ludów stoim w poniewierce;
Ci mimo idąc, głowami kiwają,
I zimne dłonie kładą nam na serce,
Oni, co serca nie mają!

Inni nas cieszą lub płaczą nad nami,
Jak owe słabe niewiasty Syonu....
Oni w poddaństwie hodowani sami,
Odstępcy Twego zakonu!

I mniej cierpiemy przykuci do krzyża,
Naszych odwiecznych nieprzyjaciół złością,
Niż kiedy naszym boleściom ubliża
Niewierny, kłamną litością.

O! jakże cierpkie są Panie te słowa,
Lecz ból niezmierny pierś naszą rozrywa,
O, Panie! dziecko gdy w grób matkę chowa,
To płaczem ryczy — nie śpiéwa!

Więc Ty, o Panie! opuść ku nam ręce,
Podnieś nas, zanim rozpacz nas ogarnie,
Bo szkoda Panie, aby w strasznej męce
Twój naród zaginął marnie.

I daj nam siłę, by za dawne grzechy
My aż do końca wytrwali w pokucie;
Bo, gdy dla siebie nie widzi pociechy,
Trętwieje miłość i czucie.

IV.

SUPLIKACYE.

«*Święty Boże, Święty mocny,*
«*Święty nieśmiertelny —*
«*Zmiłuj się nad nami!*

I ogarnął postrach nocny,
Twój Lud niegdyś dzielny —
Zmiłuj się nad nami!..

Jako kłosy wstajem z bolem,
Zgłuszeni kąkolem —
Zmiłuj się nad nami!..

«*Od powietrza, głodu,*
«*Ognia i niewoli —*
«*Wybaw nas Panie!*

Od wrażego rodu
Pastwy i swawoli —
Wybaw nas Panie!

Od bratniej niezgody,
Przy czerpaniu wody —
Wybaw nas Panie!

«*Od zgonu nagłego,*
«*Bez skruchy pacierza* —
«*Zachowaj nas Panie!*

I od zelżywego
Z wrogami przymierza —
Zachowaj nas Panie!

Od pokus do grzechu,
Bluźnierczego śmiechu —
Zachowaj nas Panie!

«*My grzeszni Ciebie*
«*Boga błagamy* —
«*Wysłuchaj nas Panie!*

Przez Ojców w Niebie
Bez grzesznej plamy —
Wysłuchaj nas Panie!

Przez pełnię czaszy
Łez i krwi naszej —
Wysłuchaj nas Panie!

V.

DO BOGARODZICY.

1.

Bogarodzico, Dziewico,
Usłuchaj głos człowieczy:
To wielkich bolów głos.
Nas siedem krwawi mieczy,
Potrójny gniecie grób....
Bogarodzico!
Jak wichrem zgięty kłos
Kładziem się u Twych stóp.

2.

Bogarodzico, Dziewico,
Patrz, oto naszą ziemię
Okręcił zdradny wąż.
Na wierne Tobie plemię,
Oh! nawróć blask Swych ócz;
Bogarodzico!
Łańcuchem węża zwiąż
I na dno piekła wtłócz.

3.

Bogarodzico, Dziewico,
Słuchaj nas Panno czysta,
Bo wróg urąga nam,
Nad nami w palce śwista,
Kiedy łzy lejem w dłoń;
Bogarodzico!
Ty hardy kark mu złam,
Prochem mu osyp skroń.

4.

Bogarodzico, Dziewico,
Nie jedna matka płacze
U szubienicy stóp,
A gad koło niej skacze,
I czarny bije ptak;
Bogarodzico!
Pomnij że Krzyża słup
I Tyś łzawiła tak.

5.

Bogarodzico, Dziewico,
Umocnij nas wejrzeniem;
Bo niosąc męki krzyż
Padamy pod brzemieniem,
Jak syn upadał Twój.
Bogarodzico!
K'nam Galilejkę zbliż,
Co krwawy ściera znój.

6.

Bogarodzico, Dziewico,
Gołąbko Ty Syonu!
Cudowna Twoja moc,
Nad ziemią Twego tronu
Roztęczuj skrzydeł blask,
Bogarodzico!
A w czarną ziemi noc
Wolności pryśnie brzask.

7.

Bogarodzico, Dziewico,
Wszak Polski Tyś Królową,
Czemuż odwracasz twarz
Od ziemi Twej na nowo?
O! usłysz Ludu śpiew,
Bogarodzico!
Pod Twoję świętą straż
Składamy naszą krew.

8.

Bogarodzico, Dziewico,
Wysłuchaj tę modlitwę,
Jak ojców tak i nas
Tą pieśnią prowadź w bitwę.
Niech wrogom strasznie grzmi:
«Bogarodzico!»
A w niepożyty czas
Hołdować będziem Ci.

VI.

W CZEŚĆ UMARŁYM.

Och! cała ziemia ta nasza cmentarna
Wygląda Panie jak czara ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów
Dla dawnych bogów.

Coraz się więcej spód ziemi zaplemia,
Na nowe groby miejsca nie ma ziemia,
A więc na prochach ojców, twarzą bladą
Syny się kładą!

I oto Panie, jak się wypiętrzyła
Warstwami trupów sypana mogiła,
A innem licem każda pokolenia
Warstwa się zmienia.

I najprzód leżą daleko u spodu
Ciemne olbrzymy, ojcowie Narodu:
Ci pospierali o krwawe oszczepy
Czaszek czerepy.

I niedźwiedziową okryli się skórą...
A znać im z oczu przymkniętych ponuro,
Że w borach wiodły nie jeden bój dziki
Te zapaśniki.

A na tych ciałach szeregiem się łożą
Ludzie, co znali już naukę Bożą,
Bo szorstkie dłonie na zbroi ze stali
W krzyż poskładali.

A każdy patrzy pokojem natchniony;
Widać że poległ dla kraju obrony,
Widać że synom kraj wolny zostawił,
I siebie wsławił.

Wyżej na owych ojcach bogobojnych
Kłębią się ciała w rzutach niespokojnych,
Jak na wędrowcach, co zmylili drogę,
Znać na nich trwogę.

Jedni z nich troską zadumani leżą,
Drudzy w rozpaczy miecz złamany dzierżą,
A inni zdrajców osypani trądem,
Straszą się sądem.

A prócz tych, Panie, co śpią w ziemi zmierzchu,
O! ileż trupów tu, na samym wierzchu!
A wszystkie w Niebo patrząc znaną twarzą,
Ach! o nas marzą....

Sercem i ręką naszą obwiązani,
Teraz, o Panie, leżą przepasani
Przez szyję siną pręgą, a przez łono
Pręgą czerwoną.

I jako słudzy Twoi w dawnej Romie
Z pieśnią stawali na płonącym łomie,
I na świadectwo Twojej wiecznej prawdy
Cierpieli zawdy;

Tako i nasi bracia, wielki Boże!
Jak na spoczynek szli na krwawe łoże,
A strasznym bolem pokurczone wargi,
Nie miały skargi.

Panie! toż wszystkie ojców naszych winy,
Już śmiercią swoją okupiły syny!
Panie! Tyś musiał zmarłych poczet cały
Wziąść już do chwały.

A jeśliś naszą pokutę żałobną
Dotąd nie skończył — daj nam śmierć podobną;
Ale nam powiedz: «*Do ofiarnej katni*
Idźcie ostatni!».

Ale nam powiedz: «*Was umieszczę w chwale,*
Kraj wasz ku morzom rozścielę wspaniale,
A dzieci wasze do jednego stołu
Sproszę pospołu!»

Cześć, cześć i chwała niech będzie popiołom,
W proch, w proch, w pokorę giąć się naszym czołom,
W jęk, w łzę rozlewać to nasze wołanie
Do Ciebie Panie!

VII.

MODLITWA WIĘŹNIA.

Mówią o Panie, żeś mię upokorzył,
A Tyś mi zasług i chwały przysporzył;
Mówią o Panie, żeś Ty na mnie gniewny,
Że twardy grzesznik Twoje gromy kuszę,
A wżdy ja w duszy spokojny a pewny,
Bom w Tobie Panie położył mą duszę.

I Tyś nad ludzi wywyższył mię wielce,
Bo płoniesz we mnie jak w rosy kropelce
Słońce; snać Ty mię bardzo umiłował,
I jako syna pokochałeś szczerze,
Kiedyś mię Panie na męki zachował,
Bym dał świadectwo Twojej świętej wierze.

Snać łaska Twoja jest ze mną, o Boże,
Gdy wróg się trwoży, a ja się nie trwożę.
Niedawno temu jak mię na powrozie,
Przed liczne sługi cesarskie przywiedli,
Więc mię pytali w pogardzie i zgrozie:
«Tyżeś to?» — *Jam jest.* — A oni pobledli.

Potem sędziowie posiadali w kole,
I położyli Krzyż Pański na stole,
I rzekli: «Ktoś ty?» — Jam sługa narodu.
— Coś czynił z dawna? — pytali ze złością,
— Jam naród kochał, z dawna, bo od młodu.
Więc rzekli razem: «Tyś winien — miłością!»

A syn Twój Panie, co miłość nauczał,
Co bliźnim bliźnich w opiekę poruczał,
Co rzekł, że w niebie ci będą najpierwsi
Którzy kochali — bardzo się zasmucił,
I niżej głowę opuścił na piersi,
I oko swoje od sędziów odwrócił!

Wrogi o Panie, pastwią się nademną,
I na mieszkanie dali otchłań ciemną,
Otchłań wilgotną, z ciemnością bez końca,
Ciężkim łańcuchem skuli ręce moje...
A mnie się zdaje, że ja mam dwa słońca!
Że mi od ramion rośnie skrzydeł dwoje!

A jednak Panie, ciężko sercu memu,
I lotu ptaku zazdroszczę każdemu,
Bom ja na świecie zostawił w żałobie
Wiele serc bratnich i rodzinę drogą.
To za nich oko podnoszę ku Tobie,
Bo ręce skute podnieść się nie mogą!

Ty moje gniazdo wszechmogący Panie,
Swoim aniołom oddaj pod czuwanie;
Niech każdy z Moich z wiecznie jasnej strugi
Twych błogosławieństw, jasny żywot czerpie,
I na kraj wolny nie czeka czas długi,
I łez niech niezna. A ja — niech już cierpię!

Nieraz ja Panie, przez muru szczelinę
Gdy wzrok nie może, to myślą wypłynę,
A myśl do mojej rodziny mię niesie,
W raj mej zagrody cichy i uroczy;
Och, za tym rajem dusza moja rwie się!
Och, za tym rajem tęsknią moje oczy!

A wszakże, Panie, w Twojej leży mocy
Wyrwać mię z więzów i z tej strasznej nocy,
Lecz jeźli sądzisz że śmierć i męczarnie
Ojczystą sprawę w stanie są popierać
Mocniej, niż życie prześlizgane marnie....
O Panie, Panie! to ja chcę umierać!

VIII.

MODLITWA

OJCA PRZY CHRZCIE SYNA.

Czarny kir biorę — dziecka jasne skronie
Żałobnym znakiem pokutnika słonię,
Krzyż mu podkładam z którym będzie chodził;
I tak go niosę w świątyni przedsienia,
Bo oto w ziemi Twego potępienia
  Nowy niewolnik się zrodził!

Jam ojcem, Panie! a nad jego głową
Wylewam skrycie łzę heraklitową,
Godzę go wcześnie z życia jego treścią;
O! bo kto wyjdzie z krainy żałoby,
Kto dzieckiem ujrzy ofiar świeże groby,
  Ten już żyć musi — boleścią!

Gdybym mógł Panie! jabym mu za młodu
Wyporał serce, co jest nakształt wrzodu,
A będzie chodził swobodnie choć luźnie;
Bo ci szczęśliwi tylko w swym żywocie,
Co zapomnieli o sercu i cnocie...
  O Panie, Panie! — ja bluźnię!!

O Panie, Panie! ciężka Twoja kara,
Kiedy tak w duszę wkrada się niewiara,
Że nawet ojciec niemowlę nią wita.
W skrusze i żalu przed Tobą upadam,
Chciałbym się modlić, a sercem nie władam...
  Ciemno mi! — Panie, już świta!

Oto ja Tobie przynoszę na ręku
To dziecię moje, co jest pełne jęku,
I jakiejś wielkiej, tajemniczej trwogi;
Syn to człowieczy — a pół-anioł boski
Zleciał na ziemię i jest pełen troski,
  Bo nie zna miejsca, ni drogi.

Więc mu krzyż Pański kładę do prawicy,
Garść z naszej ziemi rzucam do chrzcielnicy,
Imię tej ziemi na piersi mu piszę,
I oko jego obracam na słońce,
Dwóch krzywych szabel zkrzyżowałem końce,
  Na szablach dziecię kołyszę!

Chrzest się dopełnia! — O Panie! o Panie!
Niechaj to dziecię w przyszłości powstanie
Obrońcą wiary, bohaterem, mężem!
Za słońcem prawdy niechaj się kieruje,
Niech swą ojczyznę nad życie miłuje,
  Niech ją wywalcza orężem!

Gdy ślubem ducha z Tobą się zaręczy,
Niech śmiało stąpa przy wiary poręczy,
Drogą, co przepaść ma tylko lub ciernie;
O Panie! dziecię miej moje na pieczy,
Dozwól niech ono cierniem się kaleczy,
  Lecz od przepaści chroń wiernie.

Strzeż go, by obcym nie kłaniał się bogom,
Niech Tobie służy a nie Twoim wrogom,
Im niech nienawiść i zemstę przysięże;
Niech nie zna szczęścia, ni snu, ni pokoju,
Pokąd nie będzie zwycięzcą, lub w boju
Z męczeńską chwałą nie lęże.

Oto go Tobie składam na ofiarę
Za wolność mojej ojczyzny, za wiarę,
Chociaż Twych sądów nie mogę ja dociec;
Wysłuchaj Panie to moje wołanie,
Bo świętszych modłów już nie ma o Panie,
Jak kiedy modli się — ojciec!

IX.

ZA ZBŁĄKANYCH.

1.

Maleje, Panie, maleje Twój naród;
Widomej śmierci osłabia go zaród,
Duch jego siły z ciałem się rozprzęża,
Toć łatwiej u nas o karła — niż męża!

Niby nas wiele — a jakżeż nas mało!
Wszystko się w inną stronę rozleciało,
Twojego głosu prawie nikt nie słucha;
Pękły ogniwa, — nie stało łańcucha!

Lud nasz, o Panie! co wichrzy się spodem,
Dotąd się jeszcze nie nazwał narodem;
Jak liść jesienny zgromadzony w lesie,
Tam on ulata — gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy:
Kto nim zamachnie, wprzód siebie kaleczy,
A straszne jego i śmiertelne cięcia,
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

I jak łódź, długo więziona w przystani,
Zerwawszy łańcuch, buja po otchłani,
I skał niepomna ukrytych pod wodą,
Zgubną swawolę nazywa swobodą,

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców;
A więc Ty Panie, coś strażą wędrowców,
Tę łódź błądzącą do brzegu nakieruj,
My jej wioślarzem — a Ty Panie steruj!

2.

Inni znów, ślepą trapieni bojaźnią,
Wrogu hołdują, z wrogiem się przyjaźnią;
Jadem powolnym krąży w nich zepsucie,
Pycha w nich piętrzy a trawią ich chucie.

Jeźli się skruszą, to sercem niecałem;
Jeźli się zerwą, to krótkim zapałem;
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary,
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary!

Słabe to duchy! Marne samołuby!
Syny to ciała, frymarki, rachuby!
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Kiedy ich matka z grobu wstaje wskrześnie,
Oni wołają: Zawcześnie! zawcześnie!
I każą biednej aż do *jutra* czekać,
A sami będą przed *jutrem* uciekać.

O! Panie, oni jeszcze niezgubieni,
Ale niełaską Twoją nawiedzeni.
O, Panie! otchnij ich potęgą słowa,
A jeszcze życiem tryśnie pierś jałowa.

3.

Tyś wielki Panie! za Twoim rozkazem,
Co było miękkiem — staje się żelazem,
Co było ślepem — to przewidza nagle,
Co było nizkiem — puszcza skrzydeł żagle.

Tyś wielki Panie! na ruch Twego palca,
Zgubną moc swoją traci jad padalca,
Dla głów wyniosłych przepaść się otwiera,
A wiecznem życiem płonie — co zamiera!

X.

CHORAŁ.

1.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

2.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!
A my nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: «On się przebłagał,
«Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!»
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg,
I śmiech nam rzuca jak głaz na piersi:
«A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?»

3.

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
  Sto słońc nie spadnie wrogom na znak....
Cicho i cicho — pośród błękitu,
  Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owoż w zwątpienia strasznej rozterce,
  Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce:
  Sądź nas po sercu, nie według słów!

4.

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata,
  Okropne dzieje przyniósł nam czas,
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
  Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Alež o Panie! oni nie winni,
  Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
  O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

5.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
  Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
  Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
  Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
  Niech nas męczeństwa otoczy blask.

6.

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięzki Twój.
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: «BÓG BYŁ I JEST!»

XI.

CHWAŁA TOBIE PANIE!

Jak onemu Jobowi, gdy słudzy w żałobie
Przybiegli, krzycząc: «Starcze! wszystkie syny twoje
Pan odebrał tobie» —
A on wciągnął na głowę zdartych szat zawoje
I jęknął: «Święta wola niech się Twoja stanie,
«Chwała Tobie Panie!»

Podobnie, kiedy zbójce braci nam pobili,
A my ze snu okropną ocuceni wieścią,
Chociaż w pierwszej chwili,
Bluźnili Ci, bezbrzeżną targani boleścią;
Jak ów Job teraz w skrusze wznosimy wołanie:
Chwała Tobie Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci,
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;
A wszak dla swych dzieci,
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy;
Toż nie darmo krwi naszej stało się wylanie....
Chwała Tobie Panie!

XII.

AKT WIARY.

I rzekł Jeremi: słuchaj mnie narodzie,
A nie patrz na mnie tak łzawo a smutnie;
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie,
Długo ja łzami rozdźwięczałem lutnię,
A teraz wstaję ciałem utrudzony,
Lecz duszą silny — wielki — namaszczony.

Oto się do was stało moje słowo,
Wy do mych kolan jak dzieci przybiegli;
Otom was okrył koroną cierniową,
A wy w pokorze w proch czołami legli:
Teraz powstańcie z koroną gwiazdzistą,
I oblekajcie szatę białą — czystą.

Ileż wy żółci nie pili kielichów!
A jednak pełni byliście obawy;
Gorycz zrze duszę, lecz nie zmywa grzechów.
Teraz narodzie tyś przebył chrzest krwawy:
Tą krwią dopiero grzechyście spłukali
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,
A więc bierzmuję wasze dusze jeszcze,
Pierś w archanielskie skuję wam pancerze,
Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszcze,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem....
Śpiewam ją! — a wy, idźcie za mną głosem.

PIEŚŃ.

Wierzymy Panie! o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Ześ nas zapalił jak pochodnię nocną
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabemi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana
Z tryumfem skończy z nim swe bojowanie....
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że synowie pychy
Silni są złością ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,

Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że w czas niedaleki,
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce!
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy Panie!

DODATEK.

KRZYŻ A MIECZ!

1.

Rozwiążmy usta wszem gwiazdom w cześć,
Bo Pan nas święci ogniowym chrztem,
Bo, w archanielską znurzany wieść,
Każdy ból nowy staje się snem;
Bo już świat stary jak Jericha turmy
Wali się w gruzy na głos Twojej surmy,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz!

2.

Pierwsza to Panie giniem bez skarg,
Bo nam ofiarna krew płynie w jaw;
Więc Cię tysiącem sławimy warg,
A Ty odwagą błogo nas sław:
Aby był zbawion, gdy wytrwa do końca,
Twego imienia Twój naród-obrońca,
Twego obozu przednia straż,
Twego obozu przednia straż!

3.

Z niebieskich progów Ty schodzisz już,
To my spokojni idziem na sąd
Niosąc krew naszą zlaną do kruż;
Więc nas zapytasz: Dzieci, a zkąd?
Z Polski o Panie! z głodu i pragnienia,
A niesiem mirrę na całopalenia,
Byś nam ojczyznę Panie dał,
Byś nam ojczyznę Panie dał!

4.

A Ty nam rzeczesz: «Wiernyś ty lud!
Idź w bój ostatni wrogom na kres.»
Więc miast chorągwi poniesiem wprzód
Dzbany krwi naszej i dzbany łez.
A gdy nas przyprze poganów plemię
Wtedy roztrącim dzbany o ziemię,
By nowy hufiec z tej krwi wstał,
By nowy hufiec z tych łez wstał!

5.

I z szczytu naszych mogilnych gór
Ogłosim ludom sojusz i mir,
I zlecim z szumem orłowych piór,
Nie z brzękiem stali, lecz z brzękiem lir;
A jeśli przyjmą naszą pieśń z urazą,
Czy nam w dłoń włożysz, zamiast strun, żelazo,
To już ojcowska Twoja rzecz,
To już ojcowska Twoja rzecz.

6.

Wówczas hetmaństwo weźmiesz już Sam,
A nam dasz Panie pioruny Twe,
I nam co z krzyża zeszli bez plam
Każesz wytępić Sprośne i Złe.
I świat zamarzy o strasznych aniołach
Co na sodomskich siedzieli popiołach....
A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*
A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*

r. 1848.

MODLITWA.

1.

Grzeszni, senni, zapomniani,
Ojcze nasz!
Budzimy się już w otchłani
Ojcze nasz!
Daj nam jutrznię jasnowłosą,
Z plam i ze snu obmyj rosą,
Prowadź w pole, choćby boso...
Ojcze nasz!

2.

Upadaliśmy pod krzyżem
Chrystusie!
Ale Tobie się uniżym
Chrystusie!
Twoje Imię nam buławą,
Zmień na jasną, drogę krwawą,
Daj zmartwychwstać nam ze sławą,
Chrystusie!

3.

Dawna nasza Ty Królowo,
O Maryo!
Ach, za nami przemów słowo,
O Maryo!
Ochromiałym podaj rękę,
Niewytrwałym skracaj mękę,
Twe królestwo weź w poręką,
O Maryo!

4.

Ty zwycięzki na katusze
Spłyń Duchu!
Czekają Cię nasze dusze
W posłuchu!
Rozpal miłość w naszem łonie,
Mieczną palmę podaj w dłonie,
Na przygasłe nasze skronie
Spłyń Duchu!

r. 1860.

DROBNE POEMATA I URYWKI.

MARATON.

The mountains look on Marathon
And Marathon looks on the sea;
And musing there an hour alone,
I dream'd, that Greece might still be free,
For standing on the Persian's grave,
I could not deem myself a slave.

Byron.

WSTĘP.

Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rowieśni,
Pieśń, co przypomni wam pobrzęk łańcucha.

Wy chcecie pieśni ni kwiatu do wieńca,
Coby śród uczty mogła was pochwalić,
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić.

O! żal się Boże — tak młode pachole,
Zamiast miłować, muszę nienawidzić,
I jasne czoło omarszczać w mozole
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę szukając sposobów
Jakby was zmężnić, — wszystkie drogi mylne!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne,

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z niemi wskrzeszę stary swiat zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu
Przed sądem świata, przed własnem sumieniem,
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wiécie bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

1.

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,
I osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!....

Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni,

I leciał nocy osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał,
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
I starą matkę napawa krwią syna,
I chatę niszczy ogniem i żelazem —?
— Hej, nie ma czasu! Z satrapy rozkazem
Pędź dalej gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele. —
Zerwał się goniec znękany boleścią,
Ruszył przez puszczę z nakazaną wieścią,
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
A gdy na czatach zszedł innego gońca,
„Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!“
Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy
Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

2.

Suza, wiosenna królewska stolica,
Jako wybrana młoda miłośnica,
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,
A ztamtąd w zimie mknie do Babilonu;
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
W Persepolisu skałach grób wyrąbie,
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje;
Sto cudnych dziewic jemu usługuje,
Sto niewolników na klęczkach się wije, —
On innej wody przy stole nie pije

Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego, to aż z Chalibamu,
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina,
Co ma najlepsze, z drugiemi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A gdy tak Darjusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec, i padł przed nim czołem,
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, to klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy,
I palą miasto!“

A drugi nadbieży,
I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
Winem napełnia święcone naczynie,
I tobie królu, przy uczcie urąga!“

Król wściekły gniewem wielki łuk naciąga,
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do Bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwiącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
„Pomnij się Panie! mścić nad Ateńczykiem!“

A potem Magów rozkazał przywołać,
I pyta: „Grekom godzien też podołać?

Naród to wielki, gdy taki zuchwały."
A oni rzeką: „Królu! kraj ich mały,
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostremi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś Panie! zwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całem pokoleniem."

Magowie prawdę mówili ci, królu.
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu,
Każdy z osobna o swym domie radzi,
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O kraj to mały — tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O kraj to mały, niby szyba tarczy;
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

3.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
Na język swojski; a miało to znaczyć:
„Darjusz król Persów i Medów, pan świata,
„Na harde ludy plaga i zatrata,
„Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
„Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
„A może da się pokorą przebłagać,
„I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać."

Za każdem słowem lud jako lew mruczał,
A potem śmiechem szyderczym zahuczał,
Plwał w oczy Persom, szaty im rozdzierał,
Ciskał kamieniem, — Pers z trwogi umierał,
A lud jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie — szalał w wściekłym gniewie,
I wlókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalne przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów, i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał
Widząc jak Pers się po urwiskach chwytał,
I czepiał cierni, i okrwawiał ręce,
I wył jak szakal w przedśmiertelnej męce.
A potem — scichło, — potem jęk: — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony:
„Tam podostatkiem i ziemi i wody!
Jédźcie i pijcie!“

Temistokles młody
Wystąpił z tłumu, i rzecze: „Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie;
Lecz między nami jest Grek winowajca;
Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara
Co plugawemi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa;

On nierozważnie o jej męty trącił,
I czyste źródło mowy naszej zmącił.“ —

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
„W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie, niech ginie!“
I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi sług podłych. — W oznakę litości,
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownym podzięku,
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

4.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indyanami,
A Artafernes i Datis wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby niemi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: „Do Aten! Do Aten!!

I mają rozkaz surowy wodzowie,
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,
I wiele, wiele przysposobić łyków —
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu.

Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze.
Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;
A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła;
Harda Eretria do ziemi przypadła;
I cała Grecya struchlała i zbladła.

5.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi,
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepczą: „Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męztwo?“
A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięztwo!“
Śród nich Milcyades jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitia z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.

„Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza,
Pan niedaleko, — niech do niego pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.

A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
Albo wytępim wrogów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia, — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
I tą przemocą, co się zda niezłomną —?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem.

Jakąż nad nami może mieć przewagę,
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha. —

A nas, nas wielkich praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi,
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa,
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienia poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojem łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!"

A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięztwo!"
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.

Odmówiła Sparta;
Bo jej zabrania święta ustaw karta,
Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżyca początku.
Ale Platea nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

6.

Nad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonem.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje że ich oko łudzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska
Med pomrukuje: „Szaleni! Szaleni!
Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!"

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą;
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga w przód sunie, mur sie tworzy z tarczy;
Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa...
Niech ich bogi strzegą!

7.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.

W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać; i słońce zagasło,
I gwiazdy.... Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło....
Prędkiemi kroki ktoś po bruku bije,
I woła: „Tchu! Tchu! Głosu! Grecya.... żyje!
Cześć! Cześć!... Milcyades!... Tchu!... Zwycięztwo z nami!“

Kobiety z domów wyszły z pochodniami....
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył,
I padł wołając: „Zwy — cięztwo!“ — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.

8.

Na pobojowisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jednem posłaniu,
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.
A przy nich kruki skaczą i godują,
I schrypłym głosem braci swych zwołują.

Z jednego Greka kruk ciało wyrywa,
Grek konający tak do niego śpiewa:
„O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij kruku, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!"

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem
Nie ujrzą ojca, kochanka, lub męża....

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża:
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

r. 1844.

USTĘP Z POWIEŚCI SYBIRSKIEJ.

W strony, gdzie imię Polski tak się zetrze,
Że jest na sercach plamą nie wyrazem,
A dusze ludzkie w omglone powietrze
Już się nie wznoszą, by choć latać razem —
Tam Bóg posyła swego męczennika
I jak chorągiew złotą go zatyka,
Aby szumiała ogniowym szelestem
Nad głową śpiących: Kto ze mną? bo jestem!
Aby na naród przez ten znak widzialny
Zlewał się hojnie duch sakramentalny,
A on swe skrzydła bolesne rozszerzył,
Chwiał się na falach własnej krwi — i wierzył!

A jeźli blask on i ten głos co woła
Na marmurowe tylko spadnie czoła,
To żeby duchów niewidzialne twarze
Płoszone z nieba o ojczyznę trwogą,
Mogły odpocząć na takim sztandarze
Kiedy na sercach swych synów nie mogą.

On wrócił z Sybiru!
A iskrzy dotąd młodości zarzewiem,
I mniej ma w licu żałobnego kiru
Niźli to dziécię, które pod modrzewiem
Na progu domu siedząc, główkę składa,
Smutne tym cieniem, co na nie z drzew pada.
A oczy jego jasne, błogie, święte,
Jakby już ręką aniołów dotknięte,
Lub dotąd na nich świeciła pozłota
Z tych gwiazd polarnych, przez które on biedny,
Jak przez wiodące do ojczyzny wrota,
Latał do Polski po oddech powszedny,
I pełen szumu ojczystej topoli
Wracał i żył nim na ziemi niewoli.

Z czoła niebieska biła mu powaga,
Z ust jego prawda ostra choć nie naga,
Bo prawie zawsze mówiący z zapałem
Słonił ją mimo chęci ideałem;
Ta poetyczność była w jego duchu,
Nie jak u innych chełpliwa, nieszczera,
Co za słuchaczem chętnie się obziera
I sama zwiędłe wije sobie wieńce.
W zwykłem obejściu i w głosie i w ruchu
Zachował szorstkość nabytą w żołnierce,
Pozór surowy, a w gruncie miał serce
Wiejskiej dziéweczki, jej łzy i rumieńce.

On Polskę naszą nie stroił wymową
Poetów, którzy ją widzą w ozdobie
Jak Przenajświętszą gdy stoi na globie,
Depcząca węża swą stopą perłową,
W tęczach, przy chórów serafińskich grzmocie;
Ale on widział ją w syna prostocie

Jak błędną matkę, którą napotykał
Na skałach lodu i ran jej dotykał,
I po ulżenie biegał często do niej,
I czuł jej ciepłe łzy na chłodnej skroni.
Więc stał się w końcu jako ów najmłodszy,
Ze siedmiu braci, syn wdowy najsłodszy,
Mogący w stosie gorejących polan
Konać z uśmiechem z duszą u jej kolan.

Brzegiem jeziora szliśmy późnym zmrokiem,
Oba milczący, w dumaniu głębokiem;
Żadnym powiewem niemarszczone wody
Legły jak wielka, gładka lodu szyba,
Na niej oczeret sklepił się w ogrody,
I jedna w srebrze wyorana skiba
Gorzała światłem: Na uspionej fali
To księżyc długą kolumną się pali;
A innych więcej na grzbiecie gór błyska
Wschodząc: To nocne pastusze ogniska.

I cisza była jednostajna wszędzie,
Dzikiego ptactwa dawno ścichły gwary,
Tylko samotny jeden żeglarz szary
Oczeretowe okrążał krawędzie,
I strzegł swych braci obozy uspione
Bacznie zwracając głowę w każdą stronę.
Długo czekałem by ta czata wrzasła
I z góry znane odebrawszy hasła
Współplemienników zbłąkane szeregi
Do swej fortecy przyjęła w noclegi;
Lecz nic nie rwało spokojności smętnej,
I przeraziła mnie ta dziwna głusza,
W której mi własna oniemiała dusza;

Więc jak złe dziecko w fantazyi namiętnej
Podniosłszy bryłę ziemi wyżej głowy
Rzuciłem w srebrny filar księżycowy.
I wnet jak w kuźni rozogniona szyna
Gdy silna ręka uderzy w nią młotem,
Tak ten słup nagłym odjęknął łoskotem,
Chwieje się, pęka, jak wąż się przegina,
Tysiącem iskier z łona swego sypie,
Każda z nich leci, spada, wodę szczypie,
Aż skacze coraz dalszemi obręczy
Ta woda, co jak szkło rozbite brzęczy.
I jeden drugi szuwarowy szałas
Zwichrzył się w środku: popłoch, szelest, hałas,
I czarne ptactwo podnosi się hurmem
Krzykliwe, gniewne na przerwane wczasy,
Potem jak wojsko sprawiane przed szturmem
Wiąże się w sznurek — i poszło na lasy.

Scichło; jam myślał o sile kamienia
Co budzi całe jezioro z uspienia;
Wtem o me ramię oparł się towarzysz
I spytał: Młody bracie, o czem marzysz?
Rzekłem: Mnie jątrzy ta niema spokojność
Jaką nasz naród obleka w niedoli,
Każda męczarnia coraz mniej go boli,
A po zniewadze krzykiem nie ochrypia,
Ale się tuli w martwą bogobojność
I w cichym płaczu jak dziécię usypia,
I tak mu miła sumienia swoboda
Że śni pogodnie, błogo — jak ta woda.
A przecież w głębi jego niby w trumnie
Drży blask duchowym księżycem odbity
Podobny złotej na wodzie kolumnie;
Lecz żeby naród poruszył te świty

I je na gwiazdy w kół siebie rozpryskał,
I z tą girlandą i leciał i błyskał,
Trzeba go zbudzić z błękitnych omamień
Choćby rzucając potępienia kamień!

On się po chwili rozłożył na darni
W zapadnem miejscu, gdzie dąb rosochaty
Nie wpuszczał światła niebieskiej latarni
Ni nocnych wiatrów — i mówił:

«Niech światy
Gasną jak w bitwie niecelne granaty;
Niech wzdęte morze złamawszy zapory
Przebiegnie ziemię jak koń dziki, skory;
Niech gorzej morza Dżengis-chan lub Marat
Krwi jeziorami wygładzi ją wszędzie:
Wierzę! że jeden zostanie Ararat
Zielony, wzniosły — a Polska nim będzie!

Wszak nierozsądny kto po rynkach chodzi
I taką wiarę dla gawiedzi głosi,
A tak czynicie wy spiewacy młodzi,
Zaden tej wiary w pokorze nie nosi,
Lecz ją jak szatę godową odziewa
I co anioły szeptają — on śpiewa!
Gminowi z dala od wielkich tajemnic,
Bo ich nie pojmie, nie przekroczy ciemnic,
Ale pragnący i niesyty cudów
Weźmie pochopność do życia bez trudów,
I zaślimaczy się i zleniwieje
I co wziął, synom przekaże: nadzieję!
Toż milszy dla mnie zgiełk szlacheckich kłóteń
Niźli prorocze granie miękkich luteń,

Gdy przez fałszywą półanielską smętność
Nie siłę budzi ale obojętność,
I nieraz ludu zzwierzęconą głowę
Niegodnie stroi w blaski Chrystusowe,
I po łzę każdą do pyłu się zniża
Aby ją uczcić jak ofiarę krzyża.
Ty słusznie sarkasz, że polska kraina
Zamiera senna bezczynnością wrogą,
A ja ci powiem w czem jest snu przyczyna:
Pieśń nie pieluchą ma być — lecz ostrogą!

Straszne ja rzeczy widziałem na świecie,
Bardziej straszniejsze słyszałem powieści,
Wszak ich smętnemu nie oddam poecie
Bo mi znieważy powagę ich treści;
I takie orły ze wzrokiem surowym
I z krwawą piersią i z głosem spiżowym,
Co hasła boju roznoszą w piór chrzęście
A dzieci uczą drobne ściskać pięście:
On czuły śpiewak ze sztuką ubierze
W jakieś błyskotne, zwrotnikowe pierze,
I może zechce, co Bóg nie przebaczy,
Na łzy rachować u miękkich słuchaczy.

W tobie jest młodość ze siłą i zdrowiem
I słuchać lubisz — to ja ci opowiem
Kilka scen strasznych z mojego żywota;
A co usłyszysz, kiedyś pieśnią zamień
Na młot forteczny co mury druzgota,
Na dzwon co woła, na piorun co wstrząsa;
A jeźli trzeba, niech pieśń się natrząsa,
A jeźli trzeba, niech pada jak kamień!»

I niezważając żem wyciągnął ręce
Aby go czule uściskać w podzięce
Za dobre rady i przyjaźne chęci,
Powstał i zniknął w gąszczu blizkich krzaków.
Przez chwilę słychać było szelest pręci,
Potem trzask głuchy targanych łomaków,
Aż wrócił zgięty, obarczony chaszczem;
Podłożył ogień, owinął się płaszczem
I rzekł: Jam gotów — a masz czas, to słuchaj;
Wskazał na żagiew: A czasem podmuchaj.

«Siedziałem w Permie rok jeden i drugi,
A powiem tobie, czas mi nie był długi;
Bo w ciemną otchłań za mną, za wygnańcem
Pobożna żona poszła z dobrej woli,
I przed cierpieniem stanęła mi szańcem,
I weseliła jak na własnej roli.
A żony takie li w Polsce się rodzą!
Piękne, a więdnąć przeznaczone młodo,
Nie jedne w Sybir za mężami chodzą,
A nieraz z sobą i dziateczki wiodą,
By w obcej ziemi być ojczyzny echem
Swoją miłością i dzieci uśmiechem.

Ulicą długą, szeroką, samotną,
Stały mieszkania więźniów, chaty nizkie;
A były okna ich tak ziemi blizkie,
Że całe światło zabierał przechodzień
Jeźli szedł ścieżką mniej od drogi błotną.
W takich to chatach, zwykle w innej codzień,
Bywało wszyscy schodzim się z wieczora,
I jak bociany gwarzym na ogłogu.
A gdy nadejdzie rozejścia się pora,

To długo jeszcze stoimy na progu,
Patrzący w niebo szklanne, wyiskrzone,
I pochyleni nad głowami dziatek
Wołamy głucho: Polsko nasza, Polsko!
I z tem imieniem usypiają one,
Ochrzczone wiarą ojców, łzami matek.

Wygnanie nasze było apostolską
Misją; tam ludzie stawali się lepsi
I sercem czulsi i na duchu krzepsi,
Kędy my przeszli.

Raz siedząc przy oknie,
Puszczałem myśli po tem czarnem włoknie,
Które prząść umie więzień i wygnaniec —
A wtem idący jakiś obszarpaniec,
Sałdat moskiewski, ten Job bez narodu,
Co na wystawie lub na carskiej mustrze
W niezwykłym musi okazać się lustrze
A wiedzie życie nędzy, wzgardy, głodu:
Popatrzył na mnie, nagle się obrócił
I w koło okiem niespokojnie rzucił
I wbiegł do chaty; we drzwiach stanął prosty,
Pozdrowił Bogiem i wpycha w zanadrze
Rękę skośniałą; na ten ruch ja zadrzę,
Po mojej żonie uderzyły osty,
Sądzimy że to posłannik z ukazem;
A on ze szmaty rozwinąwszy pakiet
Cicho przemawia: «Wot pismo i grosze
Z Polszczy od waszej matuszki przynoszę»;
Więc głośnym krzykiem odetchniemy razem
I do Moskala biegniem pędem rakiet.
A gdy ze łzami porwę go w ramiona,
Na czoło złożę bratni pocałunek,

To biedny sałdat drży u mego łona,
Chwieje się, jakby rozmarzył go trunek,
Jakby go olśnił jakiś świat nieznany
Jak na obrazie piękny, malowany;
Aż mu wypadnie z zamglonego oka
Łza dawna, ciężka, wyrwana z głęboka,
Wtedy to oko tak świetnie się żarzy,
Że on widomie pięknieje na twarzy.
Biedny! mil tysiąc niósł cudze pieniądze,
Głodny, a zwalczał kuszące go żądze,
Przecież o takiem nie marzył przyjęciu.
Toż wyszlachetniał tak w polskiem objęciu,
Że wszedł jak zwierzę, a wyszedł jak człowiek,
Poważny, śmiały, z pełną w sobie duszą,
Zdybując ludzi już nie spuszczał powiek,
Lecz wznosił głowę jakby mówiąc chrobrze:
Wbrew carskiej woli — uczyniłem dobrze!

Wiesz jakie skutki dla niego paść muszą?
Oto ten sałdat wnet uczuje wzgardę
Dla swego stanu, i za pierwsze harde
Słowo, pójdzie wleczony pod pałki;
A gdy mu ciało rozszarpią w kawałki,
Do dawnych karbów wróci z dzikiem czołem....
Lecz nie zapomni — że raz był aniołem!»

„Straszna to władza gdy sumieniem włada,
I choć nie zniszczy człowieczego ducha,
Takim go ślepym postrachem obsiada,
Że na jej rozkaz wzdryga się — a słucha.
Car taką władzą ugniata lud mnogi;
On jak pogański Bóg zachmurny, srogi,

Na swą cześć jękiem napełnia pustynie;
Toż mimowolnie kędy okiem spocznie,
Tam jakieś serce krwawi się widocznie,
A kędy ręką wskaże — człowiek ginie!
A nawet jeźli kogo umiłuje
Temu na przyszłość upadek gotuje.
Więc najszczęśliwsi ci, co zdala żyją
Od jego oka i łask i pokuszeń;
Toż ludzie w ziemię jak krety się kryją,
A ziemia pełna niespodzianych wzruszeń
Z każdym dniem dalsze rozciąga podkopy,
Aż się zachwieją nieraz carskie stopy.
Car wie, że wiele duchów mu uciekło
Z pod władzy — one w ukryciu się plemią;
Lecz jak ich szukać, jak znaleźć? Pod ziemią!
I car z powagą nosi w sobie piekło.
Wszak nieraz nocą straże pałacowe
Truchlejąc słyszą jego senne krzyki:
„Tron mój! gdzie tron mój? Już są podkopniki!“
Już są! Wam młodym to słowo wróżbowe
Ziści się; ujrzysz jak te duchy zmierzchu
Wyrzucą ziemię — i staną na wierzchu!

r. 1851.

PODRÓŻ PRZERWANA.

. . . . W konnej artylerji,
Przy trzeciej harmacie, dziewiątej baterji
Znałem porucznika; ze świata ubóstwa
On wyniósł i w duszy przechował dwa bóstwa.
Za młodu na Litwie, gdzieś w zaściańku leśnym
Pokochał on srodze pannę Małgorzatę,
I miał się już żenić — u nóg przyszłej żony
Spoczywał tak słodko w letargu niebiesnym;
Aż przyszła ojczyzna strapiona po ratę
Krwi jego — więc powstał i poszedł w legiony.
A z bitew gdy wrócił, już Miłej nie zastał,
Bezkwietnym badylem grób dawny zarastał
I krzyżyk nadpruchniał. Na świat się zachmurzył,
Ze strzelbą i z troską w puszczach się zanurzył,
Tam strzelał niedźwiedzie z rozpaczy — a tużył.

Niedługo mu ciemne smakowały lasy,
Bo młodość na jasnem, na marsowem polu
Przepędził — z tęsknotą wspomniał na te czasy;
I w końcu zabrawszy z sobą resztę bolu,

I z grobu garść ziemi i bukłak nalewki
Ruszył do Warszawy. Tam wojskiem Konstanty
Na saskim dziedzińcu wygrywał kuranty;
A więc się zaciągnął do tej pozytywki.

Warszawa w światowe bogata ponęty
Porwała wiarusa na śliskie swe stopnie,
I zaraz go żądze obsiadły natręty;
Choć oczy wbił w ziemię by stąpać roztropnie,
Choć wsparty pamięcią o bolesną stratę
Potknął się i zachwiał i wpadł w samołówkę,
Bo znowu ukochał — a kogo? — harmatę!
Na honor, nie kłamię — dwunastofuntówkę!

I patrzcie! z chmurnego wnet stał się promienny,
Szczęśliwy; zaledwie wybłysnął świt dzienny
Już biegł do harmaty, w koło ją obzierał,
I chuchał i dmuchał i plamy wycierał.
A potem błogości pełen i ochoty
Czychał na przechodnia; kogo tylko złapał,
Ten musiał podziwiać jej wdzięki i cnoty.
I zaraz lawetom dał nazwę sukienki,
Ustami zwał paszczę, czarnem oczkiem zapał,
A całą już ochrzcił swej zmarłej panienki
Imieniem. Ieżeli grzmi i ogniem zieje,
Porucznik powiadał, że ona się śmieje.
Przeciw Konstantemu zemstą się zapalił,
Bo nigdy na rewiach jej cnót nie pochwalił;
Toż w listopadową noc przy arsenale
Jego Ukochana pierwsza się zaśmiała.
Wielkie zachowanie miał u jenerała
W następnej kampanii: strzelał doskonale.
Często sam jenerał wskazał mu kolumnę
Do zbicia — z kolumny robiła się siatka;

On wtedy podnosząc czoło jasne, dumne,
Wołał: Jenerale! a co Małgorzatka!?

Podczas szturmu Warszawy stał na szańcach wolskich;
Dwieście harmat w nie biło ze strony Moskala,
Na Warszawę płynęła kul żelazna fala
A traciła swój impet tonąc w piersiach polskich.
Ach! tym piersiom posępne ciężyło przeczucie —
Jakby w nich brzmiały głosy złowieszczej Kasandry,
Nie zwycięztwa szukano lecz śmierci i chwały;
I pięknie lwy ginęły — narody klaskały!
Porucznik ze swem działem na przedniej reducie
Wysunięty — podobien był do salamandry,
Co chwila mu ubywał towarzysz harmatni;
A w tem działa ucichły, bębny się ozwały,
I kiedy nieprzyjaciół zjeżone bagnety
Szturmowym biegły pędem na szańce — niestety!
Padł od ostatniej kuli kanonier ostatni.
Sam został — lecz w poległych ducha swego przelał,
Dziesięć mu rąk przybyło — nabijał i strzelał,
I krwawą orał skibę każdą swoją kulą
Na moskiewskich mundurów płaszczyznie zielonej.
Strasznym był! z twarzą czarną, z podartą koszulą,
Z okiem groźnem, płomiennem, z spalonemi usty,
Z kawałem na zranionej głowie białej chusty
Wiejącemi końcami na wiatr rozrzuconej;
Strasznym był! kiedy w dymu siarczanego chmurze
Płonącym migał lontem jak piorunną wstęgą,
Potem rzucał z wysoka gromy, grady, burze —
Zdawał się sprzymierzony z tajemną potęgą
Jak zuchwały czarodziej, wzniosły opętaniec . . . .
Moskale z jawnem drżeniem darli się na szaniec,
Już blizko byli — działa nie można już nabić,
Chyba jaszczyk zapalić albo siebie zabić —

On nie myślał o sobie — on duszą poddaną
Żył dla tej, którą kochał i którą się szczycił,
Ją tylko chciał ocalić — młot i gwóźdz pochwycił,
Uderzył raz i drugi . . . . . wtem go rozsiekano!

. . . .

Otóż nasz porucznik w skutek tych miłości,
Człowiek zwykle cichy, miał wybuchy złości;
W jednej chwili zawrzał i klął niedorzecznie,
Jeźli jaką pannę kto chwalił zbytecznie
Lub działo nie jego. Te dwa ideały
I w sercu i w myśli tak mu się splątały,
Że w gniewu zapale obydwóch przymioty
Mieszał najpocieszniej. Obozowe trzpioty
Często przy ognisku, gdzie kotła pilnował,
(Bo porucznik także dzielnie kuchmistrzował,)
Wszczynali gawędę to o tem, o owem,
O bitwach przebytych, o życiu pułkowem,
Aż wleźli na działa; więc jeden dowodzi,
Że niechaj kto zechce całą armię schodzi,
Nie znajdzie nad działo w baterji Puzyny —
Harmatka niewielka, a pyszczek gadziny,
Kiedy ją grającą ujrzał Bem, jenerał,
To skakał z radości, to ręce zacierał,
I mówił, że inne podobne do szaret,
Nie strzelać im w boju, lecz wozić lazaret.
W tem drugi przerywa: O działach, o bitwie
Czas bajać po wojnie; śród wojny koledzy,
Mnie sercem zawraca do ojcowskiej miedzy.
Ot plotą, że piękne dziewczęta na Litwie,
Bo Pińczuk je chwali; ach! perła niewieścia,
To moja jedyna dziewczynka z pod Brześcia,
Jej równej nie było i niema na świecie;
Błysnęłaż mi w oku podobna komecie!

Aż nagle porucznik wybucha: «Młokosy!
Półgłówki zielone, nieotarte nosy!
(Często było gorzej,) wam sądzić co piękne?
Myślicie że z Moją porównań się zlęknę?
Z Litwy była rodem, przez piekła otchłanie!
Niewinna jak dziecko, zgrabniejsza niż łanie,
A jaki tam zapał! a jaki kaliber!
Mniej włosów na głowie, co ona głów zmiotła,
By spisać ten rejestr, potrzeba sto liber —
Do kroćset..» Tu wszystką zupę wylał z kotła.
«Do diabła wieczerza i wasze przyjaźnie!»
— Ależ poruczniku pofolguj... «Milcz błaźnie!...
A, pardon — bezkarnie nieznoszę afrontów...
Wyzywaj na rękę do kroćset stu lontów!»
I odszedł — a młodzież od śmiechu się kładzie.

I wy mnie za język ciągniecie ku zwadzie;
Cierpliwie, pokornie od godziny słucham,
Jak mi obce ziemie, nieba wychwalacie;
Jeźli porucznika trybem nie wybucham,
To tylko jedynie podziękować macie,
Że siedzę w salonie, a nie na harmacie.
Oh! bo i ja kocham, kocham bez podziału,
Tę ziemię wybraną, boleści i szału, .
Tę ziemię serc miękkich śród wichrów i lodów;
Królowę trzech ludów, dwóch mórz, kroci grodów,
Wyniosłą i piękną w łachmanach ubóstwa;
Tę matkę zapartą, którą z dzieci mnóstwa
Najwierniej kochają: żołnierze i wieszcze —
I jeźli w swą przyszłość ona ufa jeszcze,
To tylko dla tego, że śród gwaru kłóteń
Dwa głosy ją krzepią: brzęk mieczów i luteń.

Jam żołnierz panowie — i kocham ją wiernie;
Nad róże sarońskie przenoszę jej ciernie,
Nad włoskie bakalie smaczniejsza mi rzepa:
Przyznajcie, że piękna to miłość choć ślepa.
Za słupy Chrobrego kroku niezrobiłem,
Niezwalałem nogi obcej ziemi pyłem,
Niezbrukałem piersi obcych nieb oddechem,
Dziewiczy wskróś jestem; patrzacie z uśmiechem?
Bierzecie zasługi moje za dziwactwo?
Nie sądźcie przed czasem — nocleżne my ptactwo!
I kiedy za groby poniosą nas loty,
Bóg mi te dziwactwa policzy za cnoty:
Wam każe w tęsknocie po gwiazdach uganiać,
Ja będę nad moją ojczyzną się słaniać!

Inni po Paryżach i po Neapolach,
Ja wojażowałem po ojczystych polach
Na koniu, przy dziale — ach, czemuż nie dłużej!
A znam Wawer! Dęby! Grochów! Ostrołękę!
W odmiennych zamiarach szliśmy drogą sprzeczną,
Toż odmienne straty ponosim z podróży:
Oni tracą nosy, a ja tylko rękę,
I tę lewą rękę — niezgrabną, zbyteczną.

Wszak i ja kadziłem przy waszym ołtarzu,
I jam raz serdecznie zapragnął wojażu;
Byłem bardzo młody, w głowie mi świtało,
Gdy mnie ta gorączka napadła — o mało
W tych szalonych chęciach nie uległem zdrowiem,
A jak je przerwałem, właśnie wam opowiem.

Rodziłem się w czwartym roku tego wieku;
Świat cały grzmiał w trąby o jednym człowieku.
On z gwiazdą na czole a bez gwiazdy w łonie,

Zwycięzca zamętu, by nowy wnieść zamęt,
Krwią ziemię zalewał, nie w Boga obronie,
Lecz tylko dla sławy, w końcu dla zabawki.
Przed nim szła nadzieja, a za nim szédł lament;
Z tych ogniów ofiarnych co zostało? — Zgliszcze!
Z hekatomb kto zysk miał, kto? — Kruki i kawki!
Indyjskie na wielkim rydwanie bożyszcze,
Bezduszny poświęceń czystych poniewierca,
On jechał w tryumfie przez wierzące serca,
Pokłady ciał ludzkich gruchotał zuchwały,
Aż spoczął na skale ten olbrzym ze skały.
Oh! grzeszna, poddańcza ślepoto pogańska!
Co gardzisz pokorą, każdą pychę głaskasz,
Co sile hołdujesz, powodzeniu klaskasz,
Kiedyż twe sumienie zjaśni łaska Pańska?
Kiedyż swiatło ujrzysz, nie w błyskaniu złotem
Geniuszu lub sławy, lecz jedynie w cnocie?
Kiedyż siłę uznasz, nie w groźnym łoskocie,
Lecz w cichym szeleście? — Wszak mowa nie o tem.

Oh! swoboda dziecka, to swoboda ptaka,
Rok, czy dzień, czy chwila, kropla-to jednaka;
Ja biegam po łące, albo w piłkę zagram,
A ten dzień mój jasny — nazywał się: Wagram!
Raz w późnej jesieni strumień w lód się ścina,
Ślizgam się — dzień cały mija jak godzina,
A dzień mej radości — zwał się: Berezyna!
Świat czy się weseli, krwawi się, czy płacze,
Jednako ptak śpiewa, dziecko równie skacze.
Lecz żegnaj swobodo! rok i drugi jeszcze,
A już mnie historja porwała w swe kleszcze;
W cichym naszym domku jawią się wąsacze,
Ludzie różnej broni, powagi i rangi,
Żelazne ogniwa z rozbitej falangi,

A każdy z nich siarki dorzuca po szczypcie
Na żar mojej duszy: ten o Saragosie,
Ten prawi o Włoszech, tamten o Egipcie,
Ten swój krzyż pokazał, ów odkrył swe blizny,
A inny zapłakał na imię ojczyzny;
To znów gdy rozmarzy ich księżyca promień
Chórem pieśń wojenną puszczają po rosie....
Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń
W gorącą mą duszę dęło — buchnął płomień!

Chodziłem jak w ogniu z całą świtą marzeń,
Do nauk, do zabaw nie było ochoty,
I ciągle mnie rwało gdzieś za sielskie płoty;
Straciłem apetyt, sen, humor — pobladłem,
I z łaski wąsatych moich oratorów
Nakoniec obłożnie na zdrowiu zapadłem.
Nieboszczyk mój ojciec kochał mnie nad życie;
Zmartwił się nieborak, naściągał doktorów:
«Bierzcie całe mienie, a ratujcie dziécię!»
Doktorowie siedzą, radzą — i zwątpili;
Zmieniają lekarstwa — gorączka nie stygnie;
A ja ciagle jęczę i wołam w malignie:
«Ach ja tam pojadę, tam gdzie oni byli!»
Więc oni do ojca: «Panie — desperacja!
Rózga nie pomoże, bo mocna fiksacja —
Trza jechać.» — Moj ojciec płazem wziął tę troskę,
Wnet wyrobił paszport, wydzierżawił wioskę —
I ze mną na wojaż.

Na stu koniach jadę!
Każdy dzień zarumienia moje usta blade,
Sieje mi blask do oka i przysparza siły.
A jedziemy rodzinnem Podolem; mogiły
Z łona pól wstają — na nich posępny, samotny

Siedzi orzeł, tych grobów wysłannik powrotny,
Sprawia się z odbytego przed braćmi poselstwa.
Gdzieniegdzie przezroczysta, niewielka dąbrowa,
Kędy mnóstwo słowików nosi się i chowa,
A ona pełna jęków, pieśni i anielstwa
Stoi u mogił ni-to chór pogrzebnych płaczek.
Ciągnie się łan za łanem, obszar za obszarem,
Z jeziorek dolatują gwary dzikich kaczek,
Zresztą głucho; niekiedy równia się urywa,
Droga wężowym ruchem po kamieniach spływa
Do rzeki, co z poważnym szumem płynie jarem.
Jakież-to ona brzegi wygniotła ciężarem!
Piętrzą się skalne ściany, a na litych skałach
Sterczą zamków zwaliska; nieraz cichą nocą
Rozlega się grzmot w górach jak po samopałach,
Huk podobny taranom gdy mury druzgocą,
Zdaje się że zamek wre szturmem: to arkada
Pękła — i tym hałasem żegna świat i spada
Do wody zapomnienia. Kiedy księżyc blady
Srebrnem światłem spustoszeń pozaciera ślady,
Każemy stanąć koniom, do ruin idziemy —
Tam w zamkowym dziedzińcu siadamy na głazie,
A ojciec mi przed duszę obraz po obrazie
Ze starych kronik rzuca; i w ówczas ten niemy,
Ten śpiący zamek, dla mnie napełnia się wrzawą,
Jacyś ludzie stąpają zbrojni i w żelazie,
Inni jak w sufit mieczem biją pod murawą —
Słyszę ich! drżący, ręką po mem czole wiodę,
Serce mi bije głośno ... Złote serce młode!

Tak w pobożnej pielgrzymce stąpający skromnie
Po ziemi, co jak święta przemawiała do mnie,
A zdrowszy, bo uczuciem oddychając zdrowem,
Zwiedziłem kawał kraju. Staję za Tarnowem

Mój ojciec kazał zjechać z gościńca, a właśnie
Słońce kładło się do snu jasne, uroczyste,
A niebo było ciche, marzące i czyste
Jak me serce. Mazury na koniach hałaśnie
Krakowską ciągnąc zwrotkę na noclegi lecą,
W takt pieśni brzęczą kosy ostrzone na łące;
Opodal widać sioło — nad strzechami sioła
Roztacza się mgła biała jak skrzydło anioła,
A nad nią blachy krzyża jak gwiazdy wschodzące,
A pod nią szyby chatek jak łzy ludzkie świecą.
Ten widok tajemniczym upoił mnie czarem,
Gorętsza mi po żyłach przebiegła krew rwista,
Popatrzyłem na ojca — on w tle wioski szarem
Utopił łzawe oczy, a wyraz tak rzewny
Miał w twarzy; chwilę jeszcze waham się niepewny,
Nagle krzyknę: To Swierczków! — «Świerczków, moje dziécię,
Tutaj twoi przodkowie mieszkali lat trzysta,
A dziś nie wiem kto mieszka.» — Rodzinne tradycje,
Wszystkie, któremi ojciec młodość moją bawił
Wstały w mojej pamięci — i było mi błogo
Jakby mnie zmarłych ojców rój pobłogosławił.

Naszem szczęściem we dworze nie było nikogo:
Państwo, służba, ekonom — wszyscy do Krakowa
Pojechali — na kiermasz, jak nam kuchta prawił;
Więc wszelaką nam wolność gospodarz zostawił:
Chodzić, patrzyć, zaglądać — gdzie, ile się chowa
Po zgasłych pokoleniach pamiątek i wieści,
Co mieli tu rozkosze swoje i boleści.
Fundacji jeszcze dziada stał dworzec dębowy,
Widać że stary, lecz jak starzec czerstwy, zdrowy,
Posiwiał pleśnią wieku, nie pochylił głowy.
A obok osłaniały tę piastową chatę,
Lipy krzywe, zgarbione, w dole mchem kosmate;

Na jednej z nich rzezany w korze częstochowski
Wizerunek; tuż ciągnął się wirydarz włoski —
Dwa tylko miał po brzegach szpalery z grabiny,
A i w tych już przestronne świeciły łysiny.
Prawy szpaler prowadził na cmentarz arjański —
Pagórki grobów dawno pochłonęła ziemia,
Jednak było w powietrzu coś, coś — co oniemia
I każe mimo woli szeptać Anioł Pański.
Przodkowie moi obce przejęli «nowinki,»
Ojczyste zachowawszy cnoty i uczynki —
Ztąd kto w polu nie zginął, grzebał się w ogrodzie;
Tu spali w własną ręką sadzonych drzew chłodzie,
Wśród gwaru wnucząt, które biegają i rosną,
Nim kiedyś unużone życiem przy nich posną.

Milczący, posępny szedł ojciec przez grzędy,
Ja za nim — lecz moje hamował zapędy,
Bo stawał przeczęsto; czasem czoło potarł,
Albo się boleśnie uśmiechnął i głową
Pokiwał, niekiedy ukradkiem łzę otarł;
I tęskno mi było tak z myślą jałową
Iść za nim — i dotąd jam drogę zabiegał
I oczy ku niemu podnosił ciekawe,
Aż mi z tych uśmiechów i z tych łez zdał sprawę.
Więc zmrokiem, gdy dzwon się za zmarłych rozlegał,
On mówił o zmarłych; ja znowu acaństwu:

Mój pradziad, sól w oku całemu arjaństwu,
Bo błędy na starość odprzysiągł kacerskie,
Pół wieku prowadził rzemiosło rycerskie;
A mówią, że dziki był w wojnach i skory
Na karkach bądź jakich złe spędzać humory.
Proszącym na klęczkach pardonu nie dawał,
Na życie bezbronnych w swej pasji nastawał,

Tak w mordach lubieżył, tak we krwi się pluskał,
Że hetman go gromił: «Ej waszmość mi bredzisz,
Zbiesiłeś się iście, zanadto krwi cedzisz.» —
On śmiał się i ręką skrwawioną wąs muskał,
A drugą na własne pokazywał blizny;
I w takich zabawach doczekał siwizny.
Aż nagle zaczęło szwankować mu zdrowie,
I kiedy już niemoc zsunęła go z siodła,
Pożegnał swe znaki i osiadł w Świerczkowie.
Tu czarna posępność nad nim się rozwiodła —
On człowiek potęgi, działania i buty,
Bezwładny na nogi, do krzesła przykuty,
Weseląc dnie swoje żołnierską pieśń śpiewał;
A noce nie lepsze, bo ze snu się zrywał
I wołał i krzyczał: «Precz, precz krwawe mary!»
Snać gorsze niż w nogach miał w duszy ciężary.

Sprowadzi anioła kto w bolu go woła;
Duch wznosi się wyżej, czem głębiej się zniża;
I on potępiony, samotny i chory
Wyjaśnił swe wnętrze blaskami pokory,
I kazał się zanieść w święto do kościoła,
I tam przed ołtarzem leżał znakiem krzyża —
A potem publicznie przed tłumem gromady
Uczynił swą spowiedź spłakany i blady,
I błagał o odpust; kapłan się rozczulił,
Pospieszył ku niemu, do piersi go tulił;
A gdy do wiecznego przystępował chleba,
Przez okno w sklepieniu strzelił promień z nieba,
Lud szlochał i śpiewał i cieszył się wiele,
Że z panem już w jednym modli się kościele.

I po tej spowiedzi odmienił się wcale,
Posażył klasztory, zakładał szpitale,

I stał już u Boga widocznie przy łasce.
W dzień jasny nie zdołał poruszyć się z krzesła,
Lecz kiedy wieczorna gwiazda się podniesła
I rozległ się odgłos zadusznego dzwonu —
Jak Łazarz zbudzony na Pańskie wołanie,
O własnej wstał mocy i wsparty na lasce
Cud żywy! szedł z dworca na środek gazonu;
Tam klękał — gwiaździany blask pięknie go zdobił,
I świecił do późna w swym białym żupanie,
Do późna się modlił za tych, których pobił.

Tak płużył staruszek łagodny i święty
W swej skrusze — i tylko nieznośne czuł wstręty
Ku wszemu, co dawną wspominało wojnę;
Więc w jego pancerzach koń jadał obroki,
Gołębiom dał hełmy — i ptactwo spokojne
Ścieliło w nich gniazda; o jakież-to głębie!
Człek krwawy, człek mordu hodował gołębie
Sam biały jak gołąb. Niezliczone stada
Ciągnęły nad domem jak białe obłoki —
Niekiedy ten obłok przechyla się, spada
I słoni obrusem dziedziniec szeroki.

Co ranku, szeptając ostatki pacierza,
Wyjeżdżał pradziadek ze swego alkierza,
Na krześle kolistem toczyło go z pracą
Dwóch rosłych hajduków — ciężkiego był ciała —
Przed gankiem na niego już służba czekała:
Więc najprzód gumienny — gumienny ladaco,
Co zawsze z niechęcią przynosił swe ziarno
I mawiał że zbiory przepadają marno —
Pochmurny stał z pełnym workiem i z przetakiem;
Tuż strzelców dwóch, w kurtach, z nabitym półhakiem —
Herbowa to szlachta, umyślnie trzymana

Na zgubę jastrzębi, a brała od pana
Za każdego trupa po dukacie w złocie.
Zaledwie pradziadek wjechał swą karocą
Przed dwór na murawę, już gołębi krocie
Zlatują się zewsząd, nad nim się trzepocą,
Śmielsze na ramionach siadają, na łonie,
Aż musiał staruszek o własnej obronie
Pomyśleć — więc krzyknie — i cała gromada
Patrząca mu w oczy ordynkiem usiada;
On ręką opatrzną dorzuca jej grochu,
Pod gradem łakoci znów wiele popłochu —
Objeżdża swoj naród, wodzi okiem bystrem
I z jednym ze strzelców mówi jak z ministrem.
«Na rany Chrystusa! a gdzież ów czubaty?
Waszmoście coś darmo bierzecie dukaty —
To Boże pospólstwo! to słodka czeladka!
Ja nad tem się trzęsę jak ojciec, jak matka...
Ej, bądźże mi czulszym wielmożny i miły,
Bo wtrącisz przed czasem brata do mogiły —»
Więc strzelec donosi, że właśnie ów grucha
Nad gniazdem samiczki, a ona go słucha —
Ztąd wolą samotność i przysmakiem gardzą;
Tą wieścią pradziadek ucieszył się bardzo.

Nim czarne nad krajem zahuczały burze
Powołał go Pan Bóg do światła i chwały
I został pochowan w Zbylitowskiej Górze;
W zakonnej sukience złożony na marach,
Gdy jechał w spokoju przy mnogich sztandarach,
Sieroce gołębie nad wozem leciały.

. . . .

Chowano sokoła razem z gołębiami!
Uczono go długo a wcześnie od puchu

Nie latać za sioło, powolnym być w ruchu —
Gdy poczuł moc skrzydeł — poszedł błękitami!

Choć go na mazgaja kierowano z dziecka,
Ozwała się w dziadku krew rzutka, szlachecka;
Jedynak, po ojcu fortunę wziął znaczną
I jak stan przykazał żył huczno, dworaczno.
Z korzyścią skończywszy nauki mozoły
Przeszedł do burzliwej, sejmikowej szkoły,
Ztąd o nim mówiono, że wielka wątpliwość,
Co miał ostrzejszego czy szablę czy pióro,
Bo jednem i drugiem machał expedyte.
Ściągała też jego uczynna poczciwość
Z dziesięciu powiatów sprawy rozmaite;
Przyjeżdżał brat szlachcic, wita: «Góra z górą!...»
A resztę w siarczystym topi pocałunku,
I wnet o procesie o swoim frasunku,
Aż woła ze łzami: «Radź, ratuj Stolniku!»
Więc siedział najczęściej Stolnik — przy stoliku.

Gdy każda na Świerczków prowadziła droga,
Schodziło mu życie jakby na sejmiku.
Miał miłość u ludzi i łaskę u Boga
I ziarno w śpichlerzu i konie pod siodło,
I żonę pobożną i synów pod wąsem,
I wszystko jak z płatka jakoś mu się wiodło.
Raz w liczbie niezwykłej nadlecieli bracia
I w twarzy oblani radośnej krwi pąsem
Krzyknęli od bramy: Hej! konfederacja!!

Hej, konfederacja! zaszumiało w kraju —
Od brzegów bursztynnych po brzegi Nogaju
Gdzie domek niewielki kord dzwoni, koń parska.
O stosie płomienny! O ofiaro Barska!

Tyś pierwsza ku niebu powiała kadzidłem
I odtąd my cierpim wśród woni; krwi fala
Nie gasi tych ogniów — niech stos się dopala!
A Feniks potężnem podniesie się skrzydłem!

Za mojej bytności, w pokrzywie a w śniedzi
Stał jeszcze u wnijścia ogrodu piedestał,
Lecz za dobrych czasów samotny on nie stał,
Dźwigał on Atlasa, ten znown glob z miedzi;
Wieśniacy co pogan wymysłów nie znali
W swej złotej prostocie Jadamem go zwali.
We dworze u dziadka tak wrzało jak w ulu —
Radzono o rzeczy publicznej — o królu:
Czy tylko pogrozić, czy detronizować;
Więc nim w pole ruszą z chorągwią rozwianą
Przyjętym zwyczajem manifest pisano,
A że Moskal począł w okręgu grasować,
Na komin — wsadzono Mazura na czatę.
Nie kontent z tych długich pisanin — przed ganek
Wyleciał z impetem szaraczek-mopanek,
I w gniewie nasadził, poklepał rogatę,
I ręce w tył złożył, wąs w górę najeżył,
I z swoją niechęcią przed niebem się szerzył:
«Post festa manifesta! — ja zawsze powiadam —
Co siedzieć? co radzić? — manifest przy boku!
To sprawa tak czysta jak oko — powiadam,
Powiadam — a oni źdźbła szukają w oku;
Papiery na plaster, lecz wprzód ranę zadać!
Bij wiele, mów mało; bić! bić! a nie gadać!»
I dobył z jaszczura, i zaczął się składać,
A idąc tak naprzód gdy macha i hasa,
Jak w bramę kijowską uderzył w Atlasa.
Zhamował się szlachcic: «A co to? — powiadam —»
Ba! patrzy: figura — figura i bania —

Więc cofa w konfuzji, poważnie się kłania,
A głowę do warty zwraca na kominie:
«Słysz chłopie! a co to za święty?»

— To Jadam!
Lecz szlachcic był w jakiejś feralnej godzinie,
Nie słyszał; raz jeszcze powtarza pytanie —
«To Jadam!» — z całego gardła Mazur wrzaśnie —
Przez okno głów kilka wyglądało właśnie,
Więc rwetes, krzyk, hałas: «Tu jadą mospanie!
Kozacy już blizko — panowie, za szable!»
Piorunem sejm cały w podwórze wypada,
Gorętsi broń ostrzą i kulbaczą konie,
Kilku patrzy w komin i Mazura bada:
«Gdzie jadą? — a wiele? — no prędzej, mów djable!»
Chłopek coś tłumaczy, rękami rozkłada,
Lecz wrzawa go głuszy — aż i ona chłonie;
Więc rzecz się klaruje, wyjaśnia się chmura,
I wszyscy wracają do szklanek i pióra.

Och! dzieje człowieka, i narodów dzieje
Na dwóch tonach grają jak dramat Szekspira,
Jak jakaś szalona o dwu strunach lira,
Gdy jedna wciąż płacze a druga się śmieje.
Tym sprzecznym uczuciom jak uczynić zadość?
Płakać jest słabością — śmiać się, często grzechem;
Więc mędrzec idący przez świata otchłanie
Na wszystko pogląda z łagodnym uśmiechem.
Bo w takim uśmiechu jest smutek i radość,
I jest dla każdego gotowe pytanie —
Dla tych co się śmieją: czego się śmiejecie?
Kiedy może jutro poznacie się z łzami!
A dla tych co płaczą: i czego płaczecie?
Kiedy jutrznia błyska i Bóg jest nad wami!

Wesoło się działo u dziadka w Świerczkowie,
Tu kują żeleźce, tam topią ołowie,
Z lamusu odwieczne wyciągają bronie,
Luzaki przed domem nałamują konie.
Bo dziadek w ofierze wyprzedzić się nie dał,
Sauguszce z Tarnowa dwie piękne wsie przedał
I hufiec orężny dla kraju wystawił
I z dwoma synami w szeregu się stawił.
A gdy się pożegnał już z żoną i dziećmi,
To dobył siedzący na koniu szkaplerza
I oczy wzniósł w niebo: «O Matko! Ty świeć mi
Nad mojem tem gniazdem» — i palnął z moździerza
I ruszył z kopyta.

Wojował trzy lata,
Wskróś przebiegł ojczyznę i borem i polem,
Syn jeden mu poległ pod Krystynopolem;
I późną jesienią, co liściem zamiata,
Rozbitek, do domu wrócił jak liść zwiędły,
Zielone nadzieje już mu się wyprzędły,
Zpowolniał, osmutniał bardzo, zwiesił głowę;
Próżno go witają żona, dzieci zdrowe,
Próżno przyjaciele cieszą go najszczersi,
On głowy stroskanej nie podniósł już z piersi;
Otrutym był w sobie, gdy usta przyłożył
Do naszego żółci pełnego kielicha;
Szczęśliwy, bo wkrótce do trumny się złożył,
A twarz jego była boleśna — lecz cicha.

Kiedy już na bryczkę siadać nam wypadło,
Nadeszła gromada z sołtysami w czele,
Między niemi jedno półwiekowe stadło,
Któremu dziad jeszcze wyprawiał wesele.
ᵀ wszystko do kolan ojcu się schyliło

I zaczęło prosić: «Zostań panie z nami,
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami,
Z nimi naszym oczom pół słońca ubyło;
Zostań panie z nami, prosimy z miłością,
Niech znów nasze ręce zejdą się na łanie,
A głosy w kościele, a w grobie kość z kością,
To Bóg się ucieszy; o wykup nas panie!» —
Łzy mojemu ojcu puściły się strugą,
Jechaliśmy smutni — długo jeszcze długo
Ojciec twarz odwracał i na bok pozierał,
I nibyto czoło ze znoju ocierał —
Snać płakać przy synie miał sobie za zakał;
Bystre oko dziecka — widziałem, że płakał.
Od onego czasu gdy nasz protoplasta,
Towarzysz swawoli szalonego Piasta
Z rozdziczałem sercem, w okropnej przechwałce
Na Bożego sługę miecz podniół na Skałce:
Pogodzeni z Bogiem, pokutą obmyci,
Skłonni są do płaczu wszyscy Szreniawici.

Rozbudzona fantazja dziwnie we mnie grała,
Co też — to nie roiła moja głowa mała!
Raz wraz coś mi dudniło pod kołami bryczki...
Czy znacie wy panowie kopalnie Wieliczki?
Oh! was świata wędrowców prędzej niosła fala
Gdzieś pod grotę błękitną lub w jamę Fingala,
Niż nad brzegi wiślane; dawny to grzech człeka,
Wszystko mu milej pachnie i świeci — zdaleka;
Ale ja od młodości inny byłem zawdy,
Blisko siebie szukałem piękności i prawdy,
I znalazłem! — i dzisiaj chwili mego śnienia
Nie oddałbym za wasze choć wszystkie wspomnienia.

Chociaż w czytaniu wierszy nie jestem zelantem,

Przewodnika naszego porównałbym z Dantem:
Blady, kościsty, wiódł nas w otchłanie podziemne.
Ciągną się w różne strony korytarze ciemne,
To sklepią się nad nami ogromne kościoły,
Z których dawno uciekły światło i anioły,
A został cud budowy, czarnoksiężki, dziki.
Po rozległych ciemnościach snują się ogniki,
Jedne czerwonym błyskiem wręcz się zapalają,
Inne gasną, znów inne schodzą się i stają;
Istne duchy piekielne, nim nas ubezpieczy
Z tych świateł dochodzący głuchy głos człowieczy.
Nagle huk! jak gdy razem uderzą dział krocie —
Śród migotającego lampy oświetlenia
Zdawało się, że wszystkie spadają sklepienia,
Echami rozniesiony bije grzmot po grzmocie,
Z głębi pieczar wre ku nam jakiś krzyk donośny,
Straszny, dziki, rażący, choć niby radośny,
Postacie z bladą twarzą po pas obnażone,
Na kołpakach niosące płomyki czerwone,
Śmiejąc się i żelaznym wywijając drągiem,
Tuż przemknęły i w blizkim zapadły się lochu:
W przelęknieniu kamiennym stałem się posągiem,
Przewodnik rzekł: piękna gra! nie szczędzono prochu.

Przez cyple alp podziemnych, przez skalne rozłamy
I długim nad przepaścią zawieszonym mostem
Do zjeżonej kolcami dochodzimy bramy;
Ona czarna, wiekowym zjeżona porostem
Otwiera nam ulicę, tej każdy brzeg stromy
Wlecze się nagi, prosto — jako miejskie domy,
A w ich wnętrzu śród stękań słychać młotów kucie;
Patrząc na te zamknięte mieszkania ponure
W głębokiem przerażeniu strętwiało me czucie,
Myślałem że to duchy zaszczepione w skałę,

Bez światła, na pokucie pędzą wieki całe
I w szalonej rozpaczy rozrąbują górę.

Niby we śnie dantejskim pogrążony idę
Kręconemi schodami to w górę, to na dół,
W jednem miejscu na wielką trafiam piramidę,
Lecz nie miałem odwagi czytać jej napisy,
Które pewnie szydzące wykonały biésy.

Obszerniejszą przestrzenią roztacza się padół;
Jaka smętna, jak pełna żałoby dolina!
Nad nią swoje całuny wieczna noc rozpina,
A bokami na skałach szereg ogniów błyska
I ukazuje mury i baszty zamczyska.
Nagle te ognie pchnięte wszechmocnym rozkazem
Zerwały się jak ptaki, złączyły się razem
I lecą przez powietrze — wnet już są nad nami...
Jezus Maryo! w jeden straszny kłąb splątani,
Cudotworce czy widma, ludzie czy szatani,
Ryczą pieśni nieznane, trzęsą pochodniami
I podnoszą się w otchłań, duchy szybkopióre...
Jeszcze świecą, już znikli, snać zaszli za chmurę.

Coraz dzikszym parowem, posępniejszą drogą,
Śród pieczar, w których oczy utonąć nie mogą,
Za wiodącym kagankiem przyszliśmy nieskoro,
Nad czarne, żadną falą nietknięte jezioro.
Po jego brzegach chodzą ciche, zadumane,
Zapewne cienie, w białe płaszcze spowijane,
Inne siedzą na głazach, same nakształt głazów,
Milczą i dopatrują w toni swych obrazów;
Podobna do ciemnego ze stali źwierciadła
Woda odbija twarze ich i prześcieradła.
Przewodnik dał znak ręką — i wnet łódź przybiegła,

Wsiedliśmy w nią, a ona ślizką piersią legła
Jak wąż na szybę lodu i bez szmeru sunie;
A mnie się wydawało przy kaganków łunie,
Że cienie pozostałe na brzegu, ze drżeniem,
Długiem, tęsknem powlokły za nami spojrzeniem.
Przechyliłem się z łodzi — ot, ciekawość młoda,
Wody usty dotknąłem — jak łza słona woda,
Mogłem myśleć: te duchy pędzone rozpaczą
Tu schodzą się, na brzegach siadają i płaczą.

Ciężko mi było, duszno w tym podziemnym gmachu,
W nim jednego doznałem uczucia — przestrachu;
Jakże się ucieszyłem, kiedy nasz przewodnik
Wskazał nam na wierzch ziemi prowadzący chodnik,
Tam gdzie słońce, a na niem pogodny Bóg mieszka.
Lecz wprzód jeszcze uboczna powiodła nas ścieżka
Do białej, kryształami świecącej kaplicy;
Jak cicho! przed ołtarzem modlą się górnicy,
Jedna samotna lampa nad nimi się pali;
Tu oni wizerunek sobie wyciosali
Zbawiciela pod krzyżem upadającego —
I często tu wbiegają pobożni prostacy
I długo się wpatrują w męki Jedynego,
Ile razy na siłach upadną przy pracy.
Ja także utonąłem w modlitwie jak w Lecie,
I lżejszy zapomniałem o podziemnym świecie
Pełnym nocnych przerażeń, tajemnic i grozy.
«Szczęść Boże! w górę, w górę!» prężą się powrozy,
Wyciągają nas szybą; przed podróży końcem
Serce długo w grobowym zasępione zmierzchu
Wybiegło witać słońce — choć źle i pod słońcem.
Raz jeszcze zaglądnąłem stanąwszy na wierzchu
W ten otwór, co jak paszczę tajemniczej sfingi
Niegdyś rozwarł zaklęciem pierścień świętej Kingi.

Wątpię, czy wasze serca pukały tak mocno,
Gdy idąc ogrodową ścieżką, chwilą nocną,
Do najpierwszej kochanki, co czeka w altanie,
Garnęliście do duszy słowików śpiewanie
I nagle bielejącą sukienkę zoczyli:
Jak moje — kiedy ojciec siadłszy do powozu
Powiedział: do Krakowa ztąd półtora mili.
Nasz Kraków, to jak namiot wodza śród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Zkąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.
Gościńce, co doń idą, ciągle wznoszą pyły,
Napełnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi spieszą;
Pobożną uroczystość ludzie niosą w oku,
A konie z własnej woli podwajają kroku.
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,
A dusza w niej zamknięta lotniejsza i wietsza,
A taką chwilę daje — widok tego miasta.
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydłaty
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,
Czyli gdzie nie wybłyska łuna z aureoli
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...
A w tem ostatnia góra schyla się powoli,
Dwa kroki — i stoma wieżami wstał Kraków!

O nasza Jeruzalem! forteco duchowa!
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,
Zamilkły po krużgankach cytry i cymbały,
Na ołtarzach jaszczurki tanecznice skaczą,

Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa co wieczne,
To co nad miody słodsze i nad mleko bielsze
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach wieje,
Bo masz skarb, do którego nie trafią złodzieje,
Bastiony twoje ludzkiej urągają mocy,
A straże odprawują na każdym — prorocy.
O trumno! ciebie strzegą napróżno żołdacy,
Próżno po twoim wierzchu pełzają robacy,
Próżno cię pajęczyna i pleśń trupia szpeci,
Już twojego zamknięcia kończy się dzień trzeci!
Anioł-budziciel szumi skrzydłem niedaleko,
Spłynie, dotknie cię stopą — i pęknie twe wieko!

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To, co i wieczność nie prześni!
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór Serafinów.
Schyliłem czoło w pobożnej skrusze
I w mury wstąpiłem grodu,
Kędy za naród kładli swą duszę
Opiekunowie narodu.
Sto wież tam wita słońce wschodzące,
Wznosi hejnały pochwalne;
Dawniej, to ręce światu grożące —
A dziś, to ręce błagalne.
Zwiedziłem stary zamek uroczy,
Kościoły i dawne domy,
A w tych przybytkach przed moje oczy
Stawał duch ojców widomy.
Myśl, co do głazów jak tynk przyległa,
Niewyczerpana bez krańców,

A słowo, które wyłania cegła
  Przechodzi w piersi mieszkańców.
Niech nikt nie mówi, że przeszłość mglista,
  Lecz że źrenica nie czysta;
Niech nikt nie mówi, że kamień niemy,
  Lecz że nie wszyscy słyszemy.

Ze czcią nie w jedną zajrzałem trumnę:
  Czoła pogodne, rozumne,
Dłoń na żelazie oparta chrobrem,
  Serce aniołów pod ziobrem.
Z jakiem uczuciem konali Starzy
  Na ich obliczach się znaczy:
Jasna powaga patrzy im z twarzy:
  A gdy ból — to bez rozpaczy.
W dzisiejszych trumnach jaka namiętność,
  Jakie niespokojne śnienie!
Często głupota i obojętność,
  A gdy ból — to i zwątpienie.
Hej! inny żywot tamci pędzili,
  Żywot świąteczny, wesoły:
Sprawiali uczty, za kraj się bili
  I budowali kościoły.
I w tych kościołach śpią teraz błogo,
  W rajskie ubrani uśmiechy,
Bo ziemia wielbi ich pamięć drogą,
  A Bóg przebaczył im grzechy.
Żółciąby zaszło serce anioła,
  Zgrozaby siadła śród czoła,
Dłońby pomknęła do karabeli
  Gdyby nas nędznych ujrzeli!

Kto mi określi, kto mi opieśni,
To, co i wieczność nie prześni!
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór Serafinów.
Zdobyć się daje wiara wielmożna
Sercem dziecięcem, prostaczem,
A ojców z grobu wywołać można
Jedynie synowskim płaczem.
Jam ich wywołał! i wszyscy razem,
Wszyscy stanęli przedemną;
Jak z relikwiami, z tym ich obrazem
Chodzę i żegnam moc ciemną.
I więcej wieszczej, twórczej żałoby,
Więcej duchowej potęgi,
Dały mi w ówczas mury i groby,
Niż później ludzie i księgi.
Mamże wystawić skarby zdobyte,
Duchy wyniosłe, to smętne,
Świętych wesela, rany odkryte,
Przed oczy, co obojętne?
Wolę je wszystkie zagrzebać w sobie,
Niech spoczywają jak w grobie;
Z chwały i z cnoty ojców obdarci
Wyście ich dziejów nie warci!

Może pozornie, może w chęciach stalszy,
Ojciec ze sobą ciągnął mnie w świat dalszy,
A łzami serce, mgłą zaszła mi głowa,
Kiedy mi wieże zniknęły Krakowa.
Toż choć na ulgę mój duch rozżalony,
Czepiał się ruin Tyńca, Lanckorony,
Piął się na szczyty Tatrów niebotyczne;

Ale gdy słupy ujrzałem graniczne
I te przestrzenie dalekie a ciemne,
Gdzie wszystko obce, wstrętne i odjemne —
A tuż za sobą zostawiałem w krasie
Ojczyznę, co jak matka ze mną zna się,
Co wnet z kolebki w lata niemowlęce
Biała jak anioł wiodła mnie za ręce,
I słodkie ku mnie nachylając lica
Oprowadzała małego dziedzica
Po swoich skarbach i cokolwiek miała
Nazwała słowem i udarowała:
To tak mej duszy zrobiło się smutno,
Jakby mnie gwałtem kto ręką okrutną
Od matczynego chciał oderwać łona.
I szyję ojca ująwszy w ramiona
Rzekłem: Mój ojcze! każ nawrócić konie,
Nic tam nie znajdę, a co mam — uronię.
A ojciec: «Synu, uściskać cię muszę,
Boi się straty, kto pełną ma duszę.
Śród pól ojczystych kto chodzi o głodzie,
Nie będzie syty w egipskim ogrodzie;
Czyja pierś w własnej ojczyźnie zaskrzepła,
I pod równikiem nie uczuje ciepła.»
To mówiąc moje ucałował czoło;
Wracamy — a mnie lekko i wesoło,
Trawkę przy drodze, liść na drzewie witam
I w każdym liściu powitanie czytam.
I odtąd ojciec już miał we zwyczaju
Co roku wozić mnie po polskim kraju;
Każdą piędź jego znam jak własne grzędy,
Gdzie władza Polski sięgła — byłem wszędy.
Ach! pokochałem tak ojczyznę piękną,
Że mnie się kiedyś aniołowie zlękną,

Jeźli przed nimi moja dusza wyzna,
Że mi nad niebo milszą jest ojczyzna.
A moja miłość, to nie marne słowo,
Myślą i czynem i sercem i głową,
Każdą ją chwilą życia mogę dowieść...
A wy panowie, czem? — Skończyłem powieść.

r. 1853.

POGRZEB KOŚCIUSZKI.

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość gorująca
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą;
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniej szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
«Koso nasza! choć zdaleka patrz na Naczelnika!» —

O, panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i «co zacz on» pyta —
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj mości Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: «Ja, Król chłopków, rękę ci podaję,
Wzdy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!»

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
«Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeźli prawda, że krzyknąłeś raz: Finis Poloniae.»

Na to hetman: «O, mój ojcze! choć sercem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach — tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: Jeszcze nie zginęła!»

*

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybili
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stają przed kościołem.

Na ambonie krasomowca, nie kapłan natchniony,
Krągłe słówka i świecące wysела z ambony,
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,
W obec trumny coś wspomina — o carów dobroci!

Hej hetmanie! hej jedyny! całun z siebie ściągaj!
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij: «Nie urągaj!
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich słów chrzęście,
Płacze za mną, modli Bogu — ale ściska pięście!»

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono;
Wrócił szeląg petersburgski do swojej wypłatni:
Legł u wrogów król ostatni — daj Boże ostatni!

Ten, co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu,
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: «Och, już go zamknęli!»

*

«Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy;
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,

Tybyś cieszył się z jej brzęku choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!

Jeźli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie,
Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę — a czyja to? — spyta."

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —.
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

*

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... „Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament."

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przekazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie..."
mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

r. 1853.

OBJAŚNIENIA.

JASNOWIDZA NIE ZWABIŁY UWODZĄCE WIEŚCI.

Jednym z najpiękniejszych rysów czystej, do jasnowidzenia podniesionej duszy Kościuszki, jest jego sąd o Napoleonie. Kiedy pół świata łechtane przez nowożytnego Cezara sławą lub nadzieją, otaczało go uwielbieniem; kiedy drugie pół rozdraźnione bojaźnią lub prześladowaniem, wrzało ku niemu nienawiścią: Kościuszko jeden, sędzia bezstronny, (duch cnoty i poświęcenia, ocenił moralną stronę człowieka wieku i — pogardził nim. Napróżno wielki kuglarz, genialny samolub, to podchlebstwem, to groźbą chciał zmusić wychowańca Washyngtona do oddania się jemu za narzędzie. Ręka despoty przyzwyczajona giąć wosk miękki, trafiła na żelazo. Więc Napoleon fałszuje w r. 1806 proklamacyę z podpisem Kościuszki i z tem imieniem jak z rozwiniętą chorągwią wkracza do Polski. Pod tą chorągwią stanęło w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy nowego żołnierza. Kościuszko mieszkający naonczas blizko Paryża, strzeżony przez stuokiego Fouchégo, nierychło dowiedział się o tem oszustwie, a dopiero w r. 1814 był w możności umieścić po dziennikach swoją pełną oburzenia protestacyę.

A HEN Z TYŁU CHMURA CHŁOPSTWA...

„Starzy wysokiej rangi wojownicy nieśli trumnę... poczem następowały: Generalicya, senat, duchowieństwo i obywatele. Lud zamykał pochód.“ (Falkenstein.)

Jeżli gdzie, to na pogrzebie swego Naczelnika lud powinien był mieć pierwsze miejsce.

... TYCH SŁÓW NIE WYRZEKŁEM!

Finis Poloniae, słowo straszne, złowrogie; dające uniewinnić się zwątpieniem, które i najwznioślejsze duchy chwilowo przygniata, a jednak faktycznie niepodobne, aby mogło być wyrzeczone pod Maciejowicami przez Kościuszkę. Wiemy, że w końcu krwawej tej bitwy pozostała garstka Naszych,

w rozsypce szukała ocalenia. Kościuszko uchodząc na koniu, przedzierał się zaroślami i trzęsawiskiem; dognany przez prostych kozaków, skłuty i zrąbany, bez przytomności padł na ziemię. Szczegółów tych nie podaje nam żaden z Polaków, widać nie było ich w pobliżu; a kozacy opowiadający je przed Fersenem w obecności jeńców polskich, nie przytaczali żadnych słów upadającego Naczelnika. Toż i Naczelnik dla określenia swej rozpaczy nie używałby obcych wyrazów; każdy monologiczny wykrzyk szczerego, gwałtownego uczucia, tylko w ojczystej wyrywa się mowie. Zbytecznie rozszerzamy się z naszemi dowodami, zwłaszcza, że chcieliśmy jedynie umieścić następującą notę: W zbiorze Leonarda Chodźki w Paryżu, znajduje się list T. Kościuszki, w którym tenże oświadcza, iż nigdy przy żadnej okoliczności, przypisywanych jemu słów: Finis Poloniae, nie powiedział.

NA AMBONIE KRASOMOWCA, NIE KAPŁAN NATCHNIONY...

Tą strofą nie mieliśmy wyłącznie na myśli kaznodzieji przy egzekwiach Kościuszki; tem mniej chcieliśmy jemu samemu ubliżyć. Podzielał on ogólną prawie słabość tej części narodu, która rozrzutna w poświęceniach, nigdy nie ufała sobie, ciągle potrzebowała bożyszcz i z jedną pochopnością garnęła się do Napoleona, a później do Aleksandra, tak zwanego restauratora Polski. Imię tego kaznodzieji zatailiśmy umyślnie w naszym rapsodzie; bojąc się jednak, aby czyjakolwiek zbyteczna ciekawość, odgrzebawszy to imię, nie oddała je na poniewierkę, sami w tem miejscu wolimy je odkryć: Przy obchodzie pogrzebowym Kościuszki kazał ks. infułat Łańcucki, proboszcz kościoła Panny Maryi, ostatni protektor bractwa Miłosierdzia przez Skargę założonego, dotąd ze czcią wspominany dobroczyńca ubogich Krakowa; umarł 29. grudnia 1841. roku.

W MIEJSCE, GDZIE KRÓL CHCIAŁ SPOCZYWAĆ, HETMANA SPUSZCZONO.

W roku 1783 Stanisław Poniatowski, król polski, grób ten odnowiwszy, złożył w nim Jana III. zwłoki, a dla swych przeznaczył miejsce, w którem dziś stoi sarkofag z Tadeusza Kościuszki zwłokami. (Mączyński.)

KONFEDERAT.

URYWEK.

— Już z lasu? tak rychło? a jak tam? a co tam?
Ou! zmarzliście widzę; ot w kącie tam macie
Prawdziwą gdańszczankę — a dajcie relację:
Są dziki? — „— — — — — — — — — —
— — — —“ — Nie lubię konceptów niemieckich,
Na saniach pytałem, na saniach strzeleckich;
Lecz pono za grzechy wami się kłopotam,
O waszem myśliwstwie pisano szeroko —
Ej! żeby to nogi, a ręka, a oko,
Sam jeszczebym w lesie pokazał co umiem.
„— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — —“ — Ah! tak, to rozumiem,
Więc pole nieczyste, więc i szumna knieja?
Wraz zgadłem z komina, że będzie zawieja,
Wy ledwie za bramę, a wicher się zerwał...
„— — — — — — — —“ — Waść mi przerwał,
Dodać jeszcze chciałem, że w podobnym razie
Należy pomyśleć wcześnie o nakazie,
Aby dzikom odwrót zagrodzić od Mełny —
Strzelcami obstawić linię — księżyc pełny
Wytrze niebo — pewna na jutro pogoda.
„— — — — — — — — — — — — — —?“

— Miły kawalerze, za serce mnie chwytasz
Kiedy waść o zdrowie mego sługi pytasz —
Dziękuję za pamięć, zdrowa moja psina;
Ależ stara, stara — żeby ona młoda
Zagrałażby waściom! — Z jej prababką sławną
Jeździłem na Litwę, lat temu... oh! dawno —
Polowałem w lasach podobno Suzina,
A był tam Radziwił — za głowę się chwycił
Przy jej graniu; wkrótce listem mnie zaszczycił —
Miodem był pisany, prosił, świecił bakę,
Wieś a choć pół Litwy dawał za sobakę;
Odpisałem: „Książe! pies psem, Litwa Litwą,
A wieś u mnie książe, to jak włos pod brzytwą,
Dziesięć ich straciłem na psy i na knieje,
Gdy ostatnią stracę — miej wtedy nadzieję!“
I jak mi mówiono, trzy dni desperował,
Nie jadł, nie pił; — żal mi było nieboraka,
Lecz cóż, kiedy u mnie już natura taka.
„— — — — — — — — — — — — —
— — — — — —.“ Ho, waszmość spudłował!
I dzisiaj niech zjawi się drugi Radziwił,
Tę samę jak dawniej pokażę mu drogę.
I czego się śmiejesz? czegoś się zadziwił?
A na co fortuna — gdy strzelać nie mogę!
Toć przecie ta suka, to jedyny szczątek
Z lat dawnych a błogich; gdy do mnie przybiegnie,
To wbiega z nią razem czereda pamiątek;
A kiedy na łożu przy nogach mi legnie,
To mi się śni nocą, że usypiam w lesie
Z rusznicą przy boku a z głową na pniaku,
Że echo po górach odgłos trąbki niesie,
Pięćdziesiąt sfór gończych przy mnie się pokładło,
A strzelcy ognisko zażegli przy krzaku
I liczą po cichu ile zwierza padło.

A czy waść uwierzysz, że temu dwa lata
Obił to psie stare, ten urwis od świata,
Ten lizun półmisków, ten Niemiec Mykita —
Dwadzieścia łóz dostał — i miała być kwita?
Jabym go powiesił choć krzyżyk dziesiąty,
Gdybym nie szanował chleb i cudze kąty.
„— — — — — — — — — — — — —“
Nie cudze, nie cudze! ot, szukasz napaści,
Jakem konfederat! dobrze mi u waści;
Milioner! a byłem w nędzy, w poniewierce
Nim ty otworzyłeś mi dom, ach! i serce...
Z miłością jak ojca przyjąłeś starucha;
A Jejmość? toż ona prawie na mnie chucha,
Strzeże mnie jej oko słodkie i staranne...
Chodź, niech cię uściskam — widzisz, łza mi cieknie,
No! zdejm ją ustami — prędzej, bo ucieknie.
„— — — — — — — — — — — —
— — —.“ — Na ręce Jezusowe ranne!
Ja, prawo do serca?! — jakie miałem prawo?
Że w twojem sąsiedztwie chodziłem dzierżawą?
Żem tobie najlepsze plądrował dąbrowy? —
Do wrót twych stukając, cóż rzekłem? „Herbowy!
Z twym dziadem o jedną rąbałem się pannę,
Daj strzechę, bo zginę pod żydowską ławą!“
I dałeś; a cóż ja? — stary bałamutnik,
Za młodu nicpotem — impetyk — rozrzutnik —
Tfu!! — „— — — — — — — — — — — —
— — — — —.“ — Jak się tu nie sierdzić!
Gdy lampa dogasa, to knot musi śmierdzić,
I starość ma swoje zgryźliwe humory;
Wasz dzwon na prymarię, a mój na nieszpory —
Wam igrać do słońca wesoło i butno,
A dla mnie zapada już noc — to mi smutno!
Po trzech pokoleniach chodzę ja w żałobie,

Kogo tylko sercem przypomnę — śpi w grobie!
Tak sunę przez groby, w mój grób — co otwarty...
„— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —.“
Upiorem ja jestem — lubię być sam na sam;
Kiedy śród cichości w kątku siędę sobie,
Na błonia pamięci hej! jadę i hasam,
Hej! myśli ze smyczy wypuszczam jak charty,
Tumany, wir, tentent — aż w głowie się kręci
Wszystko się prześciga, przewraca, przetwarza...
A z takiej otchłani ratują mnie święci
Ci, co w kalendarzu; ja do kalendarza —
I patrzę: dzień taki, więc tego świętego,
Jest imię; więc idę na upatrzonego —
I z tego imienia wnet wstaje znajomy,
Moje z nim koneksje, jego parentele,
I myślą przechodzę staroświeckie domy
I łowy i bitwy, gdzie my przyjaciele
Razem swym żywotem bujali pokrewnie...
Aż we snach o świecie dzisiejszym zabaczę;
I człek się ubawi, uśmieje, upłacze,
A śmieję się głośno, a płaczę, to rzewnie,
Że nieraz ta suka od nóg mych odskoczy
I długo, ciekawie zagląda mi w oczy.
Czego ja nie świadom! miałby co literat
Spisywać na skórze — jakem konfederat...
„— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — —.“ — O! o! obleśniki,
A już mnie ściskacie, kusicie staruszka?
Dla starszych mam powieść, dla dzieci pierniki;
Z całego sąsiedztwa zeszliście się licznie
I młodzi jesteście i prosicie ślicznie...
Dla gości tak zacnych powolny ja służka;
Patrz do kalendarza! siódmego dziś marca

Któż?— „— — — — —“ — Więc Tomasz z Akwinu —
Pan Tomasz.... z Akwinu... Tomasz... pamięć starca!
Uchwycić ją trudno... a potem się snuje
Bez końca... Ah!... Tomasz... biedny... młodzieniaszek...
Achilles! a dziecko... z Świerczkowa Tomaszek...
Tak młodo... przez zdradę... Poczekaj, psi synu!
Złotnicki!... przed Bogiem ja cię odmaluję...
Patrzałem na męki i krew..........
Och!....

*

Witaj moja jutrzenko — moja i narodu!
Konfederacjo barska! — z twojego powodu
Ja starzec, dziś wiośniane czuję w łonie blaski
A nad narodem dotąd drży twój promień łaski,
Promień złoty, anielski — przewodnik — obrońca —
Pocieszyciel i prorok szczęścia — zwiastun słońca!

*

Wieku olbrzymich przygód, wieku Homerowy!
Kiedy my kładli nasze skrwawione tułowy
I ciałka drobnych dzieci i żon piersi mleczne
Jak głazy nieruchome na mury forteczne;
Aby ten mur ojczyzny umocnić i podnieść
I co siłą nie można, to rozpaczą odnieść:
Przed zgrają barbarzyńców, co pod murem warczą,
Zasłonić i ocalić taką żywą tarczą
Świętości naszych domów i rodzinne groby.
Przeciw losom zawziętym, marne to sposoby!
My walczyli prostotą, prawdą staroświecką
Z bezlitośną przemocą, z chciwą zdradą grecką
I z zarazą, przed którą nie uchroni zbroja.
O Chryste! i tak legła nasza święta Troja!
W plon poszły nasze dzieci, domy idą w gruzy,
Świątynie przerobiono na brudne zamtuzy;

Krwią starców przywleczonych za włosy, wróg maże
Jeszcze resztkami ofiar dymiące ołtarze;
Pożarne ognie wzniecа, a Boskie krwią gasi....
Oh! wy nam nie złorzeczcie potomkowie nasi,
Dla was to syny, dla was, z okropnej pożogi
Po gruzach i po trupach my wynieśli — Bogi!

*

Hej świecie! jak ty szybko zmieniasz barwy swoje,
Przebrałeś się, pobiegłeś naprzód — a ja stoję.
Jak po wielkiej powodzi gdy opadną fale
Zapomniany, samotny zostałem na skale;
Ot koncha, którą noga przechodnia potrąca,
Niby martwa, a przytkniesz do ucha — gwarząca;
Gwarząca do spragnionych szumem dawnej fali —
Rzucili ją — i poszli źródła szukać daléj...

*

Pół wieku! ledwie chwila! wszystko się zmieniło,
Wszystko przeszło, zapadło — i jakby nie było.
Nie powiem, żeby ongi ludzie byli lepsi,
Ale byli otwartsi we wnętrzu i krzepsi;
Jakieś czerstwe ich ciałom panowały duchy,
Z tąd tych ciał takie wielkie a rzetelne ruchy.
Dzisiejszej melancholji, łez cichych nie znano,
Kiedy ból — to ryczano w płaczu, to włos rwano —
Kiedy gniew — to na szabli dłoń, a piorun w oku —
Dziś niema tej szczerości, dziś serca w omroku,
Półświatła i półcienia — ni dnia ani nocy...
Dowód-że to niezwykłej siły, czy niemocy?

*

Konfederacja nasza — to jak śród pożaru;
Taki ruch, taki zamęt, tyle krzyku, gwaru.

Z tłumu zebranych ludzi wstają naczelnicy:
Ten ma potęgę w słowie i zapał w źrenicy,
Pomazaniec natchnienia wznosi głos monarszy —
Ów woła że urzędem, ów że wiekiem starszy —
Inny krzyczy, że został większością obrany;
Krzyżują się rozkazy, mieszają się plany,
W tem miejscu jest, gdzieindziej niema posłuszeństwa,
Tu siadać na drabinach chcą według starszeństwa,
Tam kłócąc się o wodę, rozlewają wodę...
A przecież są w tym tłumie dusze czyste, młode!
Patrzcie, patrzcie na tamtych, jak z twarzą surową
Rzucają się w płomienie z rękami przed głową,
W słupach ognia i dymu migają, ogromni
Jak anioły zbawienia — ach! a bezprzytomni.
Szerzy się krzyk do koła, w krzyku rozpacz wielka:
„Ratujcie ją! tam w ogniach domu właścicielka!“
Oni nie wiedzą o tem — z żywota ofiarą
Poszli, aby ratować — co? — Jej odzież starą!

r. 1853.

SCENA Z DRAMATU:

OSTATNI BUCZACCY.

Komnata zamkowa. Na ścianach rynsztunki. Wojewoda w kaftanie łosiowym stoi z pałaszem w ręku; naprzeciw niego jeden z dworzanów równie z pałaszem; obydwa w postawie do walki. Daniel cały w żelazie, w hełmie, oparty przy oknie. Bliżej Ukropek, Mogiła, Hołubowicz i dwóch doktorów: Blutigel i Konowalski; w głębi liczni dworzanie i służba.

WOJEWODA.

Gotuj się wasze! a baczność — raz, dwa, trzy!
(biją się.)
Patrzaj Danielu i każdy niech patrzy,
Że dzisiaj silniej damascenką władam;
Ej weźmie, weźmie po skórze pan Jadam.

DANIEL.

Nie źle.

UKROPEK. (do Konowalskiego.)

Wam chwała.

(Wojewoda wolniej macha pałaszem; widać w nim wielkie wysilenie.)

HOŁUBOWICZ. (na stronie.)

Ręka mu ustaje.

WOJEWODA. (w złości.)

Czy kord zaklęty!

DANIEL. (na stronie.)

Serce mi się kraje.

(Biją się jeszcze chwilę, w tem pałasz wylatuje wojewodzie z ręki, on bezsilny pada w duże poręczowe krzesło. Dworzanie przyskakują do doktorów.)

MOGIŁA.

I cóż wy na to?

UKROPEK.

(Chwyta obydwóch doktorów za piersi i trzęsąc nimi krzyczy:)

Rady! rady! rady!

DR. KONOWALSKI.

Kord zczarowany.

HOŁUBOWICZ.

(wskazując na Wojewodę.)

Patrzcie, jaki blady.

(Wojewoda odwraca się do ściany.)

DR. BLUTIGEL.

Jam zawsze mówił, że te egzercycje
Ukrócą jeno wojewodzie życie;
Kto ma sił mało, niechaj niemi skąpi.

DR. KONOWALSKI.

Wywołuj siłę, a ona wystąpi!

(Zaczyna się sprzeczka między doktorami, w tem wbiega szybko:)

JAN TWOROWSKI.

Czy się spóźniłem? jakże próba zdrowia?
W dziedzińcu mieszczan i chłopków jak mrowia —
W milczeniu stoją, powznosili głowy
I jako w ołtarz patrzą w mur zamkowy.
Kiedym przechodził, to ta czeladź biała
O zdrowie pańskie ze łzami pytała;
Chciałbym zejść do niej — jakąż dam relację?
Czy lepiej dzisiaj?

MOGIŁA.

Gorzej panie bracie;
Ledwie się złożył, miecz wypuścił z dłoni
I upadł w krzesło.

TWOROWSKI.

Z tem nie zejdę do niej!
Zły ptak, co biednym smutek zapowiada.

UKROPEK.

(Długo chodząc medytował, teraz staje przed Danielem, uroczyście:)
Mości Danielu, oto moja rada —
Plastrom zagrozić: jeźli nie wyleczą
Do dwóch tygodni — na gałęź —

DANIEL.

Uciecza.

UKROPEK.

Dać im obrączki.

DANIEL.

Gwałt a rzecz bezbożna —
Nie — tak nie można.

UKROPEK.

Szkoda, że nie można.
(Odchodzi; żwawsza kłótnia między doktorami.)

Dr. KONOWALSKI.

Dla bab szpitalnych chyba wasze leki,
Moje dla mężów.

Dr. BLUTIGEL.

Lecz nie dla kaleki...

UKROPEK. (rwie się.)

Co? co? kaleki?

DANIEL.

A o co tam swary?

Dr. BLUTIGEL.

Wciąż hartowanie radzi pan Makary.

Dr. KONOWALSKI.

Tak jest, pałasze.

DANIEL.

Dobrze mówisz wasze,
Nigdy choremu nie szkodzą pałasze,
W żelazie zdrowie, co przechodzi w żyły,
Żelazo święte — jak mi Chrystus miły,
Dobrze waść radzisz wraz z Hipokratesem.

DR. BLUTIGEL. (głośniej.)

On wojewodę chce zgubić z kretesem
Pan wojewoda jeszcze pożyć może
Nie jedno lato — ale trza rogoże
Wyrzucić z łóżka, a wyścielić puchem;
Przytem się chować w miejscu ciepłem, suchem,
I w spokojności zupełnej.

WOJEWODA. (zrywa się.)

Precz żydzie!

DR. BLUTIGEL.

Równie się gniewu wystrzegać.

WOJEWODA. (tupie nogą.)

Niech idzie!

(Dworzanie z oznakami oburzenia wyprowadzają doktora; wszyscy wychodzą, zostają tylko: Daniel przy oknie i Wojewoda w krześle.)

WOJEWODA. (składa ręce.)

Chryste! Boże! Panie!
Miejże nademną, miejże zlitowanie —
Nie daj mi ginąć tak zwolna, po trochu,
Ale od razu zrób ze mnie garść prochu.
Bo ja dąb stary! długo moje cienie
Dawały ludziom chłód i odpocznienie,
Nie żyłem sobie tylko — niechże za to
Śmierć od piorunu będzie mi zapłatą;
Jako pochodnia niech spłonę ogniście,
Niech mi rok rocznie nie opada liście,

Niech mi czerw serca nie gryzie pod korą,
Niech pastuszkowie w nocy, letnią porą,
Mem próchnem dzieci nie straszą!

DANIEL.

Mój Wojewodo, tą żałością waszą
Nie poradzicie nic słabemu zdrowiu;
A żałość taka, jak szabla z ołowiu:
Miękka i cięży.

WOJEWODA. (dumając.)

Plądrują Tatary!
Całe Podole okrył obłok szary,
Czasem go łuny pożarne rozświecą,
I znowu ciemno; wiatry na mnie lecą!
Niosą popioły z domów, tentent koni,
Lamenta niewiast, okrzyki pogoni,
Czasem pogrzebne dzwonienie orężów,
Krótkie, urwane — i krótszy jęk mężów,
Potem śmiech wroga, co zwycięztwa dopiął,
I bluźni Bogu Polski — biada! biada!
Wszystkie te głosy na serce, a popiół
Na moje dachy osiada!

DANIEL. (na stronie.)

Coraz to gorzej.

WOJEWODA. (ciągle w zadumie.)

W dalekie manowce
Ciągną z powrotem już piekielni łowce —
Z przodu u siodeł dziewice przez łono
Jak plon łowiecki nago przytroczono —
Za końmi, braci zbryzganych posoką,
Ni to psy szczwalne na powrozach wloką!
Oni choć ziemi już swej nie zobaczą,
Idą w milczeniu, nie jęczą, nie płaczą,

Tylko wybladłą, odwróconą twarzą
Mnie, mnie szukają! na mnie, na mnie skarżą!
Wymowna twarz ich, a słowo zabójcze:
„Och wojewodo! a gdzie ty nasz ojcze?!“
Gdzie wojewoda? gdzie wasz wódz orężny?...
On już wąm na nic, on już niedołężny,
Stary, schorzały, w pieluchy się schował,
Pierś nie żelazem, ale obwarował,
Murem — murami wspólny los odpycha —
Patrzy na łuny, popiołem oddycha,
Wzdy sam bezpieczny...

(gwałtownie:)

Niech otworzą bramy!
Gdzie lud nasz ginie i my gardło damy!
Skińcie! niech wraca motłoch zyzowaty,
Niech pali zamek — tak jak spalił chaty!

DANIEL. (żegna ręką.)

W Imie najświętsze, obłędy i mary
Za drzwi!

(do wojewody:)

W Podole nie weszli Tatary,
Mości Jakóbie. Słysz mości Jakóbie,
To ja, Żelazny — a tego nie lubię;
Co tu słów marnych, i żalu i jęku,
Jak ongi, kiedym nosił was na ręku,
A zawsze mawiał nieboszczyk starosta:
„Hej mój Żelazny! snać on nam nie sprosta,
Miękkie i łzawe serce wziął po matce;
Ciągle mi kwili chłopiec jak ptak w klatce“
No, Bogu chwała — na wiatr poszła wróżba,
Zahartowała was rycerska służba,
Pięknie wam żywot spłynął — ostro, młodo,
'n starosty został wojewodą;
mu tam z serca spadł już kamień młyński,

Cieszy się w grobie starosta śniatyński,
Bo mało dziecku ufał.

WOJEWODA. (ponuro.)

Dziś się smuci.

DANIEL.

Bo chociaż mówią, młodość się nie wróci,
Wam się wracają lata niemowlęce.
Cóż wojewodo, mam cię wziąść na ręce,
I znów jak dawniej tulić dziecko tkliwe?
Prawda, że wasze gwiazdy nieszczęśliwe —
Bo wstrętno długo na śmierć się sposobić.
Życiem na łaskę u Boga zarobić,
I krótka spowiedź przed krwawą potrzebą,
I cios z pogańskiej ręki — ot i niebo!
A wam zaś, mości Jakóbie, potrzeba
Na ciepłem łożu oczekiwać nieba,
I bez pancerza w kącie Boga chwalić,
Podczas gdy wojną kraj może się palić —
Srogie to fatum, srogie! — wszakże chrobrze
Trza się z niem godzić — a płakać nie dobrze,
Nie!

WOJEWODA.

Tyś z żelaza.

DANIEL.

Ba! a czy to zmaza?
Bóg nas nie z gliny zlepił — lecz z żelaza!

r. 1855.

WIEŚĆ O ADAMIE MICKIEWICZU.

Dosyć jęków, niech już oczy nie płaczą niczyje;
Wiem i powiem — wiem co mówię: ludu! wieszcz nam żyje!
— Tak, w swych pieśniach, w sercu naszem — rzekniecie ze łzami,
Nie! on żyje jasny, widny — tu, pomiędzy nami!

Mam ja moje wieści z nieba — a mówię to skromnie,
Czasem do nich się podnoszę, czasem schodzą do mnie;
Ale zawsze w męce ducha tylko tę moc czerpię,
Abym stał się czystą czarą, gdy w ogniach przecierpię.

Co wam z tego, gdy wam powiem, czemu często gasnę
A za chwilę znów mam serce prorocze i jasne —
Kiedy śpiewam, tom głos żywy — Martwi! powstawajcie!
Wasze dusze ręczą za mnie: — Wierzcie i słuchajcie!

*

Stanął smutny w swem zmęczeniu, lecz bez żadnej zmazy,
Jak posłannik, gdy powróci spełniwszy rozkazy;
Stanął w sukni swojej ziemskiej, z czystym blaskiem w oku
Przed otwartą wielką bramą i czekał wyroku.

W bramie anioł promienisty stojący na straży,
Na dwóch skrzydłach jak na falach unosi się, waży,
On-to anioł, co strzegł raju — już miecza nienasza,
Li białością swoją lśniącą grzeszników odstrasza.

I spłynęły miodne dźwięki: „Witam cię mój bracie —
Ileż cierni tkwi złamanych w twej pielgrzymiej szacie —
A twe oko przecież jasne, choć krew z twych ran cieknie...
Oh, jak mało tu przybywa tak ubranych pięknie!

Nie chyl powiek — niech ominie cię pokory drżenie,
Bo od Pana mam do ciebie dobre polecenie;
Także od Tej, którąś wielbił, od Najświętszej Panny:
Tyś na polu Chrystusowem zwycięzki, choć ranny!

Choć błądziłeś, lecz walczyłeś i kochałeś szczerze,
Lud twój biedny wychowałeś w miłości i wierze;
Na twem ciele ran tak wiele — a największe blizny
Jeszcze dotąd niezgojone — a te, dla ojczyzny.

Bo kto dla niej więcej znosi, ten duższy i starszy;
Ty spełniłeś wyznaczony swój cel patryarszy —
Bracia twoi tam na ziemi twoim duchem stoją,
Twa pieśń będzie dla nich mieczem — dotąd była zbroją.

Toż tam cały naród w żalu płacze nad twą trumną —
Marne to łzy i niewczesne — bądź ty Polsko dumną!
Powstał patron wiele możny, gdzie znikł słaby człowiek —
O pokorny, nie płoń czoła, nie chyl, nie chyl powiek.

Wiem, że nieraz w ciemne strony burza cię uniosła,
Wiem, że nieraz zapomniałeś o godności posła;
O! bo młodość wielce krucha, któż nie grzeszył z młodu?
Wprzód kochankiem, potem ojcem zostałeś narodu."

I jak białe dwa promienie schylił ręce obie,
I promieńmi magnetycznie ciągnął go ku sobie:
„Wejdź w tę bramę, kędy wchodzą Wybrani i Święci.“
A on na to: „Wszak ta brama — Bramą niepamięci!

Za żywota już przeczułem, że ten Boga dopnie,
Kto zasługą się podnosi w coraz wyższe stopnie;
Ale o tem nie wiedziałem, że kto sługą nieba,
O odbytem raz poselstwie zapomnąć mu trzeba.“

Więc znów anioł uśmiechnięty jak ranek pogodny:
„Twój duch pamięć stracić musi, aby był swobodny,
Bo go Ojciec znowu wyszle i na większe cele —
A w naszego Ojca domu jest pomieszkań wiele!

Patrz jak iskrzą się drobniutko nieznane ci światy —
Zdejm twe suknie potargane, wdziejesz nowe szaty.“
A on patrzy w otchłań straszną, a żal go oniemia,
I wyszeptał: „Wskaż aniele — która moja ziemia?“

Anioł wskazał — wskazał prosto między gwiazd miriady —
Tam od pyłu między pyłem lśnił promyczek blady;
A on poszedł za tą ręką, wpatrzył się głęboko,
Uczuł w sercu, że niemylnie spoczęło mu oko —

I wyłonił się już cały i wytężył ducha,
Oczy łzami gdy mu zaszły — to on słucha, słucha...
Cisza była dziwnie wielka; aż mu z ust nieskoro
Łzą wyciekło: „Tam mych sierot — tam sierot sześcioro!“

I rozpłynął się w czułości na ten głos ojcowski,
Nieznający ludzkich cierpień dawny anioł Boski —
Aż mu w cichym drżącym głosie równie łzą wyciecze:
O anielskie wielkie serce a czysto człowiecze!

I w zniżeniu już po ziemsku mówi: „Bądź spokojny,
Naród kocha cię i wielbi — a on szczodry, hojny,
Nie da upaść twoim dzieciom — żyć będą bez troski,
Każdy między przyjaciołmi wśród ojczystej wioski.

A byłażby twa ojczyzna już ciebie niegodna,
Gdyby serca dla twych dzieci nie rozwarła do dna;
A byłbyż ten synem piekieł, ktoby śmiał zdradziecko,
Jaką chęcią nieprzychylną dotknąć twoje dziecko.

Bądź spokojny — tam dłoń matek wnet im łzy obetrze,
A wprowadzi je dłoń ojców na polskie powietrze —
Ono brzmiące twem imieniem; — tonąc w tem imieniu
Będą bujać twe orlęta w ciągłem zachwyceniu.“

Tak pocieszał go — i wabi znów anioł skrzydlaty:
„Wejdź w tę bramę — odrzuć pamięć — weźmiesz nowe szaty.“
On szedł zwolna twarz oparłszy na konfederatce —
Odjął ręce — spojrzał na nią: „To po mojej matce!!

Nie aniele! ja nie mogę — wstaw ty się do Boga —
Jam się wszczepił w tę ojczyznę, pamięć o niej droga —
Jam za nadto na tej ziemi i kochał i bolał,
Bym dla zysków mego ducha pamięć tracić wolał!

Za żywota tam nosiłem oblicze surowe,
Dla poglądu po nad tłumy podnosiłem głowę,
Ułomności moje ludzkie słoniłem powagą:
Tum jak dziecko, co przed okiem ojca — leży nago.

On zna skrytość mojej duszy, widne mu jej głębie,
On, co sklepił orlim pierzem me serce gołębie,
On wie o mnie, o czem może nie wiedziała rzesza,
Że prócz błysków mojżeszowych — mam serce Mojżesza.

Serce miękkie i krwi pełne, co miłości żąda,
Co za swemi pamiątkami dotąd się ogląda,
Co jęczało pod pancerzem, krwawiło się zcicha,
Gdy w ten pancerz uderzały nizka złość i pycha.

To nie mogę ja zapomnąć, wyrzec się żywota
I tych braci, których wiodła moja lutnia złota,
Bom zostawił ich w strapieniu a wielu w obłędzie,
I drżę cały i wciąż pytam: co tam z nimi będzie?

Nie chcę błądzić, nie chcę sądzić mój stróżu przedniebny,
Ale jakby mi się zdało, że ja im potrzebny,
Żem ich prawie osierocił i wcześnie porzucił....
O aniele, módl się ze mną, abym do nich wrócił.

Duchem cały zbłękitniały chciałbym wśród nich latać,
Tu podnosić pognębionych — tam zwaśnionych bratać;
Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie a blizkie:
Jednem kryjąc dwory białe, drugiem chaty nizkie.

Często pójdę do pieśniarzy, między moją dziatwę —
Tym, co serce mają czyste, dam natchnienie łatwe,
Aby burzę, gdy na niebie zahuczy ponurem,
Niby dzwonkiem loretańskim rozpędzali — chórem!

A w męczeństwie jeźli padnie kto z braci — o Boże!
Ja na skronie okrwawione koronę mu włożę,
I na ręce wezmę drżące i w niebo odniosę
Zwiędły ten kwiat i złamany — na słońce, na rosę.

Zwano mnie aniołem pieśni wśród mego zawodu —
Pozwól Panie, abym został aniołem narodu;
A w Twem oku gdy dla niego ujrzę szczęścia wróżbę —
Oh! promienny i ochotny wrócę na Twą służbę.

Ty wiesz Boże, co tam jeszcze w mojej duszy płacze:
Czy już nigdy mej ojczyzny, nigdyż nie obaczę?!
Wszak okryty Twoją łaską, w Twych natchnień bogactwie,
Przez ćwierć wieku ja tęskniłem do niej na tułactwie.

A ufałem ja tak mocno, że na starość może,
Na zieleni własnej ziemi na wznak się położę,
I nad sobą słyszeć będę skargę w gwarze sosen!
Żem daleko od nich spędził tyle w życiu wiosen.

Śpiewającą skargę matki mają tylko drzewa
Mej ojczyzny. Ach! z mej trumny taki głos nie śpiewa —
Z obcych jodeł brano do niej głuche, zimne deski....
O, wysłuchaj mego jęku Ojcze mój niebieski!"

I na równi z kolanami pochylił się czołem,
Przed nim klęczał biały anioł i modlił się społem.
. . . .

Te schylone dwie postacie ujął w swoje ramy
Sklep arkady; a w dalekich głębiach jasnej bramy
Migająco przebiegały tajemnicze błyski:
Znak, że słucha ich modlitwy Bóg, co zawsze bliski.

Gdy ich dusze ukorzone silniej się zapalą,
To tam z głębi światło bucha, oblewa ich falą —
Wtedy słychać szumy skrzydeł: to ciche, milczące,
Przyciągnione blaskiem Bożym anioły lecące.

Jakby wiedząc, że modlitwa ta i za nim prosi,
Tam w otchłani jeden z globów drży na swojej osi,
Żywiej płonie, rwie się naprzód do tych dwóch postaci...
Lecz go z toru nie wypuszcza siła starszej braci.

Jeszcze klęczał wieszcz schylony, gdy już nad nim cicha,
Promienięca twarz anioła słodko się uśmiécha —
Ten rzekł: „Powstań! Ojciec dobry przyjął twe modlitwy —
Leć aniołem! — gdzie polecisz?“ —
— „Ach! najprzód do Litwy!!“

*

Tyle dla nich. Teraz głos mój podnoszę do Ciebie
Mistrzu pieśni! stróżu ludu! patronie w potrzebie!
Ja, com patrzał w twoje oczy — może tobie słodszy,
Bom z twych braci najuboższy i twój brat najmłodszy.

Duszą lotny a dziecięcy, w troskach nieudolny,
Lecz na polu walk duchowych niezłamany, wolny —
Popatrz na mnie — lecąc blizko, wstąp pod moją strzechę,
Rzuć mi słowo przyjacielskie na moc i pociechę.

Anioł-stróż mój, ten o tobie przynosił mi wieści —
Ty o Innym daj wiadomość równie drogiej treści;
Powiedz o Nim — bo jednako jam was kochał obu,
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu.

Powiedz! czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordjana?
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny —
Czy już jak ty duch swobodny, czy jeszcze pokutny?

A w zdybaniu jakiem okiem on ku tobie błysnął?
Czyś wyciągnął doń ramiona? na szyi uwisnął,
Aby spłukać we łzach wspólnych przedgrobne niechęci?
Czy on z nami? czy już przeszedł Bramę niepamięci?

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło

Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę....
Gieniusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbierał? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka? —
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Gdybyż jeszcze na swej ziemi bez chwały hałasów,
Przysłuchując się do woli głosom pól i lasów,
Mógł je obrać za słuchaczów, a one oddźwiękły —
Toby jemu struny serca tak wcześnie nie pękły.

O! szczęśliwszym ja od niego, bo te głosy słyszę,
Niedbający o poklaski lubię wiejską ciszę;
A choć wzlecę rozbujały, namiętny, omamion —
Łatwo ściąga mnie z obłoków drogich parę ramion.

Wzdy mój mistrzu wielostrunne daj mi twe narzędzie;
A choć ono długiej sławy dla mnie nie zdobędzie,
Byle tylko z twoją wiarą brzmiało, choć nie z siłą —
Dogoni mnie miłość ludu przed lub za mogiłą.

A w szeregu tych strun wielu jeźli się zagmatwę,
To przybywaj ku pomocy, daj „natchnienie łatwe“
Jakeś przyrzekł przed aniołem — bo mam serce „czyste“
I kadzidłem wciąż płonące, — szklanne, przezroczyste.

Daj mi lutnię swą sierocą — ja jej nie ubliżę —
Jeźli ciężka — nieść ją będę tak jak niosą krzyże;
Pieśnią będę błogosławić a nikogo kąsać,
Złych gnieść będę, obojętnych za wnętrzności wstrząsać.

A tak idąc z twoją lutnią przez zasadzki zdradne,
Gdy na „polu Chrystusowem“ walcząc dla niej padnę —
Podejm mistrzu moje czoło zwiędniałe, bezwłose,
I odnieś mnie w „drżących rękach — na słońce, na rosę!“

r. 1856.

PO LATACH OŚMNASTU.

(Rzecz z r. 1848.)

1.

Dworek biały, pochyły, drewniany,
W koło niego topole we wianku,
W wieczór letni, zachodem różany
Cztery osób tam siedzi na ganku.
Sadem miga Szreniawa — zawile
Nad nią wierzby i chmiele obwisły,
A Szreniawa ztąd płynie do Wisły,
A zaś Wisła, ta tylko o milę.

Ganek duży, po rogach dwie ławki,
Dawniej miejsce dzieciom do zabawki —
Tu z proźbami przychodzą wieśniacy,
Tu do ziarna zlatują się ptacy.
A na jednej z tych ławek, tam siedzi
W czarnej sukni poważna staruszka,
Z twarzą jasną jakby po spowiedzi:
Pani domu; na ziemi poduszka,
Pewnie ręką jej córki robiona,
Teraz matce pod nogi wsuniona.

Przy niej bokiem pułkownik od straży
Pogranicznej, kask blaszany waży,
Targa kitę włosienną przy kasku,
I ostrogą coś kreśli na piasku.
A na ławce przeciwnej: to córka;
Na jej czole ciemna bolu chmurka,
Na jej twarzy niedawnych łez ślady,
Obok jakiś młodzieniec a blady,
A oboje tak jakby dobrani,
Młodzi, piękni, — może zakochani.
I ci milczą.

Tam zaś stary żołnierz
Ciągle targa kitę, skręca kołnierz,
Oczy w dół, trze czoło, oddech łowi,
Ciężko westchnął i cicho tak mówi:
— „Pani matko! skłońcie miłościwie
Ucho dla mnie. No, ja sam się dziwię
Czemu do was nie śmiem podnieść powiek.
Wot ja moskal, pies na carskiej sforze,
Wot ja waszej ojczyzny morderca....
Wierzcie matko, żem ja nie zły człowiek;
Dawno mógłbym zostać jenerałem,
Gdybym psem był jak inni — nie chciałem!
Pomiłujcie! błagam was w pokorze;
Córka wasza wpadła mi do serca,
Ginę za nią. Jam was Lachów kochał!
Kiedym szedł na Warszawę, tom szlochał
Jak w tej chwili. Bóg niech będzie świadkiem!
Jeźli na nią popatrzę ukradkiem,
To z pamięci car, Bóg, wszystko znika,
Tylko ona jedna wskróś przenika,
Jako słońce gdy świeci na stepy.
Och! ja bez niej to chodzę jak ślepy —

Ona słońcem. Dajcie mi swą dziéwkę!
Hej! gdyby ją wziąźć na moją siwkę,
I polecieć za Don, na me pola....
Niech przepada car — służba — niewola!
Dosyć ja się nasłużył carowi —
Lat trzydzieści! ot włosy już siwe —
Mógłbym jeszcze mieć życie szczęśliwe —
Człeku w szczęściu i młodość się wznowi.
Ot! ja czuję w mem sercu, co w płaczu,
Żebym błyszczał jak złoto w monstrancji.
Chodzą gadki że bunty w Francji,
Nie chcą caru już płacić haraczu,
Car nasz butny, z wszystkimi się tuza,
Pewnie wkrótce pójdzie na Francuza.
Och! pozwólcie, a tu się przesiedlę,
Przedam moich sześćdziesiąt wiorst stepów,
I na stepach łoszaki kochane,
W Astrachanie i w Moskwie pięć sklepów,
I zakupię te sioła tu wedle,
I jak syn wasz — Polakiem zostanę."

Tak mówił, łzy ścierając rękawem;
Matka patrzy nań okiem łaskawem,
I coś szepce mu w ucho poważnie.

A na drugiej tam ławce, tam grucha
Cichy gołąb w popielnej sukience,
A młodzieniec twarz schylił i słucha:
— „O niedobry! — ty mówisz: odważnie!
A ja płaczę, ja cierpię, ja w męce!
Więc już dzisiaj — i może na zawsze!"

— „Nie mów dalej — rany moje krwawsze
Po twych słowach; niech się goi blizna!

Straszne słowo — to słowo: ojczyzna
Wszystko pada, każdy węzeł pęka,
Gdy nad nami zjawi się jej ręka
Wołająca ku sobie, dla siebie!
Jabym Bogu się urwał i w niebie!
Pójdę za nią — wrócę.... kocham Ciebie!"

— „I dla czegoż nie czekać jak inni?"

— „Ci, co jeszcze czekają — ci winni!
Tam w Poznańskiem najmłodsi synowie,
Chłopi polscy, już za nią krew leli;
Pułki stoją gotowe we Lwowie,
I hułani! bieli jak anieli;
Wkrótce Francja da nam uścisk bratni,
Biada temu, kto przyjdzie ostatni,
Chyba śmiać się na wrogów pogrzebie.
Oh! pod nogą ziemia mi się pali...
Wrócę pędząc przed sobą Moskali,
Wrócę z bratem twoim... kocham Ciebie!"

— „Takiś młody! — ach, młodszy odemnie!
Ciebie nęcą jeszcze losów ciemnie,
Serce twoje gorące a płoche
Wciąż nowego potrzebuje czaru —
Mą miłością pobawisz się trochę,
I zapomnisz... śród boju, śród gwaru."

— „Więc przysięgam! I ty mi przysięgnij,
Tak, nieznacznie ręką w górę sięgnij,
Bóg niech widzi."

— „Ten przysięgi żąda,
Kto sam sobie nie ufa; o luby!

Jakże wątłe są nasze rachuby!
Dusza w przyszłość z obawą pogląda,
Bo mnie w sercu coś rwie się, coś pęka,
Jakby jaka niewidoma ręka
Groziła nam.

— „Więc ty mi nie wierzysz?!
I w chwili rozstania popłoch szerzysz
W mem sercu rozdartem?!

— „Ciszej, ciszej,
Matka patrzy, pułkownik usłyszy.“

— „No zgoda — ach! już słońce zachodzi,
Czeka na mnie mój strzelec u łodzi,
Tam w szuwarach wiślanych, za zamkiem;
Ułożyłem się także z Abramkiem
O przewóz moich rzeczy.... Bądź zdrowa!
Biedna matka i ojciec — nie wiedzą...
Tak spokojnie w Warszawie dziś siedzą,
Ani myślą... To słońce się chowa
Coraz bardziej, na przekór... Bądź zdrowa!
Nie chciałaś mnie pocałować... Boże!
Raz jedyny, raz pierwszy, a może
Ostatni; połóż rękę tu za mną...
O przeklęty ten Moskal nam wadzi,
Siedzi grzybem gdzie go los posadzi;
Połóż rękę — pójdę drogą kłamną,
Niby chustkę zdejmując, uklęknę,
Pocałuję cię w rękę — gdy jęknę
Z bolu, to chrząknij; ten pierścień mały
Weź odemnie, noś go, on ze stali,
On jak moja miłość wiecznotrwały....
Tylko wiedzą, co jak ja kochali,

Jak mi ciężko w sercu!... Mrok na niebie,
Już odjeżdżam... Odważnie!... skiń głową,
Bądź zdrowa! — nie ostatnie to słowo,
Bo ostatnie zawsze: kocham Ciebie!"

I wstał raźno, dłonią przeszedł czoło,
I do matki zbliżył się wesoło,
I rzekł:

— „Na czas dłuższy żegnam panią,
Jutro jadę na kąpiele... krwawe...

— Krwawe? — spytał żołnierz.

— „Z krwi bydlęcej,
Tak lekarze radzą najgoręcej,
Już oddawna... zdrowie moje mgławe,
Za granicę jadę ulżyć zdrowiu,
Za pasem... tutejszym."

Spojrzał na nią.

I odszedł; koń czekał w pogotowiu,
I skoczył nań, ledwie dotknął siodła,
Ona za nim długo okiem wiodła —
On pierzchnął — podobien do człowieka,
Co przed samym sobą gdzieś — ucieka.

2.

Wszedł na ganek stary domu sługa;
Liberyjna na nim suknia długa,
Jak on stara — a jej kolor dziwny;
On sam słuszny, chudy, trochę sztywny,

Z straszną blizną w twarzy, z której słynął,
Bo ją dostał gdy pan jego ginął
Pod Grochowem; kartacz mu ją zadał
Gdy się chylił ku panu, co padał;
Pół szczęki mu urwało i kawał
Języka — drżał mówiąc o harmacie;
Żal miał do niej po tak wielkiej stracie....
Bo mu w gębę lazło myśli nawał,
A nie miał go czem wypchnąć: bełkotał,
Więcej jeszcze rękami szamotał,
Niecierpliwym będąc. Sługa taki
Wszedł, wyszczerzył oczy, czegoś łzawe,
Nic nie mówił, tylko jak wiatraki
Ręce puścił — i zmieniał postawę.
Więc go pani spyta:

— „Cóż Michale?“

Poczerwieniał.

— „Tkacz przyszedł — nic wcale,
Tkacz — nic wcale... tam siedzi na przyzbie“

— „Czegóż płaczesz?“

— „Nic wcale... dym w izbie...
Mam coś mówić... nic wcale...“

Ku sadu
Ręką wskazał i kiwnął na panią
Poszła naprzód staruszka — on za nią.

Gdy odeszli, pułkownik się zbliżył,
Obtarł oczy bojąc się łez śladu,

Na odwagę krótki włos najéżył,
Bo drżał cały sercową bojaźnią,
I wziął rękę panny i przyłożył
Do niej usta — poczem trochę ożył.

— „O ty krasna panienko, przed tobą
Stawam drżący jak sołdat przed kaźnią —
U macierzy już byłem z żałobą —
Ona iść mi kazała do panny
Po radę.“

— „Cóż panu?“

— „Jestem ranny —
Oczki twoje zraniły mnie srodze;
O ty jedna zagoisz me rany!
Czy ja stary mogę być kochany?
Powiedz!“

— „Oh — ja pana pułkownika
Chociaż Polka jak ojcą szanuję,
Boś szlachetny jak mało Moskali.
Nie miej żalu, daruj mi niebodze
Że to powiem, w co wierzę, co czuję —
Ród twój, panie, zgrozą nas przenika,
Wyście naszą ojczyznę zdeptali;
Ojciec zginął na polu — wy wiecie,
Brat mój jeden umarł na Sybirze,
Brat mój drugi tuła się po świecie,
Matka moja dotąd chodzi w kirze...
Chociaż serce twe cnoty pochwala,
Ja!... nie mogę być żoną Moskala.
Zresztą, miłość nie znosi nakazu!
Czemuż tego nie mówię od razu —:

Ja nie kocham pana... nie drżyj panie,
Wiesz najlepiej, co to jest kochanie!“

— „Wot ja na to stworzony wid Boha,
Bym jak żyłem i umarł sierotą....
Wot nie stawać mi już z pod batoha,
Serca mego nie nakarmić cnotą! —
Do psiej strawy powracaj sołdacze!
Próżnoś łaknął anielskich pokarmów...“

I zasłonił swe oczy i płacze.

W tem od bramy, na koniu, z kozakiem,
Konia bijąc po głowie kułakiem,
Pędzi cwałem porucznik żandarmów;
Gdy na ganku pułkownika zoczył,
Zarył koniem na miejscu, zeskoczył,
Długim krokiem przystąpił przed wschody:

— „Błahorodja!“

— „Szto tam?“

Lecz on milczy;
Włosy jego rude a wzrok wilczy,
Kiedy w głodzie śmieje się nad kością
Widną zdala. Taki jeszcze młody!
A już w twarzy on czernieje złością,
A na piersiach już czernieje chrestem!

— „W sprawie służby tajemnej.“

I gestem

Na panienkę wskazał.

— „Skaży — wolno.“

„Chłop dziś w nocy przeprawiał się Wisłą,
Przewoźnikom zapłacił rublami,
Już zrobiłem indagację ścisłą —
Bo kijami.

Jednokonnym wózkiem, drogą polną,
Przed godziną mignął się przed nami —
Ja i trzech żandarmów za nim — solno
Nam było — ha! dwóch z nas już nie wstanie.

— „To przemytnik.“

— „Choć w chłopskiej sukmanie —
Białe ręce widziałem — Emisar!!
A czy na durno ten chrest dał mi car!
Znam ja ich — poznam buntowszczyka
Choć o milę — drugiego krzyżyka
Zapragnąłem — cha! cha! będę go miał!
On pomyka ku lasom — a ja w cwał
I za nim — cóż? koń padł mi na roli —
Bez nabojów już był — ha! to boli!
I znikł w lesie, tu blizko... złapię go!
Choćbym miał ten chrest własną oblać krwią,
Złapię! — w piekło musiałby się schować —
Albo jemu dziś, albo mnie na zgon!
Co mam zrobić gdy złapię?“

— „Paszoł won!
Pierwej złapać a potem meldować,
Bez potrzeby nie czynić alarmów.“

I odjechał porucznik żandarmów;

I odjechał pędem, a w nos chrapie:
— „Ho! na cara! złapię ja go — złapię!“

A pułkownik odwrócił się twarzą,
A twarz jego zachmurzona, mglista,
I zadumał:

— „Takich chrestem darzą?!
A pierś moja bez chresta.... bo czysta!
Care! care! złe bude i z nami —
Już nam sromno zwać się Rosjanami!“

Ha! krzyk jakiś nagły, przeraźliwy,
Krzyk okropny rozległ się po sadzie;
Jezus Marja! cóż to?! Dziwy! dziwy!
Matka leci, jak kiedy wiatr niesie,
Przypadł do niej sługa — ona rwie się,
Zębem kąsa, pierś jej bez oddechu,
Oczy iskrzą dzikie, włos w nieładzie,
W twarzy mnóstwo boleści i śmiechu,
I tak biegnie na dom w obłąkaniu,
Rwą się słowa bezładnie i w łkaniu:
— „Tkacz! tkacz! gdzie on?! Och lat osiemnaście!
Dni, dni osiemnaście — gdzie! pokażcie!!“

I wpadła na ganek jednym skokiem,
Wyłamała drzwi — tuż za jej krokiem
Biegną córka, sługa — wbiegli razem
Odpychając się. Pułkownik głazem
Stanął — chce iść — w sieni nakształt warty
Stoi sługa, groźno o drzwi wsparty,
Ręką trzęsie i jąka: „Nic wcale!
Sądzę... niepotrzebni tu Moskale!“

Wzbronił wstępu — Moskal się zawrócił,
W osłupieniu na ławkę się rzucił.

Wewnątrz domu krzyk, łomot... to Ona!
Matka! szuka tam za kimś — szalona!
Wpadła w alkierz, alkierz cały w mroku,
Ale ona słońce ma w swem oku!
Widzi: pusty! — Rwie się z objęć córki,
Tam gdzie ciemniej, tam do tej komórki —
Zanim wbiegła — tchem już się poznali,
Coś niby trup do nóg jej się wali...

— „Synu! synu! mój synu! mój tkaczu!“

I w potrójnym a ryczącym płaczu
Reszta zgłuchła. Tylko od podłogi,
Z ust, co matce wpiły się do nogi,
Czasem cichy głos wznosi się łzawy:

— „Matko! umrę! wody... ze Szreniawy!“

3.

Zimną wodą twarz obmywszy sobie,
W dobrą pół godzinę wyszły obie,
Jak królowe powagą dostojne,
Choć wzruszone wewnątrz — lecz spokojne.

I do pułkownika matka rzecze:

— „Ja tu przyszłam by przeprosić pana
Za te sceny, które wyprawiłam.
Wiele nieszczęść miałam w mojem życiu,
W sercu mojem tkwią bolesne miecze,

Czasem nagle otworzy się rana,
Wtedy panie — jestem obłąkana....
Długo miałam siłę kryć — więc kryłam,
Dziś mi trudniej trzymać to w ukryciu —
Niech pan stanu mego nie rozgłasza...
Prawda panie, widok ten przestrasza
I walecznych tak jak pan żołnierzy...
O! przepraszam — pan się przeląkł pewnie.“

I podała ręce zimne, sine.
On je schwycił i całował rzewnie,
Jak przez popa podaną patynę.

— „Noc tak jasna — toć pan bez wieczerzy
Nie pojedziesz? — Mnie już o posłaniu
Trza pomyślić; baw tymczasem Haniu
Pana pułkownika.“
I skłoniła
Głową i odeszła.

On milczący,
Ona drżąca — tak stali przed sobą...
Aż on:

— „No praszczajte, Pan Bóg z tobą!
No praszczajte, moja Laszko miła!
Z waszej Polszczy odjeżdżam płaczący,
Na kraj świata, het gdzieś na Kamczatkę...
Pożegnajcie dobrą panią matkę...
Oj hołubko! nie mam do cię żalu,
Toż podumaj czasem — o Moskalu!“

I chciał odejść. Ona się zatrwoży,
Jej przeczucie mówi, ten szept boży,
Że to z domu przyjaciel odchodzi,
Co w nieszczęściu brata jej ocali.
Przystąpiła, usta składa mile:

— „Jeszcze wcześnie, widzi pan dobrodziej,
Matka chora — zostań jeszcze chwilę.“
I bezsilny został.

On milczący,
Ona drżąca, tak przed sobą stali...
W tem ktoś wbiega na ganek — to on sam!
To porucznik! — wbiegł cały iskrzący:

— „Błahorodja! Błahorodja! jest! jest!
W koło płotów są nasi — bude chrest!
Dla nas dwóch! może ranga! szczaśtie nam!“
I odskoczył, jakby garścią żarów
Kto nań sypnął — gdy pannę zobaczył.
Lecz wnet ukrył zmieszania powody,
I znów głosem gorącym jak wprzódy:
— „Przemytnika'm tu w lesie obsaczył,
Z powózkami prekrasnych towarów.
Uże on nasz, ten rudy jewrej,
A bogaty jak syn czorta — hej! hej!
Budut hroszi, lub ranga.“

A ona??
Do wielkiego podniosła się krzyku
Jej pierś — ciśnie rękoma do łona
Rwący się głos — i długo, grobowo,
Jedno tylko wyjęczała słowo,
Jedno słowo:

— „Panie pułkownika!“

I bezwładna, do głębi złamana,
Sunie się w kąt, padła na kolana...
Spojrzy! za płotem miga kask przy kasku!
I zakryła twarz od tego blasku,
Modlić się chce...

On już wie o wszystkiem!
Krótką tylko chwilę zadrżał listkiem —
Teraz ściska pięście, brwi się chmurzą,
Burza po nich przelata za burzą,
Straszną walką łamią mu się lica,
Zadrżał znowu: przeszła błyskawica!
Już spokojny.

„Chwat! chwat! Padałyca —
Sława pułku! — tra nam wziaty radu....
Pogoworim — padi... tam... do sadu....“
I odeszli.

A ona na ziemi
Leży, we śnie strasznym konająca!
Tam o kilka ścian, tam po-za niemi
Dusza w duszy zachwytem płonąca!
Tam jej matka, radością szalona,
Leży na szyi syna — a ona
Leży głazem na głazie; powstać chciała,
Oparła się rękoma — nie może!
Modlić się chce! — rwie się myśl — nie może!
Piersią tylko szepce: Boże! Boże!
I tak długo trwało.

Nagle cała
Wstrząsła się — to jej dusza na zwiady

Poszła — czuje, że jej anioł blisko,
Rośnie w sobie — już ma skrzydła — wstała!

O słup wsparty stał on — strasznie blady,
Nogi suną naprzód — czy tak ślisko
Z nocnej rosy? — on za słup się chwyta.

— „Oh! co tobie?“

W dreszczu zębem zgrzyta,
Nic nie mówi.

— „Zlituj się! co tobie?“

Zbudził mu się duch, leżący w grobie.

— „To ty? tak to wy — brat wasz bezpieczny,
Niech ucieka!... Słyszysz ten szum rzeczny?!...
Ja odjeżdżam.“

Bliżej przystąpiła,
Dotknęła go.

— „Krew! krew na mundurze!
Jezu! Co to?“

— „Co?? — to Laszko miła
Znak, jak kocha Moskal, kiedy kocha.
Nie, jak u was, grzecznie i po trocha.
Miłość moją niech Bóg sądzi w górze!
Padałycy trup płynie do Wisły...

Ty się chwiejesz, ręce ci obwisły?
Nie drzyj; tu! — tu nic mi się nie stanie,
Podam w raport, że utonął — dięgi
Resztę zrobią."

Ona gdzieś ucieka,
Gdzieś bez drogi, przez trawy, po rosach,
Twarzą w niebo, z rękami we włosach,
Wewnątrz skroni słychać krwi pukanie,
Na jej czole czarne, grube pręgi,
I tak leci!

— „Oh! tego człowieka
Bez nadgrody zostawić nie mogę!
O ty Boże! natchnij mnie niebogę...
Kocham ciebie, słowu twemu wierzę...
Śnie mój złoty! o śnie mojej duszy —
Niechaj znika, niech się w mgłę rozprószy....
Dla mnie szczęście już tylko w ofierze."

Gdy wróciła, twarz miała błyszczącą,
Jak na piersiach bohatera zbroja,
I za ręce wzięła go gorąco:

— „Krwawy aniele! mężu! — jam twoja!"

r. 1856.

BŁONIA MEDYCKIE.

Już jeśli trza umierać, niech umrę za młodu
Z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu,
Co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał
I może powie: Szkoda! byłby jeszcze śpiewał —
Kiedy czoło pogodne, choć niecałkiem gładkie,
Bo troski na niem znaki popisały rzadkie;
A oczy nim przed blaskiem wieczności omgleją
Jeszcze świat pożegnają z miłością, z nadzieją;
A ręka błogosławić będzie, nim opadnie,
A usta nim strętwieją, uśmiechną się ładnie;
O tak umrzeć! bez żadnych na ludzi zaskarżeń,
Z piersią pełną natchnienia, z głową pełną marzeń.

Dla tego, co żył w ciszy, nietrzeba pomnika,
Czas go kruszy a ręka ciekawa lub dzika;
I ten, ktoby mnie zamknął do drewnianej skrzyni,
Mnie, com więzów nie nosił — krzywdę mi uczyni.
Niech ta ziemia kochana, ta ziemia rodzona
Padnie na moje piersi niby rozżalona,
Ona miłującego ciężko nieprzytłoczy,
Miękka jak dłoń matczyna przyciśnie mi oczy.

Toż tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę,
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą
Niech zwiędłego na liście zielone położą,
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Znam ja łąkę w Medyce, znam łąkę przestronną,
Gdzie po zimie najpierwej zielono i wonno,
Gdzie wiatry najrzeświejsze, najobfitsze rosy,
Gdzie nieraz w letnie nocy chylą się niebiosy;
Łąka - to wspólnych użyć, łąka - to gromadzka;
Tam duchów świętych ofiar odbywa się schadzka,
Bo chodzi wieść u ludu, że dawno przed laty
Stoczyły tam rozpaczny bój konfederaty,
I chodzi wieść prorocza, wieść natchnieniem męzka,
Że stoczy się tam bitwa ostatnia, zwycięzka:
Tam mnie nieście! tam głowę złóżcie pod murawą,
Niech ta wielka nadzieja będzie moją sławą;
Mniejsza, czy mnie pogrzebią z lamentem i krzykiem,
Niech ta wielka nadzieja będzie mym pomnikiem!

Leżeć będę pod trawą udeptaną gładko....
O ziemio moich pieśni, o ty moja matko!
Ty, co pociech dla wiernych swych synów nieszczędzisz,
Ty od siebie mej duszy tęsknej nieodpędzisz,
Ty to sprawisz, że ciała czyściejsza pozbyciem,
Będzie jeszcze do czasu żyć dawnem swem życiem.

Więc najprzód na te błonia, gdy słońce zagaśnie,
Wiejscy chłopcy na koniach wybiegną hałaśnie,
Pętami w ręku dzwonią i hukają w głosy...
Tam na łanie ostatnie sierp dożyna kłosy,
Kobiety pod kopami wieniec plotą pszenny,

Spiewają: — pieśń, to kąpiel na trud całodzienny;
Najpiękniejsza dziewczyna idzie strojna wieńcem
Z makiem w ręku i z takim jak ten mak rumieńcem;
Przed nią sunie z fantazją kulas, znany grajek,
W koło tłum, a nad głową pląsy i krzyk czajek.
I tak idą ze śpiewem przez błoń, przez pastwisko —
Tu już chłopcy błyszczące zażegli ognisko,
Ze śmiechem, z jakąś zmową stoją przy nim w kupie —
Ot i figiel — na konia, co spokojnie chrupie
Porwali i wsadzili grajka — ten się miota,
Lecz go wnet ułagadza ogólna ochota.
Brząknął w struny — ku sobie biegną jasne twarze,
Ręka chwyta za rękę, i już wszyscy w parze —
Grzmi taniec! w białej chmurze — bo się mgła rozściela;
Od kościołka dzwon głosi, że jutro niedziela —
A tu w piersiach, co rzadko rozpiera wesele,
Proroczo dzwonią serca — na wieczną niedzielę!
Coraz raźniejszym tańcem po mym grobie depczą,
A do ucha miłosne słowa sobie szepczą,
Z miłością po tej ziemi każdy wzrok się toczy...
A gdy to dziać się będzie — ja otworzę oczy!

Znowu kiedyś w to miejsce, gdzie ja w grobie leżę,
Lud pośród ciemnej nocy na wiecę się zbierze.
Po niebie rozpostarły się czarne chmurzyska,
Z oddali huk dochodzi głuchy, czasem błyska,
W powietrzu cisza wielka, duszno — będzie burza!
A tu w ciemnościach błoni często się wynurza
Po kilka, kilkanaście postaci a białych:
To lud schodzi się z wiosek w koszulach niecałych,
Głodny, jeźli pogardził bydlęciem dziś zdechłem.
Nie jeden ośmielony swem grobowem czechłem,
Wmieszał się w ten tłum biały, dawniej jemu nierad,
Teraz ze szkoły grobu wstały konfederat.

Zwiększa się rzesza chłopów; w środku tego tłumu
Stoją starce, posągi powagi, rozumu —
Rzekli: Zwołaliście nas, czego od nas chcecie?
A młodzi: Wy pytacie? dobrzeż wam na świecie? —
I z nagich, suchych piersi słowa najprzód smętne,
A potem rwą się krzyki chropawe, namiętne —
I wznoszą się do góry zaciśnione pięście.
Gołębi na sokołów zmieniło nieszczęście!
Więc starce głos podnieśli — spokojnie i długo
Płynie ich święte słowo z ojcowską posługą,
Coraz żywiej, płomienniej pierś u ludu dyszy —
Już powaga tych starców nie zdobywa ciszy
I okolnych słuchaczy złamały się ramy,
Skoczyły ręce w górę i grzmot: Przysięgamy!
A w odpowiedź błyśnięciem spojrzał okiem całem
Bóg synajski — a słowo to stało się ciałem!
Schyliły się w pokorze trwożne ludu dusze....
A gdy to dziać się będzie — to ja się poruszę!

Nakoniec przyjdzie chwila...oh! czy ona bliska?!
Cała armja wybiegnie tu na te pastwiska,
Tysiące kós zabłyśnie na tej sianożęci.
Policzą się ci drobni, wyprostują zgięci!
Będzie bój, jako żaden od wieków nie słynie;
Dla trupów miejsca braknie, bliski San krwią płynie,
W gołębich dawniej piersiach wre wściekłość tygrysia,
Na ustach jedno hasło: Nigdy albo dzisiaj!
Od dusz ulatujących aż powstaje wiater,
Kto stoi czy upada, każdy z nich bohater;
Dzieci biegną za kulmi, co jeszcze ogniste;
I darzą rozpacznego już artylerzystę;
Kobiety myją rannych — a najlepsze szmaty
Krzyk nad konającemi: To za nasze chaty!
Skończył się bój zwycięzki. — Głębokim oddechem

Odetchnęli — a potem i z płaczem i z śmiechem
Rzucają się w ramiona szczęściem wniebowzięci —
Ci, co jeszcze konają', konają jak święci —
A żywi z wysilenia na ziemię upadli,
Płaczą i oddychają....
Na ich nogi zbroczone krwią, na nogi bose,
Bóg spuszcza na obmycie czystą, białą rosę;
Zachodnie niebo płonie radością rumiane....
A gdy to dziać się będzie — to ja zmartwychwstanę!! —

r. 1857.

Z LEGENDY:

PŁUG I SZABLA.*)

1.

Było to bardzo dawno, dawniej niż świat stoi,
Toż nie mogą pamiętać tego ludzie starzy —
Po bitwie z szatanami wracał w pełnej zbroi
Święty Michał na czele niebiańskich husarzy.
Pospolite ruszenie rozpuścił do domu,
A sam jeszcze lustrował kwarciane szwadrony —
Tym dał chwałę, tym lekką naganę — jak komu;
I ścierając znój z czoła, bitwą rozogniony,
Nie obmywszy się ze krwi w boski dworzec kroczył,
I wkroczył jak zwycięzca — śmiało i wspaniale.
Więc zaledwie hetmana swego Pan Bóg zoczył,
Powstał z tronu: „A witaj mi święty Michale!

*) Autor tej legendy zastrzega się przeciw wszelkim podejrzywaniom go o nieuszanowanie dla religii. Fantazya ludu tworząc legendy, wchodzi zawsze z ziemskiemi pojęciami w świat nadzmysłowy; podsuwa nawet Bóstwu słowa i uczucia ludzkie. To, co zdaje się być humorem, jest tylko dziecięcą naiwnością. Autor miałby się za grzesznego, gdyby czuł, że uderzał w struny dowcipu — on uderzał w poważne struny ludowej prostoty. Wiersz ten, chociaż nieraz wywołuje uśmiech, bez uśmiechu był pisany. Przypisek autora.

On zniżył się w pokorze i ugiął kolano.
„Zmachanyś waść!“
„Świadczę się tą zbroją rumianą
Boże mój miłościwy, żem nie szczędził dłoni;
Zajeździłem pięć koni — no, ale w pogoni.
Niech żyje Bóg! Zwycięzką składam ci buławę,
Czyste wielkiej ojczyzny oddając granice.
Z tym paskudnym djabelstwem djablą miałem sprawę —
Ale teraz, gdy zdala ujrzy mą przyłbicę,
Zmykać będzie w przestrachu za dziesiąte piekła,
Ta reszta niedobitków, która mi uciekła.
Nie powstanie już więcej ten chytry pyszałek —
Zkąd kuchcie do patyny! — To mi gad, to śmiałek!
Wzdy zgniecon już na zawsze — już spokój. — Cześć Bogu!
Na wieczne, wieczne czasy przytarłem mu rogu!“
To mówiąc hetman boży bardzo się zapalił,
Machał ręką jak kiedy djabłów w piekło spychał;
Słuchano go w cichości — Pan Bóg go pochwalił
A trąby uderzyły: Wiwat święty Michał!

I rzekł Pan Bóg: „A odpasz to mieczysko długie“ —
Długi był na trzy mile — „już na boje drugie
Nie pójdziesz; rzuć go w otchłań, a sprawię, że zniknie.“
On na to: „Miły Boże! toć na ten rynsztunek
Ja przecie zarobiłem; a szabla jak trunek —
I anioł za nią ztęskni, kiedy raz przywyknie —
A jeszcze taka głownia! bez skazy, bez szczerbu,
Czysta, jasna jak splendor anielskiego herbu!
Niech ja już to żelazo na pamiątkę noszę —
Królu mój miłościwy — bardzo o to proszę.“
Więc pozwolił mu Pan Bóg przez wzgląd na zasługi.

I chodził święty Michał przez wiek wieków długi,
'o świetlicach niebieskich w żelaznej odzieży,

Z posadzek brylantowych dobywając brzęki.
Z początku rozkoszował w nich jak żołnierz świeży,
Lecz później ile razy wziął szablę do ręki,
Czuł, że go pali w dłoni wojenne zarzewie;
Gdyby choć jakie mustry, albo jakie rewje —
Miałby czem swe marsowe zapały ostudzić;
Ale tego nie znano — więc zaczął się nudzić.

Przed tron raz przystąpiwszy, rzekł do Pana Boga:
„Wyszlij mnie Panie Boże na jakiego wroga —
Wszak dałeś mi tę szablę ku swojej usłudze,
A w ciągłej bezczynności na śmierć się zanudzę;
Chodzę z kąta do kąta i aniołów straszę —
Chyba mi już zwierciadłem zostać w mojej blasze,
Dla rozkochanych w swojej piękności anielic —?
Wzdy potrzeba takiemu zwierciadłu oh! nie lic
Uśmiechniętych, lecz wrogów gromadę zaczepną,
Co zapędzą się, spojrzą — padną i oślepną.
A teraz ja straszydłem tylko dla gawiedzi!
Ten Lucyfer jak zalazł w piekło, tak i siedzi.
Widzę, że i zwycięztwem można sobie szkodzić.
Nie trza było djabłowi tak ostro dogodzić —
Byłby się ruszał jeszcze."

Pan Bóg się uśmiéchał
I jak na dziecko patrzał. Odszedł święty Michał,
Ciągle nosząc swej troski nieulżony ołów —
I był najnieszczęśliwszym najstarszy z aniołów.

Aż gdy po długich wiekach przyszła ta godzina,
W której Bóg na tę ziemię wysłał swego Syna,
Aby ją splugawioną krwią oczyścił własną
I postawił przed Ojcem promienną i jasną —
Umyślił Bóg, choć nieco wahał się w początku,

Dać świętego Michała swojemu Dzieciątku
Za straż, co pierwsze kroki Dziecka ubezpiecza —
Lecz nakazał, by nigdy nie dobywał miecza.

Chodził więc święty Michał za Panem Jezusem;
Do ucieczki egipskiej nagiął się z przymusem,
I nawet z Marją Panną w skutek tej ucieczki,
Podczas drogi do małej przychodziło sprzeczki.
Rozgderawszy się mówił: „Trza było przeczekać —
Nie godzi się Synowi Bożemu uciekać!
Bezpiecznie można było zostać w Nazarecie —
A teraz, Bóg wie na co, włóczym się po świecie.
Nie dobywając szabli, zabiłbym Heroda
Ot tą pięścią — i spokój; — a i dzieci szkoda!
Już to Pan Bóg łagodnie postąpił z tym wrogiem —
Tyle dzieci! mój Boże! — Od czegóż być Bogiem?!“
A więc Najświętsza Panna zfukała bluźniercę:
„Zczłowieczałeś jak widzę, ludzkie już masz serce,
Czemuż nie masz rozumu pobożnego człeka,
Co korzy się przed Bogiem, lecz go nie docieka —?
Ty tajemnice boże chcesz przebić swem czołem?
Pyłem jesteś przed Bogiem chociaż archaniołem!
Żal ci krwi niewiniątek? — a może anieli
Zazdroszczą tym wybranym tej krwawej kąpieli.
Nie wiesz, że krwi ofiarą zdobywa się ducha,
Że tę ziemię niepłodną łzami trza polewać,
Że na niej rosną tylko osty, kiedy sucha —?
Ja chwały mego Pana nie przestanę śpiewać,
Choć wiem, że abym doszła do siódmego nieba,
Ze siedmioma mieczami w sercu iść mi trzeba;
Święta jest wola Jego — a jam służebnica.“

Archaniołowi wstydem zapłonęły lica
I łzy głębokiej skruchy pociekły mu strugą,

Gdy usłyszał królowę, co się głosi sługą.
Bił się w czoło i sarkał na siebie: „Ot głupi!
Czym ja od Lucyfera zaraził się pychą?
To królowa aniołów! a patrz, jak jest cichą!
Gdy komu wadzi serce — to niech go wyłupi!...“
I długo za świętego Józefa się chował
A ukradkiem Maryji kraj szaty całował.

Odtąd przed wolą Boga zginał się w pokorze
I był jako owieczka, choć żołnierz i mściciel —
I chodził za Chrystusem, gdy już Nauczyciel
Rzucał słowa żywota, nito głodnym zboże.
Acz w końcu nie odebrał z wytrwałości chluby,
Bo znów go krew uniosła w chwili strasznej próby.
Bowiem w nocy ostatniej na Oliwnej górze,
Kiedy Chrystus oddawał się w ręce siepaczy,
On stojący przy furtce w ogrodowym murze,
A ujrzawszy żołdactwo — w żalu i w rozpaczy
Chwytał już za rękojeść... i wstrzymał się w pędzie —
Spostrzegł się i wnet rękę opuścił bezwładnie,
Bo słowa nie dotrzymać bardzo jest niełądnie,
A dał słowo, że nigdy miecza nie dobędzie.
Lecz gdy widział, że żołnierz pochwycił za ramię
I wlókł Syna Bożego — a wojenne znamię
Miał Piotr przy boku — szepnął do świętego Piotra:
‚A palnijże po uszach choć ty tego łotra!
Niech nam Chrystusa Pana nie biorą na sucho!“
Święty Piotr dobył szabli — i zleciało ucho.

Spostrzegł Pan Bóg, że będzie z nim trudniejsza sprawa,
W chwili, kiedy ofiara ma się pełnić krwawa;
Że choćby miał i słowa swego nie dochować,
Święty Michał Chrystusa nie da ukrzyżować;
A że go wielce cenił i pełen był względu,

Więc świętego Michała odwołał z urzędu —
Inaczej świat nie byłby odkupionym światem,
Bo bez krzyża — a kręto byłoby z Piłatem.

Kiedy Chrystus poniósłszy śmierć krwawą na krzyżu,
Wracał z piekieł, ujrzał smutnego w pobliżu
Michała archanioła; ten do nóg się schylił,
Rany Jego całował i jak dziecko kwilił:
„A bądźże miłościwym dla mnie Chryste Boże!
Gdy Ty mi nie pomożesz — a któż mi pomoże!
Stary Pan Bóg coś gniewny — i ja się nie dziwię,
Miałby rację ukarać mnie — i sprawiedliwie.
Miałem spokój! a teraz schodzę na ohydę —
A jeszcze z własnej woli wlazłem w taką biédę;
Nie lepiej mi z innymi było hymny śpiewać —
Trzebaż mi było miecza jak dziecku zachciewać!
On to butną krewkością napoił me serce,
Jak wąż kusiciel szepcze ciągle o żołnierce;
Oto przy Twoich nogach tę pokusę kładę,
Co z nią zrobić, gdzie podziać — daj mi Chryste radę!“
A Chrystus odpowiedział: „Oto miecz ten skruszę
Miłośnem przebaczeniem. Uwolniłem dusze
Pokutujące w piekłach za śmiertelne grzechy...
Bom nie jest wysłannikiem kary — lecz pociechy,
Ani ja jestem sędzią, — lecz dawcą otuchy.
Oto pragnę i żądam, ażeby złe duchy
Nie chadzały z pokusą na glob odkupiony,
Nie podnosiły w ludziach już dłużej złych chuci
I nie stawiały sobie swych bożyszcz na trony;
Ach! bo te ludzkie dusze bez tego tak słabe...
Toż kiedy ciebie miecz ten i męczy i smuci,
Użyj go po mej radzie za zaworną sztabę
I załóż nią na zawsze te piekielne wrota,
Niech na świat nie wychodzi szatańska niecnota.“

Święty Michał przed wolą Chrysta się ukorzył,
Odpasał szablę, bramę piekła nią założył;
Po zawieszeniu broni odszedł święty Michał,
Ale wziąwszy dymisję, zawsze nieco wzdychał.

2.

Był naród mieszkający na wielkiej płaszczyznie,
Co bujała to trawą, to lasami żyznie,
A niedalekie morze dla tej ziemi synów
Wyrzucało na brzegi kawały bursztynów;
Te przekłute na wylot, zsilone na sznurek
Zdobiły białe szyjki niewistek i córek —
A bardzo tem cieszyła się każda niewiasta!
Lud ten żył po bożemu, nie wiedział co miasta,
O cesarzach nie słyszał nigdy, ni o królach,
I dzielił się na gminy, rządził się ojcami,
A od ojca narodu zwał się Lechitami,
I żył sobie swobodnie jako pszczoły w ulach.
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,
Rządził Bóg uśmiechnięty okiem swej opieki.

Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski,
I pobożny był wielce i prawie anielski,
Że mogło się wydawać, jakby prosto z raju
Wyszedł na swe wygnanie z pamięcią dziewictwa,
I spełniał w przeznaczonym na pokutę kraju
Dany wyrok, bo prace i znoje rolnictwa.

Bóg dzieci nie opuszcza, choć je czasem karci,
I łatwo zdobyć łaskę pełniąc Jego wolę,
Więc szczęśliwym był lud ten uprawiając rolę
I chodząc z troskliwością około swych barci.

Lubiał pieśni, co słodzą rolnictwa mozoły:
Więc pracował i brzęczał tak jak czynią pszczoły.
Jaki zachód, chleb taki — skutek rodzą środki:
To świętym był jak ziemia i jako miód słodki.

I chodził w białem płótnie własnego wyrobu,
I w takiem białem płótnie chował się do grobu,
Nie mając żadnej krwawej plamy na odzieży;
Bez pochuci do kłoteń, nie znający wojny,
Nie szukał za żelazem, co gdzieś w ziemi leży;
Więc rozrastał się mnogo — rojny, bo spokojny.

Był to widok ucieszny nieraz dla aniołów,
Gdy lud ten pod lipami usiadłszy u stołów,
Przysłuchiwał się chętnie radom braci starszej,
Co siedziała na wyższej kłodzie patrjarszej;
A opodal niewiąsty piękne jak królowe,
Rańtuchami nakrywszy ścięte włosy płowe,
Nito berła pokoju trzymają kądziele,
I wesoło szczebiocą — a wiele, a wiele.
Nad niemi na rumianej owocem jabłoni
Kilka głosów dziecięcych wśród gałęzi dzwoni;
A pod drzewem siostrzyczki, oczka i fartuszek
Podniosłszy, do czerwieńszych milą się jabłuszek
I do sprytnych braciszków, coby je natrzęśli.
A tu słychać gęślarzy strojących swe gęśli...
W długich szatach, z koroną dębową na głowie,
Wyszli cicho z zieleni jak dobrzy bogowie;
Ich przyjściu dziwny jakiś powiew towarzyszy:
Starce, dzieci, niewiasty — wszystko tonie w ciszy.
O czarodziejska władzo sławiańskich śpiewaków,
Ty nawet do posłuchu zniewalałaś ptaków!
Oto lecą z pod strzechy już ku nim gołębie,
I u stóp czarodziejów siadły niestrwożone;

Tam bocian ruszył z gniazda na zeschniętym dębie,
I rozkraczył przed nimi swe nogi czerwone;
I już od tych śpiewaków zdobyły na wieczność:
Bocian jasną powagę — gołębie serdeczność.*)

r. 1857.

*) Legenda ta znaną jest między zagonową szlachtą podgórza karpackiego. W dalszej jej treści, św. Michał pokochawszy pobożne plemię Lechitów, gdy widział ich umęczonych przy uprawie ziemi, którą w braku żelaza obrabiali drewnianemi sochami — odłamał połowę swego miecza, narobił lemieszów, urządził pługi i obdarzył niemi swoich ulubieńców. Po niejakim czasie, lecąc nad ziemią, obaczył łuny pożarne i usłyszał lament wielki: — to Germany palą lechickie sioła i mordują mieszkańców! — a ci bezbronni, nieporadni, gołębiego serca, poddają się losowi w bezwładności rozpaczy. Nie było chwili do namysłu; porwany uczuciem św. Michał, co tchu dopadł piekielnej bramy, oderwał resztę swego miecza, nakuł z niego mnóstwo szabel i wraca czemprędzej na ziemię, kędy ogień i krew. Lechici ledwie dotknęli się anielskiej broni, poczuli się rycerzami i uderzywszy na nieprzyjaciół, wyrugowali ich ze swoich siedzib. Od tego czasu rysuje się wyraźnie historyczny charakter narodu polskiego: na poły sielski, na poły rycerski, z jakiemś owianiem anielstwa; ale także od tego czasu uwolnione szatany rozbiegły się po świecie! Nasz drogi archanioł w nie mały popadł ambaras; nie mało nasłuchał się wyrzutów od Chrystusa Pana. Podjął się więc wychowania Polaków i w ostrej ćwiczy ich szkole w tej nadziei, że oni kiedyś w przyszłości oczyszczą świat ze szatanów i boże na nim zaprowadzą rządy. Snać ta przyszłość musi być niedaleką, kiedy nadzieja Świętego stała się za naszych czasów wiarą wszystkich wieszczów Polski. Przypisek autora.

MELODYE BIBLIJNE.

DWAJ ANIOŁOWIE.

WSTĘP.

ANIOŁ MELODYI (IZRAFIL).

Z harfą hebrajską przewiewam samotny
Po białych chmurach, co nieznają gromu,
Łez moich cichych pociąg wilgotny
Rdzawi jej struny. — Komuż ją dam, komu?

Gdzież owe czasy króla-śpiewaka,
Gdzież owe wieki półaniołów-ludzi,
Kiedyż głos taki, kiedyż pieśń taka
Drzemiące gwiazdy do chóru obudzi.

Znałem ja piewcę młodego z zachodu,
W prochu spodlenia czołgać on nie umiał,
I wydał wojnę zbrodniom swego rodu,
I przeklął winnych, — to też mnie zrozumiał!

I gdym mą harfę podał mu do ręki,
Tak po mistrzowsku palce mu biegały,
I w takie smutne zadzwonił piosenki,
Że się judejskie groby rozpłakały.

Z harfą hebrajską przewiewam samotny
Po białych chmurach, co nieznają gromu,
Łez moich cichych pociąg wilgotny
Rdzawi jej struny. — Komuż ją dam, komu?

MÓJ ANIOŁ.

W cieniu mych skrzydeł tulę ziemskie dziecko,
Sławą i pieśnią nie wzleci wysoko,
Ale ma duszę czystą i nieświecką,
Serce do uczuć, do łez skłonne oko.

I chociaż orłom w locie nie wyrówna,
Chociaż przy ziemi nieraz zaszybuje,
To pieśń mu pójdzie jako nitka równa,
Której nie zerwie — aż całą wysnuje.

Daj mu twą harfę, melodji aniele,
On twoich żalów wiernem będzie echem,
Bo w jego kraju nie mieszka wesele,
W jego narodzie każdy śmiech jest grzechem.

Głos drżący łzami wtórem dla twej lutni,
A im pieśń każda śród bolów dojrzewa,
O! to on smutny, bo tam wszyscy smutni...

ANIOŁ MELODYI.

Rzucam mu harfę żałobną — niech śpiewa!

I.

JUBAL.

21. Imię zaś brata jego, Jubal: ten był ojcem grających na harfach i muzyckiem naczyniu.
Genesis roz. IV.

Potomek Kaina, zrodzony na biédę,
Po ziemi wygnania z moją harfą idę,
I dziecko tułacze och! nieraz zapłaczę,
Gdy wspomnę na raj nasz, — na Eden.

Choć jedzą chleb w znoju synowie Lamecha,
Im w myśli swoboda i w sercu uciecha,
Choć jedzą chleb w znoju! — a ja w niepokoju
Za wszystkich sam cierpię — ja jeden!

Synowie Lamecha zbytkują nademną;
Gdy ujrzą twarz moją w noc cichą a ciemną
Na harfie opartą, jak niebo otwartą,
Jak księżyc promienną i bladą:

To wtedy pełzając mój namiot podchodzą,
Mój namiot z gałęzi, gdzie pieśni się rodzą,
I ciężkie swe dłonie jedni mi na skronie
A inni na struny pokładą.

Choć jednej nawiązać struny nie umieją,
Synowie Lamecha z mej harfy się śmieją,
Do jarzma wdrożeni, od Boga wzgardzeni,
O raju straconym i nie śnią.

A jabym w ich piersiach zaszczepić chciał bole,
By żywo uczuli swą własną niedolę,
A potem znużone te serca skrwawione
Cieszyłbym nadzieją i pieśnią.

O! ojciec ja pieśni, gdy siądę na górze,
To orzeł przelotny usiada na chmurze,
I długo mnie słucha nim skrzydła rozrucha
I dalej z wiatrami poleci.

I nieraz gdy śpiewam, to leśni ptakowie
Bez trwogi siadają na młodej mej głowie,
A zejdzie li gwiazda, to lecą na gniazda
Wyuczać mej pieśni swe dzieci.

Synowie Lamecha wzgardzają pieśniami —
Lecz kiedyś, o! kiedyś nadejdą ze łzami
Jubala obsiędą i prosić go będą
O jedną piosenkę — jałmużnę.

A kiedy z tą pieśnią przed Panem upadną,
To raju stróżowi miecz z ognia wykradną;
Na ziemi wygnania usłyszą wołania:
«Zwijajcie namioty podróżne!» —

II.

OSTATNIE GŁOSY SODOMY.

---

24. Tedy Pan dżdżył na Sodomę i Gomorę siarką i ogniem od Pana z nieba.

Genesis roz. XIX.

GŁOS PIERWSZY.

Na Boga! gdzie droga do miejskich, do bram,
Przedemną, nademną tu ognie i tam,
Z iskrami we włosach,
Po trupach, po stosach,
Ja lecę szalony w grób!

Wiatr szumi a tłumi mój oddech ten szum,
Żar pryska, a ściska, nie puszcza mnie tłum,
Hej, z drogi! kto żyje,
Bo nożem przebiję,
Daremnie... oh! padam... trup!

GŁOS DRUGI.

To do dnia pochodnia roznieca się już,
Na głowy ogniowy spadł wieniec nam z róż,
Ty drzysz mi na ręku?
O luba! bez lęku
Czekajmy w pieszczocie snu.

W połysku, w uścisku opada mi skroń,
Dym mroczy! — gdzie oczy, twe usta, twa dłoń!
Tam lawy wrą deszcze —
O luba! raz jeszcze
Pocałuj — bo konam — tchu!!

GŁOS TRZECI.

Ja młoda! o! szkoda urody i lat,
Bez życia, użycia odlatam mój świat,
O Boże mój, Boże!
Przed tobą w pokorze
Zanurzam twarz moją w proch.

Gniew boży tak sroży za jeden nasz błąd, —
Hej ludzie! kto w cudzie wyniesie mnie ztąd,
Kto wezmie na ręce,
Ja temu poświęcę
Mą młodość... ha! pali... och!

GŁOS CZWARTY.

Morderca bez serca wytępia swój ród,
I z nieba miast chleba śle ogień i głód,
Chce zniszczyć potopem,
To siarki ukropem,
Przez siebie wszczepiony grzech.

Choć skryła mogiła mnie węgli i siark,
Nie ścielę w popiele przed tobą mój kark,
Lecz w twoje otchłanie
Jehowo-szatanie
Wyrzucam przedśmiertny — śmiech!

GŁOS PIĄTY.

Ogrody! gdzie młody bujałem śród drzew,
Gdzie głośno, miłośno brzmiał dziewic mych śpiew,
Nie ujrzę was więcej!
I śpiewy dziewczęce
Ogłuchły przy ryku burz.

Nim zginę obwinę się płaszczem — ja król!
Dziewczęta, chłopięta, przytłumcie wasz ból,
Tu do mnie, tu do mnie,
Rozkosznie, przytomnie,
Obsypcie mnie liściem róż.

Na łona ramiona zarzucam jak wąż —
Hej czary, puchary! hej harfy nawiąż!
Skry lecą — dym krztusi,
Kto ogień przydusi
Dostanie mej ziemi... ćwierć!

Popiołem padł kołem tłum wierny mych sług,
I wyżej i chyżej żar czepia się nóg,
Na pomoc! ha, płonę!
Zerwijcie koronę,
Co pali skroń moją... Śmierć!!

GŁOS LOTA.

Spokojny śród wojny wprzód kroczę jak w śnie,
Choć płomień swój promień ku drodze mej gnie,
To żądło płomienia,
Od mego odzienia,
Sykając ucieka wstecz.

Gdzie zwrócę, a rzucę zaklęcie mych słów,
Blask zmierzcha — i pierzcha tam bladych sto głów,
Gdzie spojrzy me oko,
To dymy się wloką,
Daleko odemnie precz.

Przewodnią pochodnią jest dla mnie ten gród,
Dla wiary bez miary wypełnia się cud,
Kto bożym wybrańcem,
Za cnoty swej szańcem
Bezpiecznie ma w ogniu iść.

Straszliwy a mściwy Jehowy jest sąd,
Dla złego gniew jego, oh! sroższy niż trąd.
Choć złość się rozwinie,
To marnie zaginie
Jak zwiędły w jesieni liść.

III.

SŁUP SOLI.

---

26. A obejrzawszy się żona jego nazad, obróconą jest w słup soli.
27. Abraham lepak wstawszy rano gdzie pierwej stał z Panem,
28. Pojrzał na Sodomę i Gomorę i na wszystkię ziemię onej krainy i ujrzał w górę lecący perz z ziemi jako dym z pieca.

Genesis roz. XIX.

Wstał rano Abraham i wstąpił na wzgórze,
A poschły tam cedry, powiędły tam róże,
A z dolin siarczane wznosiły się kurze.

I z ręką na sercu i z ręką na czole
Napróżno coś szukał, — wciąż pole i pole,
Ni drzewa, ni kwiatu nie było tam w dole.

I tylko obaczył tło czarne jeziora;
Więc smutno zadumał: Sodoma! Gomora!
Ach, jakaż to straszna w twej śmierci pokora!

Gdzie twoje okrzyki, gdzie twoje biesiady,
Gdzie gmachy złocone, kwieciste twe sady,
Gdzie piękność twej ziemi, a ludzi szkarady?

Rozkoszą zmęczona gdyś wczoraj się kładła,
Czy też ci mówiły to senne widziadła,
Że dziś cię zakryją jeziora zwierciadła?

I kędy popatrzę i pusto i głucho,
Nie widzi nic oko, nie słyszy nic ucho,
Aż w piersiach nie lekko i w oczach nie sucho.

Mówiłem do Pana: jeśli pięćdziesięciu
Jest prawych, to nie trwaj w swojem przedsięwzięciu;
A Pan rzekł: Mój sługo, tam nie ma i pięciu!

Sodomo! Gomoro! chodziłaś w swawoli,
To Pan cię nawidził, — i zamiast niewoli,
Śmierć zesłał na ciebie: — błogosław swej doli!

I umilkł Abraham, bo gałąź zwieszona
Odkryła mu nagle słup, co miał ramiona
I głowę — ta była ku miastu zwrócona.

Więc lepiej odchylił spalone cyprysy
I długo poglądał na słupa zarysy,
Na głowę, co miała znajome mu rysy.

Ze strachem się podniósł i podszedł ku drodze,
I poznał twarz oną, zkamieniałą w trwodze,
I głośno zapłakał — bo zmartwił się srodze.

I usiadł pod słupem zemdlony mozołą,
I w dłonie drgające zaciągnął swe czoło,
A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą.

IV.

HAGAR NA PUSZCZY.

14. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał jej dziecię i odprawił ją, która poszedłszy błądziła w puszczy Bersabee...
15. A gdy niestało wody w bukłaku...

Genesis roz. XXI.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia; — do Ciebie, Jehowa
 Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nademną wychłódło,
I skały granitu zmień Panie na zródło,
 A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
 Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
 Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam Panie kochała i była kochaną,
Szczęśliwą, — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat;
Ja tobie o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej Gazelli to wrzask;
A w koło szakale oczyma mi świécą,
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

V.

REBEKA.

16. Dziéweczka zbytnie ślicsna i panna bardzo piękna...

Genesis ros. XXIV.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty
Mury Aramu bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Aramem na staj nie wiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące;
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach;
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

«Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno;
I z powitaniem nikt nie pospiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę,
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech Jego w niej będą rządy:
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.» —

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna, jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką, co wiszą;
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie;
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ogniezdża się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z konewczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie: Piękna dziéweczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

A ona rzekła: Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrząjąc w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną —
To ja wielbłądy wasze napoję,
Pozwólcie być wam usłużną.

I poszła wodę czerpać dla stada.
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
«Wielki Bóg litość miał z swoim sługą —»
I skłonił czoło ku ziemi.

VI.

IZRAEL W EGIPCIE.

13. I nienawidzili Egipcyanie synów Izraelowych i trapili je, naigrawając ich.
14. I ku gorzkości przywodzili żywot ich robotami ciężkiemi......

Exodus roz. I.

IZRAEL.

Uderzmy w głosy! żal podajmy niebu!
Jak struny poschły nam żyły,
I nasi bracia giną bez pogrzebu,
A wiatr im sypie mogiły.
A naszym synom każą wznosić mury
Na trupach ojców, co skonali z trudu.
Młoty w góry! głosy w góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Syczący gadzie! ucisz głos,
Bo zbudzisz Faraona;
Milczeć i cierpieć — to wasz los,
Milcząc niewolnik kona.

Dalej do pracy! cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz...
A cyt! a cyt!

IZRAEL.

Farao usnął w puchowym rozmięku,
Rozkosz go skryła w bławaty,
A my czuwamy z kamieniami w ręku
Jak śpiących żórawi czaty.
A twarze nasze sine, jak marmury,
A włos nasz pełen popiołu i brudu....
Młot do góry! głos do góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Niesforny rodzie! skarz się, skarz,
A my podwójmy ciosy,
Chciałbyś olejem maścić twarz,
Mirrą nakrapiać włosy?
Dalej do pracy! — cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz....
A cyt! a cyt!

IZRAEL.

Dla ptaków w polu pszenica się świeci,
Struś znajdzie gniazdo po biegu:
Oh, oh! Jehowa, — jednež twoje dzieci
Bez chleba i bez noclegu?
Słoniom kły dałeś i orłom pazury,
A niedasz broni dla twojego ludu?

Młoty w góry! głosy w góry!
Cudu! cudu! cudu!

CHÓR BICZOWNIKÓW.

Bogiem niemocy jest wasz Bóg,
Pasterzy rodzie podły!
A w jasne niebo nie ma dróg
Dla niewolników modły.
Dalej do pracy! cegły licz,
A zatłum płacz i zgrzyt —
Po waszych grzbietach puszczam bicz....
A cyt! a cyt!

STARZEC Z IZRAELA.

Nieście mnie syny na górę — bo konam!
Twarz mą obróćcie do wschodu —
A patrząc w słońce srogi ból pokonam,
Choć konam z męki i z głodu.
Patrzcie! tam z Nilu ustępują chmury,
Promień ozłocił zamglonych wód końce....
Skargi na dół! hymny w góry!
Słońce! — słońce! — słońce!

Patrzcie! tam z Nilu — tam — kędy sitowie,
Mąż wielki przed słońcem kroczy,
A dwa płomienie grają mu na głowie,
W oczach gra zapał proroczy.
Ogniową laską dzieli wód lazury,
Laska się w węża przemienia latawca....
Skargi na dół! hymn do góry!
Zbawca! — zbawca! — zbawca!

VII.

HYMN WYCHODŹCÓW Z EGIPTU.

1. Śpiewał tedy Mojżesz i synowie Izraelscy tę pieśń Panu.

Exodus roz. XV.

Chwalmy Pana! bo wielkim jest Bóg Izraela —
Lew przed nim jako wielbłąd pod juką uklęka,
U stóp Jego grom chyży płazem się rozściela,
A strasznym jest gniew Jego, potężna ta ręka,
Co rzuciła plag dziesięć na nieprzyjaciela.

Farao nam bez plewy kazał robić cegły,
I lud głodem morzony poprzyganiał biczem,
A stosy naszych trupów pustynie zaległy.
Lecz my Panie, za Twojem szukali obliczem,
I hymny naszych jęków do Twych uszu biegły.

I położył Swe oko Pan na lud cierpiący,
I otworzył Swe ucho na boleści głosy,
I przyszedł do Egiptu jako wiatr gorący,
Gdzie powiał, syny pychy padały jak kłosy,
A dla nas był łagodny, jak rosa chłodzący.

I zatwardził Pan w gniewie serce Faraona,
Zdjąć nie chciał z Izraela okowy poddańcze,
To Pan pierworodnego zabił mu u łona,
Na lud rzucił zarazę, na pola szarańczę,
Zgasił słońce, — że kraj był jak ciemnia sklepiona.

I przywiódł Izraela nad czerwone morze,
A za nami brzęczały pogoni oręże,
A Pan rzekł: Przez te wody drogę wam otworzę,
A jak ołów potoną ich wozy i męże.
I oto tak się stało, jak mówiłeś Boże.

Chwalmy Pana! przed nami On stępuje przodem,
W nocy słupem ognistym a we dnie obłokiem,
Do ziemi obiecanej dojdzie z swym narodem,
A znużone nam dusze pokrzepi widokiem
Kraju wiosny, co płynie i mlekiem i miodem.

VIII.

PAN W GNIEWIE.

14. A jeśli mię nie usłuchacie i nie zachowacie wszystkich przykazań moich,
16. Ja też wam to uczynię....

Leviticus roz. XXVI.

Przyjdzie wróg wasz z licznemi jak gwiazdy zastępy,
A sprawię, że wam ręka kamieniem ocięży,
Waszą strzałę wiatr zniesie, wasz miecz będzie tępy,
Zawiść wam rzucę w serca, i wróg was zwycięży
Waszą bronią, — padniecie krwią zlani, a sępy
Po polach włóczyć będą ciała waszych męży —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Wróg jak szakal o ścierwo, targować się będzie
O wasze dusze, — kraj wasz rozerwie na ćwierci,
I na moim ołtarzu w koronie usiędzie,
A klin wbity do ziemi tak wam kark przewierci,
Że nie ujrzycie gwiazd mych, ni mnie, com jest wszędzie,
Że zbawieniem wam będzie ciężka chwila śmierci —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

A jedni w obce kraje pójdą na tułactwo,
Konać będą z zwróconą ku swej ziemi twarzą;
A drudzy wór obloką i liche żebractwo
U progu pełnych stodół na głód się poskarzą;
A inni — zaślinione, plugawe robactwo
Własny naród obrzucą zdradą i potwarzą —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Piorunem na was spadnie mojej klątwy słowo,
Od ust wam chleb uciecze, a woda od dzbana,
I zawieszę wam niebo żelazne nad głową,
A ziemia wasza będzie martwa i miedziana,
I stanie się przedemną łzawicą kruszcową,
Dopóki jej nie spali łza w środku rozlana —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Chmury na was miast deszczem posypią popiołem,
Skwar słońca wasze ciała pokurczy, pokarli,
I czołgać się będziecie z osłoniętem czołem,
Żałobnicy, co w bolu swe szaty rozdarli,
A nikt was nie pocieszy wieszczeniem wesołem,
Z swych grobów kląć wam będą ojcowie umarli —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

IX.

BALA-AM.

11. I rzekł Balak do Balaama: «Cóż to jest, co czynisz? Abyś przeklinał nieprzyjacioły moje przyzwałem cię, a ty przeciwnym obyczajem błogosławisz im.»
12. Któremu on odpowiedział: «Azaż mogę co inszego mówić, jedno co każe Pan?»

Numeri roz. XXIII.

To mówi Bala-am: Niech Moab mnie słucha,
Bom wstąpił na jego ołtarze;
Pan usta przyłożył do mojego ucha,
Ja prawię, co wielki Bóg każe.
Bala-am, syn Beor, wieszczek do was prawi —
Klnijcie, co on przeklnie, sławcie, co on sławi!

Od siedmiu ołtarzy siedem ciągnie dymów,
Do nieba sięgają, do góry —
Widzicie! Pan złamał ramiona olbrzymów,
Na brudne przerobił je chmury,
I wiszą nad wami te dymy ofiarne
Jak myśli nieczyste, jak modlitwy czarne.

Na wielkiej dolinie u tych gór podnóża
Izrael rozścielił obozy —

Napróżno Moabie zalegasz te wzgórza,
Ku niemu wysyłasz wzrok zgrozy,
U pańskiej świątyni on stoi na progu —
Kto jemu złorzeczy, ten złorzeczy Bogu!

Trzykrotnie jest święty ten naród pokuty,
I święty w nim każdy z osobna,
Bo żywot był jego z nieszczęścia wysnuty
Jak szata dla sierot żałobna;
I długo w niej chodził w niedoli i w nędzy,
Nim podarł tę szatę z takiej szorstkiej przędzy.

O! naród to święty — ku swojej krainie
Pół wieku po puszczach wędrował,
Kościami własnemi zasiewał pustynie,
A miłość dla kraju przechował,
Toż siłę przysporzył i rozrósł się mnodze,
A biada tym, biada! co mu staną w drodze.

Na miecze, na włocznie po długich poswarkach
Przerobił swe laski pielgrzymie,
A teraz się zbliża, by na waszych karkach
Tym mieczem zapisać swe imię.
A jeśli się wielką srogością rozpasze,
To będzie wytępiał niemowlęta wasze.

Jak pięknie tam z wiatrem falują namioty,
Oblane strumienia półkołem,
Jak pięknie ku słońcu podnoszą się groty
I światłem migają wesołem.
Izrael po łąkach wysypał się rojem,
I gwarzy ponuro — bo tęskni za bojem.

Zerwijcie namioty, wy synowie burzy!
Potrząście, pobrzęczcie grotami!
I dalej w kraj własny! w ślad waszej podróży
Krew wrogów popłynie, — Bóg z wami!
Ja wieszczbiarz zgrzybiały, z Moabskiej wyżyny
Wasz pochód i wasze błogosławię czyny!

X.

PRZEKLĘCI.

14. I będą mówić Lewitowie i rzeką do wszech mężów izraelskich głosem wyniosłym:

Deuteronomium roz. XXVII.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła boże
A pokłon oddaje w służebnej pokorze,
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto mężem a swemu bliźniemu,
Za urząd, za strawę, za lepsze odzienie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto naród spokojny najeżdża,
I w nim się jak brzydka jaszczurka zagnieżdża,
I czystą myśl jego zaraża oddechem.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny rozkoszą w bezczynności leży,

Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto zdradnie swych braci odstąpi
I smutnym w niedoli łez i pieśni skąpi,
A wrogom najemną cześć i chwałę śpiewa.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczystego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, po trzykroć przeklęty!
Kto wroga oszczędzi, kto wroga ochroni
Gdy nad nim miecz zemsty w miecz sądu zadzwoni.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

XI.

MOJŻESZ PRZED ŚMIERCIĄ.

49. ..... a oglądaj ziemią Chananejską' którą ja dam synom Izraelowym odzierżyć ją, a umrzyj na górze.

Deuteronomium roz. XXXII.

1.

GWAR MIĘDZY LUDEM.

— Gdzie nasz wódz?
— Stary lew!
— A któż nas powiedzie?
— Mojżesz znikł!
— On, co zwykł stawać nam na przedzie.
— Czy się skrył?
— Wszak tu był!
— Snać rozmawia z Panem.
— Bóg wysoko, kraj nieznany, a wróg nad Jordanem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne z małemi dziatkami —?
— Uciekajmy!!
— Panie, Panie, zmiłuj się nad nami!

— Gdzie nasz Bóg?
— Bogi są.
— Kto o Bogi pyta?
— Pójdźże precz!
— Ja mam miecz!
— Jam Pański Lewita!
— I cóż ztąd?
— Hej na sąd! utłuc go kamieniem!
— Swar na uście, strach na sercu — klątwa nad plemieniem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne....
— Płacz niewiast, zaporą!
— W Egipt, w Egipt!
— Zwiń namioty, ruszajmy a skoro!

— W Egipt nam?
— Milsza śmierć niż wtóra niewola!
— Co za wieść?
— Cześć mu cześć!
— Za mną czyja wola!
Silna dłoń, ostra broń, ja was tam zawiodę.
— Silną dłonią z twardej skały czy wyciśniesz wodę?
— Hej Mojżeszu! nie zostawiaj nas w takiej ohydzie.
— Jam Mojżeszem, siła Bogiem!
— Cicho, Mojżesz idzie!

(Mojżesz wychodzi z przybytku prowadząc Josuego.)

MOJŻESZ.

I znowu swar? I znowu krzyk?
zmilknij bluźniercza głowo,

Bo zdeptam cię, jak miły Bóg!
            bo zdeptam jak wężową.
Skinę! — a przepaść pod wami otworzę,
Skinę! — a zagrzmi tu czerwone morze —
            Zagrzebię, zatopię was!

Ojcowie raz uporem swym
            z Jehową gdy się starli,
To błądząc szli przez cały świat,
            dopokąd nie wymarli!
I rzekł Pan srogi, co swe słowa iści:
«Do mojej ziemi wejdą tylko czyści,
            Wam zatracenie i śmierć!

Patrzałem dziś na piękny kraj
            płynący mlekiem, miodem —
A Pan mi rzekł: «Toż dzieci ich,
            motłochem nie narodem!
Przecz ja mam wpuszczać te niesforne trzody
W moje winnice i w moje ogrody —?
            Mojżeszu, nie żałuj ich.»

Więc ludu ty, sporny a zły,
            pokorę przyjm do łona,
Bo dotkniesz się zdroju i gór,
            i wonnych winnic grona,
Do Chananejskich przystąpisz krawędzi
Ale Bóg nazad od wrót cię odpędzi
            W puszczę na hańbę i głód.

A kiedy tam zmorzony snem
            na martwych legniesz piaskach,
To będziesz śnić o ziemi tej,
            o jej czarownych blaskach,

I wyschniesz duszą od długiej tęsknoty,
I zwisłe głowy w grobu piasek złoty
Z radością sam będziesz kładł.

A mówię ci, że jeszcze czas, —
ta ziemia obiecana
Przed tobą lśni, — ja tylko sam!
ja wrócę sam do Pana;
Na mojem miejscu Jozue, syn Nunów,
On, co ma władzę cudowną piorunów,
On będzie przed wami stać.

Lękajcież go, bo straszny on,
Jehowa go postawił
Jak z ognia słup; — włożeniem rąk
jam go pobłogosławił —
Błogosławieństwo i wam rzucam z dłoni,
Błogosławieństwo wodom, ziemi, broni,
I błogosławieństwo wszem!

(Mojżesz zakryty obłokiem wstępuje na górę.)

GŁOS LUDU.

Odszedł nas smutny, płaszczem kryjąc twarz,
Poruszył go żal głęboki;
Milszym tyś dla nas, o! Mojżeszu nasz,
Niż Jozue chmurnooki.
Zawyjmyż płaczem, by aż ziemia brzmiała:
Chwała mu, chwała i chwała!

2.

MOJŻESZ.

(Na górze — sam.)

Owoż ostatnia gospoda już bliska!
  Na górze Nebo, tu na Fasga szczycie,
Jak pielgrzym składa kij swój u ogniska,
  U nóg Twych Panie, złożę moje życie.
Jestem zmęczony, smutek mnie uciska,
  Słaniam krokami trwożliwy jak dziécie,
Albowiem jestem wracającym sługą,
Co z twoim skarbem błądził w świecie długo.

I niewiem jakiem sercem mnie powitasz,
  Twojemu słudze, czy dasz dobre słowo,
Czy go odepchniesz i z gniewem zapytasz:
  «Cóżeś uczynił? przecz to, a nie owo?»
A wszak Ty Panie w mojej duszy czytasz,
  Wiesz, jak Izrael miotał się przzodkowo,
I ztąd nabawiał mnie boleścią wielką,
Jakobym jego miał być rodzicielką.

Twardego karku był Twój lud o Panie!
  Przed Twojem okiem hardo się prostował,
A ku mnie zwracał swą złość i szemranie;
  Maluczko raz mnie nie ukamienował.

Jako cień ze mną chodziło stroskanie,
  I długom, długo z tym ludem biedował,
Nie miałem ulgi widząc jego zakał,
Jeno gdym sobie w zakątku popłakał.

Miałem ja serce pokorne i ciche,
  Kiedyś rozkazał bym przed Tobą stawał;
I mnie wybrałeś sobie, koźle liche,
  Bym lwa srogiego przed ludem udawał;
Więc w smętne oko kładłem blask i pychę,
  I z tem udaniem zbiegłem świata kawał,
Spokojny, głowy nie nakryłem dachem,
A miłujący, wiodłem braci — strachem.

Bo też buntowny on lud wciąż się srożył,
  Wiecznie pragnący, pełen win i brudów,
I ledwie syty do snu się położył,
  Otwierał oczy i znów wołał: Cudów!
Jakiegoż króla onby nie zubożył!
  Ale nie Ciebie Panie, Króla ludów!
Boś Ty mu wszystko dawał co potrzeba,
W rodzajną niwę zamieniwszy nieba.

Wiem pocoś wodził nas morzem i lądem,
  Jam myśl Twą odgadł w błyskawicy gromu:
«Pamięć doznanej niewoli jest trądem!
  W kraj obiecany, do mojego domu
Nikt z nią nie wejdzie!» — Pod strasznym tym sądem,
  Nie przepuściłeś, Ty Panie, nikomu,
Bo zmarli moi rowieśni i bratni
Wszyscy, — a ja tu umieram ostatni!

Ale te dzieci to już się zrodziły
  W puszczy, niepomne egipskiego jęku,

I nie łzy hańby lecz Twą rosę piły,
  A jam je wszystkie wynosił na ręku.
Niechże się staną ramieniem Twej siły,
  I głoszą imię Twe w orężnym szczęku,
A groby ojców mając za podstawę,
Niech patrzą w niebo i niech rosną w sławę.
Twojej ten naród poruczam opiece,
  Sam już niezdatny na ziemię się kładę;
Wzdy łzę ostatnią czuję na powiece,
  A w sercu czuję niepokój i zwadę;
Wyciągam ręce, poglądam ku rzece,
  Piękna ta ziemia nasza! — przez mgły blade
Widzę świecącą Jozuego dzidę....
Lecz Ty mnie wołasz Panie — to już idę.

Nakryłem głowę starą — jak mi smutno!
  Raz jeden jeszcze zrobię sobie szparę
Dla słońca, — próżno odchyliłem płutno....
  Szumy, a wiatry, a obłoki szare....
Chanaan! Chanaan!.........

———

XII.

JERICHO.

5. .... krzyknie wszystek lud okrzykiem wielkim, a upadną z gruntu mury miejskie.

Księgi Josue, roz. VI.

Przez lat czterdzieści szli drogą pokuty,
Przez lat czterdzieści milczeli pod młotem,
I pierś ich w ogniu jako pancerz kuty
Jeno się głuchym skarzyła łoskotem,
Aż własnem ciałem stali się pancerni;
Kruszył się na nich oszczep, nakształt cierni.

I ducha swego nie trwonili w słowach,
Siedział on w głębi zasklepiony twardo,
I ledwie czasem z rękoma na głowach
W cieniu siadali milcząco i hardo;
A gdy ich boleść do żywa dojadła,
To z chmurnych oczu ledwie łza im spadła.

Nie frymarczyli oni łzą, ni skargą,
Nie rwali dłoni, nie miotali włosem,
Ale zaciętość stała przed ich wargą,
Każdy drżał w sobie skamieniałym głosem,

A na dno duszy swej to tylko składał,
Co w strasznych grzmotach groźny Bóg wygadał.

I z tą potęgą tajonego wnętrza
Jako tułacze przyszli pod Jericho —
Stoma wieżami ono się napiętrza,
Cielesnej siły zbudowane pychą,
A w swojem łonie kryje lud plugawy,
Lud z zwierzęcony, bez jutra, bez sławy.

Izrael widząc kraj polisty, śliczny,
Wyborny Liban, rozłog za rozłogiem,
Podniósł krzyk wielki, straszny, jehowiczny:
«Chwała naszemu Bogu, miecz nad wrogiem!»
Krzyk ten z głosami trąb zmieszany razem,
Uderzył w mury miasta jak żelazem.

Nie dotrzymały one temu ciosu,
Runęły baszty, rozwarły się bramy —
Izrael zdobył je potęgą głosu,
Z wzniesionym mieczem poszedł przez rozłamy,
I nie zostawił już nic w grodzie onym
Prócz krwi i węgli. — Biada zwyciężonym!

Dawne to dzieje! — w tem życiu jałowem
Dziś taka powieść na bajkę wyrasta —
Przecież ci ludzie, którzy jednem słowem
I budowali i burzyli miasta
Nie od aniołów taką władzę wzięli,
Nie! — tylko cierpieć i milczeć umieli.

XIII.

.POCZĄTEK SAMSONA.

Rzecz dramatyczna w jednym akcie.

24. Porodziła tedy syna i nazwała imię jego Samson. I urosło dziecię i błogosławił mu Pan.

Księgi Sędziów roz. XIII.

SCENA I.

Namiot pasterski — w głębi odsłonięty widok krajobrazu. Po bokach siedzą rzędem służebnice zajęte to skubaniem wełny, to szyciem — między niemi Lami. Na przodzie Salfonia przędzie. Przedwieczór.

SALFONIA.

Lami! pójdź bliżej — patrząc w twoje oczy
Przędza mej myśli w srebrną nić się stroi,
I z tobą szczęście w moje serce kroczy,
Bo mi się zdaje — że to córka stoi.
A nie mam dziecka, coby w każdej porze
Śmiało się ze mną lub cierpiało społem,
A kiedy tęskne nadejdzie wieczorze
Lało mi w duszę światłość jasnem czołem,
I zawsze mową pieszczoną i gładką
Jak złotą struną brząkałoby: Matko!

LAMI.

A syn twój, syn twój —?

SALFONIA.

O! syn co innego!
Jemu do życia namiot nie wystarczy,
Jemu za mało głosu matczynego,
Matczynych pieszczot i matczynej tarczy.
On nie potrafi śnić cichym pokojem,
On mąż, — stworzony do czynu, do znoju,
W życie jak w obóz broniony, przebojem
Pójdzie — zwycięży, albo legnie w boju.

LAMI.

To dziękuj matko! to dziękuj Jehowie,
Że ci dał syna, co w olbrzyma rośnie,
Że ci zostawił oczy w starej głowie,
Któremi witać możesz go radośnie.
Bo syn twój może w tej walce się wsławić
I wyjść z niej gwiazdą dla swego narodu,
A wtedy matko! będziesz błogosławić
Tęsknotom serca z błahego powodu;
On takiem szczęściem ciebie uposaży,
O jakiem żadna niewiasta nie marzy.

SALFONIA.

O! grzesznam wielce — szemrzę przeciw temu,
Co mi pochodnią jest na stare lata —
I gniewam dziecku, dziecku jedynemu,
Że wyżej leci, niż ma myśl ulata;
Chciałam na własne zachować uściski
Puhar pieniący tysiąców wesela,
I chciałam wtłoczyć pod domu strop niski
Głowę olbrzyma....

LAMI *(z mocą).*

Zbawcę Izraela!

SALFONIA *(zatrwożona).*

Co mówisz Lami?

LAMI.

Wiedz o tem Salfonio....

SALFONIA.

Zaczekaj chwilę — *(do służebnic)*
Wnet trzodę przygonią —
Rzućcie robotę a odbierzcie trzodę;
Lea i Michol pod Sarai bramę
Pójdą do źródła i przyniosą wodę —
Spieszcie się córki!

(służebnice odchodzą)

Ha! jesteśmy same —
Zbawca — i Samson? Lami! kto ci mówił?
Czy wiesz, że gdyby kto te słowa złowił
I włożył w czujne ucho Filistyna,
Jużbym żywego nie ujrzała syna.
Czy ty wiesz Lami, że przez lat czterdzieści,
Od kiedy naród przed Jehową zbłądził,
Nie było męża, coby wrogów sądził —
A oto nagle rozchodzą się wieści,
Że nowy sędzia śród ludu powstanie —
Oh, to strach wielki padł na Filistynów!
Jeźli którego zdybią z naszych synów
Różnym pozorem zdłużają spotkanie,
Witają, kuszą, a wzrok ich jastrzębi
Szpieguje ruchy, bada młode czoła
Czy na powierzchnię gniewu nie wywoła,

I co zobaczy w otwartej ócz głębi:
Zemstę tygrysa, czy spokój gołębi.
Dotąd mój Samson jasną miał źrenicę
Choć ją wróg badał chytrze i obleśnie —
A ty zkąd Lami znasz jej tajemnicę?
Kto ci ją mówił? powiedz....

LAMI.

Anioł we śnie!

(Po chwili, smutnie)

Salfonio, kiedy wglądam w twoją trwogę,
I w tę nieufność, co jest matek bronią,
Biedne me serce ściska się boleśnie —
O! bo ja matko, ciebie pojąć mogę:
Ja miałam matkę!
Słuchaj mnie Salfonio,
Ty wiesz kto jestem: zwykła służebnica!
Nic swego nie mam, nic na całym świecie —
Z jałmużny daje mi wodę krynica,
Przez litość tylko pachnie dla mnie kwiecie.
Bóg w swej mądrości wiedział co dać komu;
Innym z pogardą on pod stopę rzucił
Złoto i władzę i rozkosz bez sromu —
Ale też od nich oblicze odwrócił
I rzekł im: Idźcie — dla was dałem dosyć!
A mnie, co nie mam ni matki, ni domu,
Co nic nie mając, o nic nie śmiem prosić,
O! On mnie kazał aniołom piastować,
Rosą nakarmiać, na ich skrzydłach nosić,
By na widzenia duszę przygotować.
Toż nie raz senną gdy mnie noc otoczy
Anioł nademną zawiesza swe oczy,
Biały, jak lilja nad wodą chwiejąca,

On się przegląda w mej duszy przezroczu:
Usypiam — potem widzę czuwająca,
Jeszcze w mem łonie odblask jego oczu.
We dnie jam cicha, pokorna, cierpiąca —
Dzień każdy muszę zapracować łzami
Aby zapłatę w noc odebrać snami.
Wtedy się staję Pańską powiernicą!
Gdy rzucę myśli o moim narodzie,
To się zwiększają jak kręgi na wodzie.
A jego dzieje tak mi jasno świécą!
Co tylko styczność ma mieć z moim ludem
Na me zaklęcie odsłania się cudem;
Tajne wyrocznie zdejmują zasłonę
I stają nagle widne, niestrzeżone;
I jakie losy dłoń Jehowy waży
Dla tego ludu co zastyga w trumnie,
Wszystko mi znane, — i wszystko to u mnie
Wnet się odbija w sercu i na twarzy.
O! to wiesz teraz zkąd, jak zapewniona
Zbawcą narodu nazwałam Samsona,
Jak tajemnicę, której nikt nie wiedział
Prócz Boga w górze, — anioł mi powiedział!

SALFONIA.

Prócz Boga w górze i prócz mnie, o Lami!
I ze mną anioł rozmawiał — nie snami,
Ale w dzień biały, nim syn się narodził,
Dwakróć z tą wieścią z nieba do mnie schodził.

(Bebraim pokazuje się w głębi i niewidziany staje przy wchodzie.)

Ja i Manue wyszliśmy na pole
A w tem nas światłość niezmierna otoczy,
A w niej się tęczy mieniło półkole.
I gdyśmy trwożni otworzyli oczy,

On stał przed nami i rzekł: Takie słowa
Przez moje usta mówi wam Jehowa —
Słuchaj niewiasto! oto zrodzisz syna,
A syn twój będzie Nazarejczyk boży,
Strzeż, by nie dotknął sycery ni wina,
Strzeż, by na życiu nie miał cienia zmazy,
Bo mu się serce zmiękczy i zatrwoży
Gdy czas nadejdzie Izraela zbawić
I Filistynów wojować i dławić.
Milczcie do czasu!

BEBRAIM

(szydząc na stronie).

Jak spełnia rozkazy!

SALFONIA.

A my oboje na oblicze padli —
A gdyśmy potem Bogu w dziękczynieniu
Na stos płonący ofiarę pokładli:
Anioł uleciał w płomieniu!

O! jakże byłam mojem szczęściem dumna,
Gdy syn się zrodził, co pod mojem okiem
Rósł jak pod ręką rzeźbiarza kolumna;
O! jak po świecie, po niebie szerokiem,
Pragnęłam jego nadejście obwołać.
Nieraz, gdy widzę, jak zwalczone losem
Izraelitki z rozpuszczonym włosem
Siedzą przy drogach i płaczą żałośnie —
Zrywam się, aby w głos do nich zawołać:
Bądźcie cierpliwe! patrzcie, syn mój rośnie! —
Musiałam milczeć — i Ty milcz, na Boga!
Bo go zabiją!

BEBRAIM *(na stronie).*

Za późna przestroga!
Dziś się dowiedzą....

SALFONIA.

Co ci jest? — mów Lami,
Tyś drżąca....

LAMI.

Szczęście dla nieszczęśliwego
Może być chyba poprzednikiem gromu.
(Rzuca się na szyję Salfonii.)
O matko, gdyby można mówić łzami!...

SALFONIA.

O córko moja!

SCENA II.

BEBRAIM *(zbliża się).*

Żono Manuego....

LAMI.

(rzuciła się — patrzy chwilę w' oczy Bebraima — nagle krzyknąwszy ucieka w kąt i drżąc wyjąknęła:)

Bebraim!!

BEBRAIM.

Pana czy zastałem w domu?

SALFONIA.

Dotąd nie wrócił ze swojej winnicy.

BEBRAIM.

Mogę zaczekać.
(Na stronie, patrząc ukosem na Lami)
Więc nie omylono,
Lami jest tutaj — znalazłem ją przecie.

LAMI *(drżąc — cicho).*

Bebraim!

BEBRAIM.

Pozwól Manuego żono
Zaczerpać wody u twojej krynicy
Dla mych wielbłądów, — pod twoim namiotem
Niech przewiew wiatru kurz z moich szat zmiecie;
Jestem zmęczony trudami podróży —
Przez wasze puszcze biegłem strusia lotem
Do Manuego zdążając w potrzebie.

SALFONIA.

Mój gościu! głos twój niech za rozkaz służy —
Błogosławieństwo wchodzi z gościem w progi;
Świeżemi szaty chciej obleczeć siebie,
Ja sama z kurzu obmyję ci nogi.

BEBRAIM.

Dzięki wam, dzięki za gościnne chęci,
Lecz dalszą podróż mając na pamięci,
Chociaż niechętnie, wasz namiot opuszczę
I wasze serca otwarte porzucę,
I znów wielbłąda zepchnąwszy na puszczę
Wrócę do domu.... lecz nie sam powrócę.

LAMI *(cicho).*

O Boże!

SALFONIA.

Wyście zapewne zdaleka?

BEBRAIM.

Przed Gazą mieszkam, a tam Eskol rzeka
Winnice moje jak w objęciu trzyma,
I moje pola, co nie mierzyć okiem,

Długo odbija zwierciadłem szerokiem —
A z pokolenia jestem Neftalima;
Chcąc przyjść z pomocą ubogiemu bratu
Byłem u niego i jadę z Tamnatu.

SALFONIA.

Gościu, mój gościu! byliście w Tamnacie?

BEBRAIM.

Czy może kogo tam z pokrewnych macie?

SALFONIA.

O! i najbliższy — bo tam syn mój młody
Przy dźwięku cytry odprawia swe gody,
Gody weselne; tydzień minął wczora
Gdy odszedł z domu — a Manue w gniewie
Nic nie chce wiedzieć i nic o nim nie wie.
Syn na weselu — a mnie płakać pora!

BEBRAIM.

Czy syn wziął żonę nie po waszej woli?

SALFONIA.

Gdybyż ukochał którą z naszych córek,
Co mu siostrami są w ciężkiej niewoli,
Co wybiegają na grobów pagórek
Aby go ubrać kwiatami jasnemi,
Aby usłyszyć głos ojców zpod ziemi —!
Choć one wkrótce powiędną żałobne
Jako ich kwiaty sadzone nagrobne,
Chociaż z ich oczu za często łza cicha
Spływa jak piołun do uciech kielicha,
Choć one stoją jak widma boleści
Nawet przy stopniach małżeńskiego łoża:
Zato ich łono jako arka boża

W świętym i czystym przybytku swym mieści
Wszystkie pamiątki narodowej cześci;
Zato z ich piersi syn z mlekiem wysysa
Miłość dla kraju, nienawiść dla wroga;
Ręka, co do snu niemowlę kołysa
Wskaże mu drogę wiodącą do Boga.

LAMI *(wyciągając ręce).*

Matko!

SALFONIA.

A syn mój upodobał sobie
Rozkoszną córkę wroga Filistyna —
Ta pewnie kwiatów nie sadzi na grobie
Ale je w czarne warkocze upina,
Codzień godową szatą się osłania,
A w nocy bogom fałszywym się kłania —
Jakichże ona może zrodzić synów?

BEBRAIM.

To nielubicie naszych Filistynów?

SALFONIA *(surowo).*

Izraelito! Ty mnie pytasz o to?

BEBRAIM.

Niech wam to siostro, nie będzie dziwotą —
Właśnie myślałem, że jednemu z braci,
Który w tej chwili może gardło traci,
Lub na żelazie smaży się czerwonem,
Lepiejby było dla zmniejszenia kaźni
Z Filistynami być trochę w przyjaźni.
Ten nieszczęśliwy zowie się Samsonem.

(Lami drgnęła, podała się — lecz głos jej zamarł.)

SALFONIA.

To syn mój!

BEBRAIM.

Niewiem, — z pokolenia Danu —

SALFONIA.

To syn mój!

BEBRAIM.

Niewiem, — poświęcony Panu —

SALFONIA.

To syn mój, syn mój!!

BEBRAIM.

Niewiasto! ja niewiem —

SALFONIA.

Lecz ty po sercu chodzisz mi zarzewiem —
Powiedz! czyś ty się sprzedał Filistynom?

BEBRAIM.

Izraelitko! ty mnie pytasz o to?

SALFONIA.

Ale ja matka! ja matka! — miej litość,
Powiedz jak było — jakim popadł winom —
Czy żyje jeszcze?!

BEBRAIM.

Z największą ochotą;
Powieść ta mieści pewną rozmaitość,
Którą ja lubię. — W Tamnat na weselu,
Gdzie się zebrało Filistynów wielu,
Niejaki Samson z pokolenia Danu
Wymyślał gadkę — pewnie po pijanu —
I poszedł w zakład, że kto ją rozwiąże,

Trzydzieści sukien mieć będzie — jak książe!
Z całego miasta mędrcy się gromadzą
Po nocach nie śpią a nad gadką radzą —
Czas oznaczony uchodzi i mija,
A z długich obrad, z głośnego hałasu
Żadna myśl jasna im się nie wywija;
Tymczasem Samson przy swej młodej żonie
Szalał od śmiechu i używał wczasu.
Widząc Filistyn, że sam w bredniach tonie
Głębiej a głębiej — padł na wybieg nowy —
Skrycie do żony poszedł Samsonowej
I wymógł na niej, że podchlebstwem węża
Znaczenie gadki wymodli u męża.
I tak się stało — przy miłośnym trunku
Samson wymówił słowo w pocałunku;
I wnet Filistyn pochwycił to słowo,
I rano gadki znaczenie ogłosił,
I o trzydzieści szat wygranych prosił.
Samson ich nie miał — lecz nadrobił głową,
Może się tajnie naradził z Jehową,
Wybiegł za miasto, a przy Askalonie
Trzydziestu mężów zdybał na zagonie.

SALFONIA.

Mów prędzej, prędzej —

BEBRAIM.

Wkrótce Samson wrócił
I szat trzydzieści Filistynom rzucił.
Dług był spłacony! — ale na nieszczęście,
Na szatach danych przez waszego syna
Były czerwone plamy — a nie z wina!
I takie znaki, jakie wściekłe pięście

Zostawić mogą w rozpaczliwej walce,
Lub ząb, co w bolu rękawy potarga,
Aby mógł ugryść odsłonione palce.
Z tych plam i znaków biła głośna skarga!

Czy dotąd jeszcze za Samsonem śledzą,
Czy już gdzie uległ zasłużonej karze,
A czułe wilki płaczą nad nim w jarze —
Niewiem; w Tamnacie o tem tylko wiedzą,
Że on trzydziestu Filistynów zabił,
Ciała dał krukom — a szaty zagrabił.

(po chwili)

Trzydziestu mężów zabił więc dla gadki —
Pewnie ten dowcip wyssał z mlekiem matki!

SALFONIA.

Synu mój, synu! tobie marnie ginąć
Z głupiej swawoli, z młodej krwi zapędu,
Tobie się z wielkiem przeznaczeniem minąć,
A paść na drogę szaleństwa i błędu —
O! gdyby można w łzach się rozpłynąć!
Synu mój, synu!

LAMI.

Matko, matko, stój!
Nie bluźń, nie sarkaj, Jehowy się bój!
Drogą przeznaczeń już poszedł twój syn,
Jego ramieniem włada boży gniew,
A namaszczeniem był pierwszy ten czyn —
Czas sądu nadszedł — niechaj płynie krew!

SALFONIA *(płacząc)*.

Synu mój, synu!

LAMI.

Matko! uśmierz ból!
Niechaj ten człowiek nie raduje się —
Na twoją ranę on dorzuca sól,
Patrz w uśmiech jego — matko! słuchaj mnie,
Wiesz, kto on jest?

(Bebraim przystąpił i popatrzył jej w oczy — Lami zakrywa twarz i cicho wymawia:)

Bebraim!!

SCENA III.

MANUE.

(wchodzi głównem wejściem, na progu obrócił się i woła do głębi)

Jezaja!
Eljab gdy z Judą muły ponapaja
To w błoń je puścić samopas, ku łozom,
Sami stróżujcie winogradu wozom.
A! a! ogniami obłożyć pastwisko —
Gdzie zdobycz łatwa, szakal zawsze blisko.

BEBRAIM *(do wchodzącego).*

Z Gazy przybyłem Manue do ciebie,
Przybyłem pilno, bo w pilnej potrzebie;
W namiot przyjęła mnie twoja niewiasta.
Jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie,
Jak liść na cedrze niech ród twój porasta.

MANUE.

Witaj mi gościu! błogosławię chęci,
Która cię chyżo w mój namiot zawiodła;
Gość dla mnie szczęściem — toż z mojego progu
Nocleżny pielgrzym gdy odjeżdża w Bogu
Błogosławieństwo rzuca na mnie z siodła;
Prawa przychodnia niech Izrael święci,
Bo sam przychodniem był w egipskiej ziemi.

SALFONIA.

Panie! posłuchaj....

MANUE.

Tyś tutaj w tej porze?
Czas, byś uczciła śpiewy wieczornemi
Jehowę — słońce za góry ucieka.

SALFONIA.

Panie! nasz Samson — błagam cię w pokorze —
Słońce zaczeka....

MANUE.

Ale Bóg nie czeka!
Idź!

(Salfonia skłania się i odchodzi wraz z Lami przez boczną zasłonę. Manue do siebie, dumając.)

Matki! matki! ciągle się kłopocą
Nad dziećmi swemi — i co długą nocą
Sen o nich baje, o tem we dnie marzą —
Według snu tego cieszą się lub skarżą.

(Do Bebraima).

Daruj mój gościu, że cię tak zostawiam,
A sam się memi myślami zabawiam,
Usiądźże, proszę, — musisz być strudzony.

(Siadają).

Z Gazy przybywasz — to kraj oddalony;
Puszczą trza jechać i oddychać pyłem;
Gdy byłem młodszym, nieraz tam jeździłem.

BEBRAIM.

Puszczą trza jechać, lecz gdy Eskol zbrodzisz
Pod inne niebo, w inną ziemię wchodzisz:
Zapach winnicy w koło cię obleci,
Palma osłoni i granat zaświeci,

A w środku Gaza jak baczna niewiasta
Białemi mury od ziemi wyrasta, .
I na pasterskie pogląda namioty,
Co się po łące rozbiegły jak dzieci.

MANUE.

Znałem ja Gazę, znałem kraj jej złoty,
I nieraz o niej marzę gdy zadrzymię.

BEBRAIM.

Dziś kto zna Gazę — pozna jedno imię;
Gaza ma wielki głos o Bebraimie,
Który gdy w paszę puści owiec trzody,
To się bieleją jako morza wody;
A kiedy w miasto chce wjechać wspaniale
Na sto rumakach stu służebnych sadza;
W mieście ma domy, w nich przepyszne sale,
A świeżą mirrą codzień je okadza.
Jam jest Bebraim!

MANUE.

A jam jest Manue —
Nie mam trzód wielkich, ni sal mirrą wonnych,
Ni stu służebnych, ni zamków obronnych,
Ale mam syna, co jako Jozue
Mógłby zawalić nie jedno Jericho;
Ale mam żonę pobożną i cichą;
Ale z jednego zemną wyszedł rodu
Jefte,on straszny miłośnik narodu,
Co własne dziecko oderwał od siebie
I pod miecz rzucił na ofiarowanie;
Ten miecz Jeftego ma u mnie schowanie —
Przyznaj, że jestem bogatszy od ciebie.

BEBRAIM.

Jeszcześ nie wszystkie wymienił bogactwa —
Masz niewolnicę — a wcale nieszpetną,
Przytem masz duszę prawą i szlachetną,
Którą występku nie gryzą robactwa.

MANUE.

Jak to rozumiesz?

BEBRAIM.

Gdyby ci powinność
Kazała oddać to co nie jest twojem,
Na przykład: Lami, tę młodą niewinność —
Walczyłbyś może z sobą długim bojem,
Ale poszedłbyś za Jeftą, twym przodkiem,
Drogą poświęceń — by nie być wyrodkiem.

MANUE.

Widziałeś kiedy pączek aloesu?
Długo się zwija nim kwiatem wystrzeli,
I mowa twoja tak pełna okresu
Że się plątając na sto listków dzieli —
Ale różnica jasna leży na tem,
Że chcesz piorunem wystrzelić — nie kwiatem!

BEBRAIM *(wstaje)*.

A więc z słów moich zrobię błyskawicę!
Słuchaj Manue, ty masz niewolnicę,
A zwie się Lami, — przed kilkoma laty
Zbiegła odemnie i poszła za światy;
Tu ją znalazłem, — za moją własnością
Przybyłem zbrojny praw świętych godnością.
Czy mi ją oddasz potomku Jeftego?

MANUE.

Manue dzierzyć nic nie chce cudzego!
Choćby to cudze wrosło mu do serca,
Serce rozkrwawi, odda co nie swoje —
Bo nikt na niego nie rzekł: przeniewierca!
(podniósł boczną zasłonę namiotu i woła:)
Lami!

BEBRAIM *(do siebie)*

Wygrałem!

MANUE.
(do siebie, zadumany)
Biédne dziécia moje....

SCENA IV.

(Wchodzi Lami śmiało i poważnie.)

MANUE.

Lami, czy znałaś, — znasz człowieka tego?

LAMI *(dobitnie).*

O! — znam —

MANUE.

Czy jesteś niewolnicą jego?

LAMI.

Byłam!

MANUE.

Czyś później od niego uciekła?

LAMI.

Uciekłam —

MANUE *(smutno).*

Toś Lami swój wyrok wyrzekła!

BEBRAIM.

Więc mi ją oddasz?

MANUE.

Słuchaj Bebraimie!
Wszystkie me trzody wraz z moim namiotem
Przedam za złoto, obrzucę cię złotem,
Tylko mi zostaw ją, i dobre imię.

BEBRAIM.

Biedny człowiecze! ubogim być musisz
Kiedy mnie złotem zawabiasz i kusisz —
Jabym pół mego życia dał z ochotą,
Gdybym mógł wiedzieć, gdzie rozrzucać złoto!

MANUE.

Zostaw ją! tobie ta ofiara łatwa —
Zachcesz i skiniesz, i dziewic tysiące
Rosą ci spadnie na piersi gorące;
A nam to życie bez niej się zagmatwa,
I przejdzie smutne, podobne do jazdy
Po błędnej puszczy — bez kwiatu, bez gwiazdy.
Zostaw ją, zostaw! — ona nam przyniosła,
Światło i piękność, ona jak słup wrosła
Do naszej strzechy — gdybyś ją odsunął,
Na nasze głowy ten namiotby runął.
Zostaw ją! ona jest nam harfą dźwięczną,
A my stroimy życie do jej dźwięku:
Jeźli ją chwycisz w obcą dłoń niezręczną,
Głosu nie wyda i pęknie ci w ręku.

BEBRAIM.

Ładne to słowa i pokora rzadka,
Wierz mi, za córką tak nie mówi matka,
Ale na próżno błagasz —

MANUE.

Ja nie błagam!
Ja ci do czynu dobrego pomagam!
Słowem jak ostrzem chcę się dobić serca,
Którego nie masz — któż ty? — tyś nie człowiek!

LAMI.

(z największą mocą).
To odszczepieniec! to wróg! to morderca!

BEBRAIM.

(przyskoczył, chwycił ją za rękę i dziko patrzy jej w oczy.)
Przeklęta!!

LAMI.

Patrzaj! — ja nie zmrużę powiek —
Choć ci ta żyła czarną krwią nabiegła,
Ja się nie strwożę — a wiesz zkąd ta siła?
Jam się modliła!
Jam twarzą w prochu tam na grobach legła:
Łąka się mgliła — słońce dogasało,
Spokojnem szczęściem brzmiała ziemia boża,
A mnie się serce po kawałku rwało,
Głos zaumierał, i martwa leżałam
Jako zwalony posąg u rozdroża.
Lecz później, kiedy z Bogiem rozmawiałam,
I ból i trwoga uciekły odemnie —
(Odtrącając Bebraima.)
Nie łam mi ręki — straszysz mnie daremnie!

BEBRAIM.

Ona szaleje!

MANUE.

Mów, odetchnij duszą.

LAMI.

Powiem — odetchnę.
Ojciec mój, ubogi
Kowacz żelaza, zabrany przez wrogi
Umarł w ich służbie klnąc im do ostatka.
W pobliżu Gazy chowała mnie matka.
Mówią, że kwitłam jako róża polna,
Niewiem, czy wonna — wiem, że byłam wolna!
Ten wąż, z opieką nad nami się krzątał,
We filistyński dług matkę zaplątał,
Aż w końcu obie, z słonecznego smugu,
Wziął na niewolę — jak dwa sprzęty w długu!
Potwór ten straszny, ze sercem hyenny,
Zapłonął ku mnie ogniami Gehenny —
Sąż na to słowa? znajdęż je w mem łonie? —
Nocą, gdy niebo błyskawicą płonie,
On sam jak piorun dyszący wpadł do mnie —
Zrywam się ze snu, wołam nieprzytomnie —
Przybiegła matka ku mojej obronie;
Była jak lwica, gdy skoczy z ukrycia,
Broniąca więcej niźli dziecka życia.
Parła go ku drzwiom, mnie słoniła ciałem —
W tem krzyk: Ja ginę! ty uciekaj w Bogu! —
Błysnęło — oczy zwróciłem na progu:
W jego ręku nóż! — On matkę mordował!
Matkę zamordował!!

(zakrywa twarz.)

BEBRAIM.

Dosyć!

LAMI.

Nie dosyć!
Schnijcie łzy moje — gdy mam zgrozę głosić!
On cudze bogi w domu swoim chował,

A Izraela plugawił świątynie;
On pełen zdrady, łupieztwa i brudu,
On Filistynom służy, katom ludu,
I ma swą rękę wszędzie gdzie łza płynie.
Czy ty mnie możesz w takie oddać ręce? —
Krwi mojej matki zdobione szkarłatem
Mająż mną jeszcze bawić się — jak kwiatem?!
Przebacz gorączy — ja mam serce w męce,
I jakąś dziką skarzę się rozpaczą —
Ale ty czujesz, że te słowa płaczą.

MANUE.

Człowieku sinych warg i bladych oczu,
Wyjdź z mego domu nim mój syn powróci;
Od swych przyjaciół jesteś na uboczu —
On się na ciebie jak młody lew rzuci.

LAMI

(z krzykiem pada do nóg Manuego.)

Tom ocalona, panie!?

BEBRAIM.

Więc jej nie dasz?

MANUE

(podnosi Lami i tuli ją w objęciu.)

Oto moja odpowiedź.

BEBRAIM.

Syn pod topór!
To w dym! Ty z żoną w niewolę na sprzedaż!

(wychodzi.)

SCENA V.

LAMI.

Panie!

MANUE *(do siebie).*

Co lepsze — ucieczka czy opór —?
Jedno i drugie trza mieć w pogotowiu.

LAMI.

Samson twój wróci — nie trwoż się daremnie.

MANUE.

Jest Bóg! kto z Bogiem, liczny na pustkowiu.
(idzie na próg i klaska w dłonie).

LAMI *(w zachwyceniu).*

Samson już wraca! zbliża się — tu — we mnie!
Idzie, idzie w potędze — lica ma promienne!
Wstaje jak słońce wielkie! nikną widma senne.
(Wchodzi Jezaja z lampą.)

MANUE.

Po wszystkich drogach postaw czujne straże,
Aby znak dały, gdy się co ukaże,
Pojucz wielbłądy i oślice skore,
Żywności nabierz — to uczyń najpierwej.

JEZAJA.

Wyrzekłeś: Stań się.

MANUE.

A potem bez przerwy
Do lasu pójdziesz — pamiętasz tę norę,
Gdzieśmy ukryli wojenne narzędzie,
Gdy je Filistyn zagrabiał —?

JEZAJA.

Grom na nich!

MANUE.

Są tam dwa drągi żelazne, nie tanich
Pięć mieczy — tu je przyniesiesz.

JEZAJA.

Tak będzie.

MANUE.

Zapal mi świecznik, daj księgę zakonu:
Modlitwa radzi.

(Czyni to Jezaja i wychodzi; Manue staje przed księgą i modli się.)

LAMI.

W borach Giebbetonu
Grzmi jego chód — po skałach lwy samotne płoszy;
Teraz — wbiegł na dolinę: ziemia drzy w rozkoszy,
Ścieli mu się pod nogi jak płaszcz — w cześć rzucony,
Dalsza, w pagórki skacze, by go widzić lepiej —
Kwiat wzdycha uśmiechnięty, las bije pokłony,
Góry chwalą! — a niebo tak nad nim się sklepi,
Jak Boga dłoń — ochronna i błogosławiąca!

MANUE *(czyta z księgi).*

«I mówił Pan: gdziem cię postawił trwaj trwaniem —
Warownią'm ci, gdy wierzysz w moją moc."

LAMI.

Biegnie — stanął — znów biegnie! bliżej, bliżej, bliżej!
Oczy rwą się naprzeciw — serce bije chyżej,
Wszystką swoją krew rzuca mi na twarz —
Ciepła i wonna fala o me plecy trąca:
To oddech jego!!

(Zwraca się nagle.)

SCENA VI.

(Wbiegają Salfonia i Samson trzymając się za ręce.)

SALFONIA.

Manue! Syn nasz!

SAMSON

(w lwiej skórze na barkach — szybki, rozbujały).

Rozdarłem lwa!!
Czy słyszysz ojcze? i ty słuchaj Lami —

Na wązkiej ścieżce, pomiędzy skałami,
Rozdarłem lwa!
Lew był potężny a głodem wychudły,
Ot, taką miał skórę!

(Zrzuca ją na ziemię.)

Zaszedł mi drogę — zwichrzył swoje kudły,
Przegiął się na tył, i podniósł się w górę!...
Jako lecące na siebie głaz z głazem
Tak my skoczyli — i padliśmy razem.
Byłem na wierzchu! kolanem go zgniotłem,
Wziąłem za szczęki — i paszczę rozmiotłem! —
Za ciasne przejście było dla nas obu,
Ha-ha! nie miałem innego sposobu:
Rozdarłem lwa!

Potem poszedłem do Tamnat, do miasta....
Szkoda mówić o tem —
Że filistyńska zdradziła niewiasta —?
Cóż potem!
Sto ich przybiegnie na moje skinienie —
Lecz teraz inne wrą we mnie płomienie,
Miłośnych szeptów nie znoszę szelestu —
Mnie trzeba bitew, krwi wiele i grzmotów!
Na wielkie dziwy jam gotów! —
Do Askalonu niech kto idzie bram,
Tam moje zobaczy zręby: —
Hej! Filistynów wyciąłem trzydziestu,
Trzydziestu mężów — jak dęby!
Trzydziestu mężów — ja, sam!

(Na niebie w kilku miejscach wybuchają łuny.)

A kiedym wrócił walką rozogniony
Do Tamnat, do mojej żony —
To ona wrota przedemną zaparła
Z innym odbywszy wesele....

Bogdajby łoże ścieliła w popiele!
Bogdajby w ogniu umarła!

Rozbiegły się me liszki z wesołą nowiną,
Aby uroczystości nowożeńcom przydać;
Wnet czerwone chorągwie po polach rozwiną....

(Spostrzega łuny.)

Widać już! widać! już widać!
Już się zaczęło
Samsona dzieło;
Palą się zboża, palą się winnice,
Kraj wroga płonie!
Karmią się blaskiem tym moje źrenice —
Ciesz się Samsonie!
Ciesz się Samsonie — ciesz się Izraelu!
Niech huczą trąby, niechaj dzwonią cytry!
Ja wezmę zemstę na nieprzyjacielu —
Zginie wróg chytry!!

(Po chwili — spokojniej i wolniej.)

Ha, jak mi lekko, zdrowo i swobodnie!
Jakby ostatni ciężar z mojej duszy spadł, —
Rad jestem życiu i tej duszy rad,
Rozpieram się w nich — wygodnie!
Rozpieram się szeroko — jak w niebie, szeroko!
Orła mam oko,
Gazelli słuch!
Chód mój, to lot —
Myśli, jak grzmot —
Piorunem, woli ruch!
W odpoczywaniu mękę mam i trud —
W spełnienie idzie każda moja chęć,
W spełnieniu — cud!

(Zamyśla się.)

Co to jest ojcze?

MANUE (*wznosząc ręce*).

Święć się chwilo, święć!
To boży duch!

SALFONIA.

To boży duch!

LAMI.

To boży duch!

(*Zasłona zwolna spada.*)

XIV.

JEREMIASZ.

27. Bo to mówi Pan: Spustoszona będzie wszystka ziemia, wszakże przecie dokończenia nie uczynię.

Proroctwo Jeremiasza. roz. IV.

Przyszedł Chaldejczyk jak tygrys krwi chciwy
I powlókł Judzki lud do Babilonu
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł dumając na gruzach Sionu
I jęknął czasem gdy go ból rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
«Ludu mój ludu! gdzieżeś ty się podział,
«Jakaż cię przepaść przedemną schowała?»
A nad nim orzeł libański zakrakał,
Co krwią ociekłem piórem się przeodział,
A w dzióbie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz: „Gdzie źródła Hesbonu,
«Wieczorna schadzka Izraela córek,
«Kędy pląsały one jak gazele?»

I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
„O, Panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
«Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?»
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz: «Gdzież są wojownicy,
«Gdzieżeś ty królu, gdzie twoje hetmany,
«Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?»
A w tem niedoperz z przełomu ciemnicy
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy!

A prorok twarzą upadłszy na ziemię
Ciałem złamany i duszą złamany
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swojem sercu uczuł straszne brzemię —
I zdało mu się, że wszystkie szatany
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: «Tyś ojcem Jehowo!
«A własne syny wytępiłeś z szczętem!»
I spojrzał w górę. Zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim węglanym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia ją nadzieją nową —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

XV.

SUPER FLUMINA BABYLONIS.

1. **Nad rzekami babylońskiej ziemi tameśmy siedzieli i płakali gdyśmy wspominali na Sion.**

Psalm CXXXVI.

Płyną rzeki Babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym —
Ziemio święta! matko nasza! kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi gdy wstanie poranu,
Piękniej złoci dach Sioński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych śród zielonych szarf
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń —
«Hej harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,

«Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli —»
Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Nam tułaczom już swych dłoni na harfy nie kłaść,
Gdyby struny jak pioruny mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeźli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem —
To mnie przeklnij i zapomnij matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela —
Jeźli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku niemowląt i żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy połysku łon,
Ty, coś wołał, by nam Sion spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu —

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięztw i chwał
Jak lew z cicha kiedy czycha, nasz Bóg będzie stał,
I coś zdziałał, toć z nadgrodą odda sądem bożem,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!

Chwila jeszcze! a już będziem błogosławić tym,
Co, nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym,
Z ramion matek wyrwą śpiące dziecięciątek głowy
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy!

XVI.

JAN CHRZCICIEL.

18. Wieleć i innych rzeczy napominając opowiadał ludowi.

Ewanielia ś. Łukasza roz. III.

Bethańska puszcza we mgłach ginie
A przed nią srebrny Jordan płynie,
I jako herold dobrych wieści
Szumi i gwarem trzcin szeleści,
I głośny hałas w kraju czyni.
Bowiem wstał prorok na pustyni,
Co niesie nowy mir narodom,
I ku Jordanu schodzi wodom,
I nim oznajmi słowa cudne
Wprzód wodą płucze ciała brudne,
Ażeby potem w czystem ciele
Mieszkał duch boży jak w kościele.
A ma on w uściech słów obfitość
Wielką, a większą w sercu litość;
Kocha co małe i ubogie,
Sam wiedzie życie twarde, srogie,
Aż wysechł kośćmi od pokuty.

Z wielbłąda szerści płaszcz osnuty,
I pas skórzany w koło biodra,
I w cieniu drzewa woda modra,
Licha szarańcza i miód leśny,
Tem płuży prorok — ptak niebiesny.

Oto pod palmą teraz stoi
A przy nim gęsty lud się roi,
Lud różnorodny: Tu poganin
Z Tyru, wdział szatę z cienkich tkanin,
Aby pokazać ludziom stepu
Próbkę towaru z swego sklepu.
Ówdzie piśmiennik na uboczu
Ukrył złośliwość błędnych oczu,
A dźwiga parę ksiąg pod pachą.
Tam rzymski żołnierz świeci blachą;
Postawa huczna, pełna brzęku,
Z tarczą u boku, z dzidą w ręku.
A wszyscy, których czcza ciekawość
Nad Jordan wiodła lub nieprawość,
Bogatszym strojem stoją widni.
Bo zresztą sami ludzie biédni,
W odartych szmatach, nadzy prawie,
Bliżej zasiedli na murawie
W dłonie ukrywszy smętne twarze.
To starce siwe, to harfiarze,
Pasterze z laską zamiast spisy,
Kobiety blade jak narcysy,
Którym za jedwab włos wystarczy,
Z dziećmi u piersi zamiast tarczy.

Stoi on prorok ogorzały
W oczach błyszczący słońcem chwały;
Wiatr mu odwiewa włos w nieładzie,

On na powietrze rękę kładzie
I wiatry cichną — słowo płynie:
«Czego wy przyszli na pustynie
Ludzie niewoli i niewiary?
Czy wy myśleli, że to stary
Eljasz powrócił na swym wozie,
I stanął cały w ogniu, w grozie?
Czy wy myśleli, żem syn boży,
Co wnet majestat swój rozłoży
I przyjdzie sądzić grzeszne,
A sprawiedliwym tak ucieszne
Przyniesie z nieba wiadomości,
Że im zamieni płacz w radości?
Równie ja z wami człowiek niski —
Wzdy przedpiorunne widzę błyski
Trochę na duchu podniesiony;
Wzdy jako obłok jam złocony
Słońcem, co idzie za mną w tropy;
I szybko kładę moje stopy,
Jak goniec co z nowiną biegnie
I ani spocznie, ani legnie,
Lecz gdzie tłum wpada, słowo krzyknie,
I nim go lud zapyta — zniknie!»

* *
*

«Czego ty stajesz mi przed oczy
Rodzie jaszczurczy, rodzie smoczy —
Pełen od ziemi czczych obłowin,
Jakich ty u mnie szukasz nowin?
Kiedy się tobie przejrzę z bliska,
To moje słowo grzmi i błyska,
I z wysokości mojej rostry
Spada na ciebie jak grot ostry.

Wszystko co ciała ciałom dają,
Ty już posiadłaś chciwa zgrajo,
Więc głową wodzisz po nad tłumem
Chełpiąc się władzą i rozumem —
Wszakże te wody, co się cedzą
Więcej od ciebie ważą, wiedzą,
Więcej u ducha łask wyproszą,
Bo więcej nieba w sobie noszą.»

«Ty, co żelazne nosisz sztaby,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty słaby.
Ty, co oblokłeś jedwab drogi,
Słuchaj! ja mówię. żeś ubogi.
Ty, jak pergamin mędrcze trupi,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty głupi.
Bo duch w zaklęctwie swem nie siedzi
Ani w korynckiej złotej miedzi,
Ani w purpurze, ani w księgach,
Ale on chwieje się na kręgach
Powietrznych, i tam tęskny czeka
Aż go przywoła pierś człowieka.
I trza do niego się podnosić,
Bo on się na dół nie da sprosić.
A do tej jazdy tylko zdolny
Ten, który lekki jest i wolny,
I już odrzucił te ciężarne
Ciału przytulne, a tak marne
Zarobki własne i posagi
A stanął świeży, jasny, nagi.
Bo na nic temu podróż taka,
Kto się ubóstwa wstydzi ptaka,
Kto nie wyrobi w sobie lotność
Przez smutek, skruchę i samotność.»

«Patrzcie na lud ten Panu wierny
Jaki on biedny i mizerny,
Jak on po skałach chodzi boso
A jako lilja żyje rosą.
A z jego nędzy któż wyczyta
Jaka mu szczytna przyszłość świta,
I jakie wyjdą z tego ludu
Hetmany Boga, męże cudu.
Zaprawdę gdy on się rozjęczy,
To was obejmie kręgiem tęczy,
To przez swą żałość i cierpienie
Wam nawet zjedna przebaczenie.
Gdzie jemu biegnąć, wam nie doleźć,
Wy znacie mądrość, on zna boleść —
Kto bez niej żyje śród mamideł
Staje się jako ptak bez skrzydeł.»

* *
*

«O wy maluczcy! o wy drobni!
I powołani i sposobni
Do tej ogromnej, wiecznej sprawy,
Która tu nie dla marnej sławy,
Lecz dla długości prawd łańcucha
Przez ducha dzieje się dla ducha —
Ja wiem, że wam na świecie twardo,
Że wam jałmużną lub pogardą
Płacą, a wstrętne te sesterce,
Gdy nikt nie bierze was za serce,
I sercem, co się w głos wyzwoli,
Nie pyta: Bracia! co was boli?
Źli, bo karmieni ludzką złością,
Chodzicie błędem i ciemnością,
Często wam ogień gasł niebieski;
Jesteście jako płaszcz króleski,

Co purpurowe barwy zetrze
W puszczy na słocie i na wietrze,
Lecz gdy promienie mgły rozpędzą
Gdzieniegdzie złotą świeci przędzą.»

«Czyńcie pokutę! bo już idzie,
I nie zostawi was w ohydzie,
Ten co był, (bo ja tylko jestem) —
On was ogniowym zmyje chrzestem
I nowe nada wam przymierze;
A kiedyś w połę was zabierze
Jak żniwiarz swe dojrzałe kłosy,
Do ojca pójdzie przez niebiosy,
Przed nim wysypie ze swej szaty
I was i narody i światy.» —

Zamilkł i czoło zamyślone
Posępnie zwrócił w słońca stronę;
Ono za kraniec ziemi spada
Czerwone, wielkie; gwiazd gromada
Jak złote pszczółki lecą za tem
Słońcem, jakby za pełnym kwiatem.
A gdy zapadło do połowy,
To było nakształt ściętej głowy;
Wtedy na żółtej chmurze lśni się
Jak krwawa głowa w złotej misie.
I patrzał długo człowiek święty,
Gorący w oczach i natchnięty,
Patrzał i głuche słowa szeptał,
A na Jordanie aż wydeptał
Do słońca sobie drogę jasną
Myślami, co z nim razem zgasną.

A z głębi puszczy, a z oddali,
Jak biały żagiel z mętnej fali,
Podobnie cicha, wiewna, biała,
Człowiecza postać wypływała,
Tak lekka, jakby ją anieli
Na srebrnopióre skrzydła wzięli,
I ziemią jeszcze niedotkniętą,
Znosili z niebios owiniętą
Blaskiem........

r. 1845 — 1850.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XLIII.

POEZJE

KORNELA UJEJSKIEGO.

NOWE WYDANIE Z WYBORU AUTORA.

TOM DRUGI.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1866.

CO MOGŁEM.

SPIS RZECZY.

TŁÓMACZENIA SZOPENA.

WIERSZE RÓŻNE.

Strona

Strona

TŁOMACZENIA SZOPENA.

TEJ,

KTÓRA POTĘGĄ SWEGO MUZYCZNEGO TALENTU,

POTĘŻNIEJSZEM SŁOWEM SIOSTRZANEGO WSPÓŁCZUCIA

KOIŁA I PODNOSIŁA MEGO DUCHA,

CHCĄC ZOSTAWIĆ ŚLAD MOJEJ NIEWYGASŁEJ WDZIĘCZNOŚCI,

TE TŁÓMACZENIA SKŁADAM.

Z SONATY.

(DZIEŁO 35.)

1.

MARSZ POGRZEBOWY.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny zciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie —
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe, ostre szpony —
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach a po twarzy coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa —
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóż ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej trumnie!

Za co Tyś mnie tak ukarał, Ty, co zwiesz się Bogiem!
Za có, zà co? — Och!
Samowładca nad słońcami, nad stworzeniem mnogiem,
Mnie zdeptałeś — Proch?!
Gdzie ten Bóg,
Co mnie zmógł?
Czy go jęki dzwonów głoszą i krakanie wron?
Niech pokaże się przedemną z ironji obliczem,
On straszny jak noc —
Bom ja większy w moim bólu, chociaż jestem niczem,
Niźli Jego moc!
Ha, zły On!
Ha, zły On!
I tem słowem dzwony biją....
Jezus, Maryjo!
Jakże mnie ten razi dzwon —
Ten dzwon! ten dzwon!

Na atłasie piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiécha —
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nieczujesz ty już woni
Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Niewiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na swiat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

*

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Genjuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu,
Po przebyciu prób?

W czarną otchłań szedłem w słońcu!
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja poczną tu!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą — ha, ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bolu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty grobarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

A zakop mnie a głęboko — tak mi źle na świecie!
Cięźej niźli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie....
Precz z kropidłem! i święconą wodą ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
kaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka —
knęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
zięli mnie i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

Ach! za kilka kropel szczęścia ludzie światu płacą
Całem morzem łez!
Głupi świecie, marny świecie — stworzonyś ty na co?
W czem twój byt i kres?
Jego ruch,
To mój duch!
Jam jak serce w nim bijące, on próżny jak dzwon!
Czym ja kogo prosił o to? kto tu bez mej woli
Nakazał mi przyjść?
Chociaż bytem mnie okuto — nie jestem w niewoli!
Ja mam władzę — wyjść!
Ha, zły On!
Ha, zły On!
I tem słowem dzwony biją....
Jezus, Maryjo!
Jakże mnie ten razi dzwon —
Ten dzwon! ten dzwon!

2.

FINALE.

Czarodziejki jasnowłose,
Ciemnowłose, czarnowłose,
Płyńcie do mnie, płyńcie!
Żem was chwytał w me ramiona,
Żem przytulał was do łona —
Zasłyńcie!

Serce moje krwawe, smętne,
Rozognione a niechętne,
Niech idzie na rosę!

Jasnowłose, czarnowłose!
Żeście spadły na mą ranę
I chłodziły serce krwawe,
Raz kochane, zapomniane —
Dam wam sławę!

Jam mistrz wielki i potęga,
Co w harmonję dusze sprzęga —
Wiecznym jest mój głos!
Jam jest twórca mocny, dzielny,
Kto mnie dotknie — nieśmiertelny!
Jak mój żywot, jak mój los!

Pokąd żyję — płonę, świécę,
Wszystkie kocham białolice,
Wszystkie kocham wraz;
Na splamione piersi wieszcze
Gdy natchnienia spadną deszcze —
Już nie mają skaz!

Ta, co dla mnie przeznaczona,
W zgniłem łożu śmierci żona —
O straszny Ty Boże!....
Rozkosznice,
Białolice
Niechaj duszę mą upoją —
Ta, co kocham, nie jest moją!
Moją być nie może!

Dziś, gdy kocham .... kłamię! kłamię!
Cudzołożne każde ramię
Jakby srebrny miecz,
Tak mnie rani, tak mnie boli,
Tak prowadzi do niewoli ....
Precz odemnie, precz!

Ta co duszę mą rozumie,
Odpowiedzieć mi nie umie,
W wiecznym leży śnie;
Te, co dla mnie miłość czują,
Choć kochają, nie pojmują —
Nikt nie kocha — mnie!

Jam płomienny, górny, lotny,
A samotny, tak samotny,
Chociaż ludzi rój
Depce progi mego domu —
O! nie powiem ja nikomu:
Jam twój! jam twój!

Ta, co kocha i co wierzy
W me cnoty i serce,
Ta bezwładna w ziemi leży,
A toczą ją żerce;
Ciężka ziemia ją przygniata —
Lekka dla robactwa!
A jam został pośród świata
Nito pieśń tułactwa!

Precz odemnie, precz odemnie!
Niech was piekieł skryją ciemnie
Jaskrawe wietrznice!
Na tę moją, na tę jedną!
Na tę senną, na tę biedną!
Patrzą me źrenice.

Moich natchnień tyś natchnienie,
Twego ducha jam odzienie,
Tyś słońce, jam promień!

W tobie żyję, w tobie cierpię,
Z ciebie śpiewam, z ciebie czerpię,
Jam dym, a tyś płomień!

Daj mi błyski, daj mi burze,
Niechaj w nich się choć wynurzę
Żalem i tęsknotą;
Niechaj pieśni z ciebie płyną,
Niech jak tęczą mnie obwiną
Natchnieniem i cnotą!

PRELUDYE.

(DZIEŁO 28.)

WNIEBOWZIĘCIE.

(Preludya 7.)

1.

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fijołkowej woni
Opływa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni
Lecę, płynę gdzieś ....

2.

Niewiem, gdzie, czem jestem —
Czym anioł na poły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz; — Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskrześ! ...

PO ŚMIERCI.

(Preludya 13.)

CHÓR W NIEBIE.

W sercu miał burzę,
Co niosła lilje i róże;
    W tej burzy sam jak liść.
    Gdzie tobie duchu iść?
Czy w ciche tęczy drzenie?
    Czy w rozszalały komety wir,
W mgły jego i płomienie?
    Czy przy harmonji lir
W rajskie śnienie?

GŁOS Z ZIEMI.

Aniołów, niebo rzuć
A do mnie biednej wróć,
    Jasny mój!
Chwilę jeszcze, chwilę przy mnie stój —
    Potem mnie weź
    I gdzie chcesz nieś!

CHÓR W NIEBIE.

O! jak on w tym głosie tonie!
Źrenice przymknął w pół,
Drzy i płonie.

GŁOS Z ZIEMI.

Wraca, wraca już: czuję woń!

CHÓR W NIEBIE.

Poleciał w dół!

OSTATNI BÓJ.

MODLITWA.

(Preludya 20.)

1.

CHÓR STARCÓW.

Przed nami stary wróg,
Nad nami Ojców Bóg,
Obronną wznosim pięść,
O Boże, Ty nam szczęść!

(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Najstarsi poszli wprzód,
W bój poszli stare lwy;
Nie w pierwszy to ich chód,
Prowadzą cały ród.
Na wzgórzach stoim my,
I patrzym; Ojcze nasz!
Och, dłużej nas nie karz,
Zwycięztwo ku nam skłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — skłoń...
KRZYK MĘŻÓW: Za broń!

2.

CHÓR MĘŻÓW.

Nam bronią ożóg 'z zgliszcz,
Pierś naga nie zna tarcz —
Ty wichrem przy nas świszcz!
Piorunem przy nas warcz!

(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Zlecieli pędem burz,
We wrogów wpadli tłum,
Za nimi został szum,
Gdzie oni — chrzęst i kurz.
Och straszne przyszło: Już!
O Boże, Ty nas słysz!
O Boże tęcz i cisz!
Do ócz nam przyłóż dłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — dłoń...
KRZYK PACHOLĄT: Za broń!

3.

CHÓR PACHOLĄT.

O Boże! namarszcz brew,
Stań z nami, zbaw nam kraj!
My młodzi damy krew,
Ty mocny siłę daj!

(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Te dzieci, co bez win
O! łaską swoją znacz!
Modlitwą nam jest — płacz,
Im — pierwszy męski czyn.

Tam ojciec, mąż i syn —
Ten droższy, ten i ten!
O Boże! skończ nasz sen,
Zwycięztwo ku nam skłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — skłoń...
KRZYK NA POLU BITWY: W pogoń!

MAZURKI.

TÉRKOTKA.

(Dzieło 30. Mazurek 2.)

Bieda-ż moja z tą ciotką!
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już pietnaście lat!

Taka plotka z poddasza
Kawalerów wystrasza,
A kawaler śliska rzecz,
Zaglądnie — i pójdzie precz!

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie, czy przy tym narowie
Prędko pójdę za mąż — tak, tak!

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za wiosen tyle wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać, trzeba ją wyszukać....
O Jezu najsłodszy! — jest ptak!

Gadajże mi — kuku!
Króciusieńko, — kuku!
Już mam dosyć — kuku!
Kukuleńko! — kuku!
To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci, — kuku!
Krzycz-że sobie — kuku!
Aż do śmierci! — kuku!

Otoż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzję wezmę wielką fuzję
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę
Na mojem weselu pójdzie w pierwszą parę —
Toż będę chichotać, toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

NA WIOSNĘ.

(Dzieło 33. Mazurek 3.)

Och wiosno! w ślicznym świecie,
Świeć ty dla mnie, długo świeć!
Skowronku! boży dzwonku,
Z mojem sercem w niebo leć!
Promienie, woń i kwiecie!
Ja w nich dźwięczę nito zdrój —
W pokorze ręce złożę:
Boże dobry! ... Mój Ty, mój!

Ja pieszczotka taka wiotka
Biegnę w słońcu przez wrzos —
Zgięci bolem i rozpaczą
Gdzieś po kątach ludzie płaczą!

We mgle rannej, lotny, szklanny,
Dzwoni szczęściem mój głos —
Po ciemnicach smutną nutę
Wybrzękują ręce skute!

Och wiosno! w ślicznym świecie,
Świeć ty wszystkim, jasno świeć!
Skowronku! boży dzwonku,
Z moją prośbą w niebo leć!
Wy nieba! czy wy wiecie,
Że tu krwawy ciecze znój?
Ach spieszaj i pocieszaj
Boże dobry! — Mój Ty, mój!

ZAKOCHANA.

(Dzieło 7. Mazurek 2.)

Jego dotąd niéma
  A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma
  Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencję
Dwa dni poszczę święcie —
  A nuż nie przyjedzie ...?
  Przyjedzie! przyjedzie!

Przyrzekał że w piątek,
  A dziś już sobota —
Zawód na początek?
  Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
  Pewnie nie przyjedzie ...
  Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
  Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
  Ach! srebrny, ach! złoty —

Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przedemną....
  Nuż bałamut skręci...?
  Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
  Podchlebiał matusi;
Ach! kocham, ach! wiecznie,
  Ach! moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
  A nuż panicz skrewi...?
  Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
  Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka! — przed herbatą
  Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
  W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
  No, to zresztą wyjdę już.
Ale za to będę nosić
  Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
  Niedam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
  Że szaleje, mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie —
  No, to zresztą różę dam.

Ale za to pod krosienkę
  Niezapomnę rączki schować —
I to srogo — a więc w rękę
  Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niéma,
  A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma
  Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
  Kasztanek na przedzie!...
  E! to proboszcz jedzie.

PANNA MŁODA.

(Dzieło 7. Mazurek 4.)

Całe niebo we mnie!
  A z ócz płynie łza —
Ach! błoższej odemnie
  Niéma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
  Serce — z tego mrą...
Ach! dobrze, że płaczę —
  Zbytek spłynie łzą.

A któż-to tam
  Puka do mych drzwi?
Niewolno wejść!
  Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
  Jam czekała tak;
No, widzisz go!
  Suknię biorę wspak.

Już ja jegom prawie,
  Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
  Czy to tylko sen!

Któż te słowa zważy:
  Jam jego — on, mój!...
Ach! jak mi do twarzy
  Leży ślubny strój!

A któż-to tam
  Puka do mych drzwi?
Niewolno wejść!
  Wieniec kładą mi.
Ach, jakiż on
  Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
  Srogi będzie mąż.

Łza za łzą mi cieknie,
  A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się nie pięknie
  W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego
  Do Maryi nóg —
Ach! wiem ze wszystkiego,
  Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
  Organ zaczął grać;
O duszeczko ma!
  Radź-że sobie, radź.
I kapela także
  Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
  Klęknę przed obrazem.

*

Marjo! Pani nieba!
Daj nam co potrzeba!
. . . .

*

Wróciłam z podróży
Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!
Nieznajomą drogą
Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok!

KTO LEPIEJ?

(Dzieło 7. Mazurek 5.)

Grają skrzypki, mruga dziewa,
Dwóch tańczy mazura;
Niechże każdy z nich zaśpiewa —
Czyja będzie góra?

PIERWSZY.

Tańczę od wieczora, tańczę od wieczora,
Darmo gwiazdy gasną, darmo kogut pieje,
Nie rychło mi kończyć gdy dziewucha skora;
Prawda Małgorzatko? — dziewczyna się śmieje.

DRUGI.

A ja tańczyć będę, a ja tańczyć będę,
Choć słoneczko zejdzie i minie południe;
Wieczorem na rosie gdy przy Miłej siędę,
Człek sobie wypocznie, chociaż nie wychłódnie.

PIERWSZY.

A ja jeszcze dłużej, a ja jeszcze dłużej,
Bo ja tańczyć będę do samej niedzieli;
U Boga i dziewcząt człek co chce wysłuży —
A grajki niech biorą wszystko — prócz pościeli.

DRUGI.

Ominę celebrę, ominę celebrę,
A tańczyć wciąż będę z fantazją zaciekłą,
A potem z Basieńką pójdziemy na żebrę,
A jeśli Bóg każe — to z nią pójdę w piekło!

PIERWSZY.

Ja mszy nie opuszczę, ja mszy nie opuszczę,
Lecz dokąd ze świata śmierć mnie nie wymiecie,
Dziewczyny serdecznej z mazura nie puszczę —
A nie kończ się rychło — hej świecie! mój świecie!

DRUGI.

Źle ze mną jak widzę, źle ze mną jak widzę,
Toż chyba mi przyjdzie tańczyć w czarnej smole;
Lecz powiem już wszystko, chociaż się zohydzę:
Niż śpiewać godzinki — ja mazura wolę!

PIERWSZY.

Oj bredzisz mój zuchu, oj bredzisz mój zuchu,
Ja łacniej mazura wyproszę dla siebie;
Ty tańczyć nie będziesz spięty na łańcuchu,
A ja pójdę w taniec po szerokiem niebie!

DRUGI.

Napędził mi strachu, napędził mi strachu,
Boć prawda że w piekle czarci w pęta kują;
Ale gdy ja krzyknę: Ej ratuj mnie Stachu!
To ty się pomodlisz — i wnet mi sfolgują.

PIERWSZY.

Toć trudno braterstwa, toć trudno braterstwa
Zapomnąć i w niebie — lecz głupstw już niegadaj!
Ja tańczyć tu będę — a ty za bluźnierstwa
Idź rankiem do księdza i tam się spowiadaj.

(Senza fine.)

NOC STRASZNA.

(Dzieło 6. Mazurek 2.)

Tam na dworze zawierucha,
w karczmie gra muzyka,
Ale jakaś dziwnie głucha,
do serca nie wnika.
Wiatr w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —
Smutno, smutno! — ten deszcz niby
ziemię łzami płucze.
A tu w karczmie chłopak żwawy
rej w mazurku wiedzie,
Nito hetman od buławy
puszy się na przedzie;
Każda z dziewcząt kocha prawie,
każda doń się śmieje,
Tylko jedna, tam na ławie,
chmurna — i łzy leje.

DZIEWCZYNA.

A jam jego tak kochała,
Jak już nikt na świecie!
A on jednak mnie porzucił —
Niech go Bóg przygniecie!

Choć sierota, długom była
   Niewinna jak jagnie —
A on teraz z inną tańczy!
   A on innej pragnie!

ŚPIEW W TAŃCU.

Chłopaczek ja rzeski,
   Podkówkami krzeszę,
Kaftan mam niebieski,
   Kogo chcę ucieszę.
Bądź-że mi jak siarka
   Dziewczyno kochana....
Ej żydzie! zła miarka!
   Oj dana, oj dana....

DZIEWCZYNA.

Przyśpiewuje, tańczy sobie,
   Ja siedzę i płaczę;
Ty mnie nie znasz! — co ja zrobię,
   Podumam — zobaczę!...

ŚPIEW W TAŃCU.

Co człek nie wyżebrze
   To pewnie wykusi;
Srebro leży w cebrze
   U mojej matusi.
Igraj, to doigrasz
   Dziewczyno kochana....
Ej skrzypku! źle mi grasz!
   Oj dana, oj dana....

DZIEWCZYNA.

Coraz bardziej serce pęka,
Snać już wola boża;
A po stole moja ręka
Sunie się — do noża!

Oj, patrzy stara matka na swego pieszczocha;
Ach, tylko jedna matka tak patrzy i kocha!
Ze łzami uśmiechnięta, jak w niebie szczęśliwa,
Synowi klaska w ręce, siwą głową kiwa.
A tam z ławki dziewczyna rusza się — znów siada,
I powstała! — i idzie — jak trup senna, blada —
I patrzy prosto w niego — tańczących wymija —
I przyszła — i krzyknęła — i w serce mu wbija
Długi nóż!

„Matko święta! O ratuj! Tyś ze mną jednaka!
O ratuj moje dziecko! mego jedynaka!"
I leci — i porwała go jak sokoł rączy,
I dłoń kładzie na serce, zkąd jej krew się sączy,
I upadła ze synem; ... rękami odpycha
Tych, co chylą się do niej — leży martwa, cicha;
On wyciągnął ramiona raz jeszcze — do łona
Przyciska biedną matkę .... uśmiecha się .... kona...
Skonał już!...

Poszła znowu jedna dusza
przed Boga, ze strachem;
A wiatr trzęsie i porusza
całym karczmy dachem,
I w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —

Straszno, straszno! — ten deszcz niby
ziemię ze krwi płucze.
Do kątów się powpychali
ludziska przelękli,
Tylko krewni żalem śmiali
nad trupem uklękli —

Próżno nad nim łzy wylewać!....
Obłąkana, dzika,
Tamta krzyczy: Będę śpiewać!
Hej! a gdzie muzyka?!

DZIEWCZYNA.

Niechże kat przychodzi zaraz,
Niech mi ręce wiąże,
Lecz niech dwie nie kocha na raz
Czy to chłop, czy książe!

Przeszedł-że mi żywot marny!
Krwawam gołębica!
Jemu łzy i grób cmętarny —
Dla mnie — szubienica!!

r. 1857 — 1860.

WIERSZE RÓŻNE.

— 1840 —

TYŚ DZIECKO!

Tyś dziecko! — tak szydzą i młodzi i starzy;
O mędrcy! co wieku szukacie na twarzy,
Spojrzyjcie w to oko, co żarem mi płonie,
W to serce, co młotem wybija w mem łonie,
I okiem chirurga zajrzyjcie do czaszki
Zkąd dawno uciekły dziecięce igraszki,
A gdzie już nie jedna myśl szczytna a smętna
Z łoskotem i blaskiem piorunu tam wpadła
I wichrząc wyryła niezatarte piętna —
Bo dziecku brew zwisła i twarz mu pobladła.

Gdy z braćmi starszemi chce biegnąć w zawody
I dzielić ukryte ich prace i trudy,
To oni wołają: Tyś dziecko! za młody!
Nikt złota nie zyska z niedojrzałej rudy.

O brzozy wysmukłe! nie gardźcie dąbczakiem,
Co ledwie gałązką podniósł się od ziemi,
W nim zaród potęgi rozpostarł się znakiem,
I on was przerośnie konary wielkiemi.

Śród burzy gdy sarkać będziecie na losy
Jak słabe niewiasty rozpuściwszy włosy,
On wtedy wytęży żelazne swe ramię,
Okuje się wolą i siłą jak zbroją,
Że burze mu w dzikiej walce nie dostoją,
A grom go nie schyli — chyba go połamie!

— 1841 —

MONOLOG.

(Ogród przypierający do zamku królewskiego. Noc.)

Ktoś śpiewał — czy się zdało? — jeszcze echo śpiewa;
Czy to może te stare, te stuletnie drzewa
Osłonione północy tajemniczą ciszą
Podają sobie wspólnie co od ludzi słyszą?
To, co nieraz przez zęby wyciśnie przechodzień,
I co z miasta nadpływa z nową siłą codzień:
Głos cichego przekleństwa a głośnej boleści —
W dzień drzewo podsłuchuje, w noc liściem szeleści?
Może! — bo któż znurtował przyrodzenia ciemnie!

O, jak głowa mi tętni, jak krew kipi we mnie!
Bal jeszcze trwa u króla! jeszcze zamek gore
Pochodniami, lampami... Ho! bal w samą porę!
Każ muzyce grać huczniej, otocz się trąbami,
Bo twe ofiary w głos ci krzyczą nad uszami,
I wzdrygniesz się wspomnieniem i dłoń ci tak zadrzy,
Że wina nie nalejesz do kolejnej czaszy,
Zgryzota jak gadzina wlezie do zanadrzy,
W dzień łechtać ciebie będzie, w noc z łóżka wystraszy,
Bo ona nie oblecze się w nizką pokorę
Przed twoim majestatem ... Ho! bal w samą porę!

Śpij ludu snem spokojnym! my za cię czuwamy,
My kapłani twej zemsty, my twoi wybrańce —
Patrz! — podziemie tam straszne, na stropie kagańce,
Dwa miecze skrzyżowane u wchodowej bramy;
Tam stół czarny pośrodku, otoczony w kole
Sprzysiężonemi — dziko patrzają i chmurnie —
Maskami skryli twarze — milczą — a na stole
Urna kirem przykryta — kule są w tej urnie!
Znak dano — i wnet sto rąk sięgnęło do urny,
Sto rąk jako sto dzióbów zgłodzonych po ziarna;
Sięgnąłem — odskoczyłem — blask uderzył górny,
Dłoń rozwarłem —: Jam wybran! Kula moja czarna!
Idźcie spać bracia moi! — już ja za was czuwam!

Wybiegłem jak szalony i do zamku gonię,
I z nożem za rękawem w tłum ludu się wsuwam;
Pyszny tu widok! zamek jako lampa płonie
A światło na tłum pada...

Lud strasznego czoła!
Gwarzy tylko i mruczy — biada, gdy zawoła!
I tyle dosłyszałem w tym tłumionym krzyku:
«Te lampy — one pełne są naszego szpiku,
A puhary, toczone są tam z naszych kości,
Tam za naszą niedolę kupione te jadła,
Któremi stół okryty króla jegomości,
Bo nam dzisiaj zabrano własności ostatek,
Naszym ustom ostatni kęs przemoc odkradła,
To nas dzisiaj ciekawość wypędziła z chatek,
Na co go zamieniono.»

Potem zębów zgrzyty
Słyszałem, i westchnienie — głęboko westchnęli;
A z zamku spłynął huczny głos trąby i żeli,

I wrzask stujęzyczny: zdrowie księcia faworyty!
Służalce wyszli z zamku i wpadli do tłumu
I rozpędzali kijmi....
W głowie morze szumu!
A w piersi czuję ogień i zamęt i trwogę —
Nie mogę ustać — oprę się o lipę;
Gdybym teraz tym nożem utorował drogę,
Aż do niego — i ucztę zamienił na stypę!
Darmo — dłoń za drżąca — ofiarę pominę,
Darmo — wzrok za łzawy — ofiarę prześlepię —
Zaczekam — ale pójdę!!

— 1843 —

PIEŚŃ O ZIARNIE.

Niebo tak gładkie — bez chmury, bez plamy,
Jak ty o ludu! gdy cię blask swobody
Jako zwierciadło weźmie w złote ramy;
Lecz gdy zagaśnie pochodnia przyrody,
A noc cię skryje żałoby całunem,
Natenczas gwiazdy twej wiary i cnoty,
Jak twego łona ukryte klejnoty,
W obłędzie świecą nam zbawiennem łunem.

I lżej nam jakoś — nie tak boli serce,
Wiedząc że płomień drzy w każdej iskierce;
Wiedząc że łącząc z sobą niebios końce
Wszystkieby gwiazdy w środek się zsypały,
W jednoby ciało swoje światła zlały
I stokroć większe utworzyły słońce.

Niebo tak gładkie — jutrzenka się płoni,
Całe powietrze jak skowronek dzwoni;
Wybiegnę w pole — świat taki swobodny,
I dusza moja jak w fali kwiat wodny
Z taką rozkoszą w niebie się przegląda,
Że w niem utonąć, rozpłynąć się żąda.

Bogdaj-to w siole, na własnym zagonie,
Ukochać lud nasz chęciami młodości,
Odkrywać perły skryte w jego łonie,
Z znoju mu ścierać podeptane skronie
A karmić ziarnem wiary i miłości!

Wczoraj na łanie kiedy zboże siałem,
Tę pieśń wieśniakom przy siejbie śpiewałem:

A razem, a z wiarą rzucajmy w głąb ziarno,
A ziarno gdy czyste to pójdzie nie marno,
Oj! pójdzie nie marno, choć silny wiatr wionie,
Nie na tym, to zejdzie na innym zagonie,
Choć trochę naddziobią go wrony a kruki,
Plon zbiorą choć nie my, to nasze prawnuki.

Śród siejby od gromu gdy siewacz upadnie,
Niech sławiąc śmierć swoją do trumny się kładnie;
«Do trumny się kładę, a ziarno nie zginie!»
O! miło tak dumać w przedśmiertnej godzinie.
A drugi na miejsce niech jego wystąpi,
Co także siać umie, a trudu nie skąpi.

Północno a mroźno jesienny wiatr wieje,
Lecz ziemia jak matka swe ziarno ogrzeje,
Oj! grzeje jak matka, w pieluchy otula,
A po niej niech wicher tumani i hula;
Pod piersią to ziarno wkorzeni się, wrośnie,
I trawką, murawką wystrzeli o wiośnie.

A trawka ta będzie pod liściem łopuchu
Żyć skryta a w swojskim wyrabiać się duchu,
Wyrabiać się w duchu — a pełzać przy ziemi,
Że burza gromami nie znajdzie jej swemi,

I gniewna gdy gradem żółć swoją wyrzuci,
To trawki nie dotknie a łopuch wywróci.

A trawka swobodna rozbuja się w kłosy,
Kłos słońcem pozłocą zbłagane niebiosy,
Zbłagane niebiosy zapomną o karze,
I przyjdą w świątecznych sukmanach żniwiarze,
I piersi wolnemi pieśń wielką zanucą
I z wozy pełnemi do zagród swych wrócą.

PODRÓŻ Z MEGO OKNA.

Północ — sen uciekł — otworzyłem okno;
Gwiazdy jak oczy kiedy we łzach mokną
Niepewnem drzą światłem, a księżyc ponury
Zaciemnił się, zmarszczył i złożył do chmury.

O, nocy spokojna! jam cię umiłował,
Tyś moją kochanką, moją powiernicą,
Dla ciebiem dnia troski w głębi serca chował,
I szedłem tu tobie z spragnioną źrenicą,
I byłem szczęśliwy, gdym się wyspowiadał,
Szczęśliwy — jak gdybym z zmarłem szczęściem gadał.

O, nocy spokojna! szkoda twojej krasy,
Twej woni i blasku i tajemnych śpiewów
Dla ludzi osnutych w łachmany, w atłasy,
Leżących snem twardym śród miejskich wyziewów;
A który z nich czuwa, to w trudzie lub w brudzie.
Héj myśli! leć chyżo — co robią ci ludzie?

Héj myśli! leć chyżo na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem, jak lecą snów duchy.

Naprzeciw — zczerniałe sklepienia kościoła,
Kościoła bez krzyża, bez wchodu, bez dzwonu;
Głos jakiś przeleciał, — to śpiewy zakonu —
Nie śpiew to! — to żołdak nocne hasło woła.
A wewnątrz, choć jakby po przejściu Tatarów
Pustkowie na miejscu ołtarzów zostało,
Nie jeden ofiarnik krew swoją i ciało
Poświęca na wykup swych braci od carów.

W przyległym klasztorze cela koło celi,
A w celach dzban mętów, spleśniały kęs chleba,
I wiązka zgnilizny natomiast pościeli —
U okien zasłona, co kradnie blask nieba.
Tam cisza i ciemnia; niekiedy dłoń skuta
Zabrzęknie, i oczy zabłysną do świécy
Podobne; po nocach tam słychać świst knuta —
Na Boga! któż oni? — jacy pokutnicy?
I jakiż to patron jak szatan nieczuły
Mógł zakon utworzyć tak ostrej reguły!

W podziemiu stół długi, dwóch siedzi za stołem,
Z tych jeden coś pisze a drugi coś pyta,
Przed niemi ktoś blady dumnem toczy czołem,
I milczy i zębem za język swój chwyta.
A potem bladego na odstęp prowadzą,
Dwaj czarni za stołem coś szepcą i radzą,
I wyrok wydali...

Héj myśli! leć, daléj na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem jak lecą snów duchy.

Godowa sala,
Taniec jak fala

Płynie, wiruje,
Toczy, kołuje;
Gwar i połyski,
Śmiech i uściski.
Dziewczęta z wieńcem
Pływają w parze,
Ognia rumieńcem
Błyszczą ich twarze,
A młódź z kielichem
Coś głosem cichym
Szepce do ucha
I okiem tonie
W fałdy sukienki;
Dziewczyna płonie,
Stoi i słucha,
I odpowiada,
Ściśnieniem ręki.

„Hej, szczęścia tyle
Na dnie kielicha!
Niech czarne chwile
Giną do licha!“
Muzyka głuszy
Wyrzuty duszy,
Jadem w nich pełza
Wino co kiełza
Dawne poloty
Wiary i cnoty.
I daléj, daléj,
W szumiącej fali
Płyną, wirują,
Toczą, kołują —
A jaka czczość w słowie,
To w duszy próżń taka!

Héj myśli! leć daléj na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem jak lecą snów duchy.

Na czarnej ścianie wilgotnego lochu
Wisi kaganiec śród pleśni i prochu,
A przy nim świécą małe oczy kocie,
Co jak ogniki kołują przy złocie.

Starzec to biały — nie widzi, nie czuje,
Jak ćma osklepił się workiem — rachuje!
Liczba mu w uściech i w sercu i w głowie,
Bóg, dusza, wieczność: jednostką liczebną —
Bo jemu złoto jest słońcem w połowie,
Dźwięk złota jemu melodją gędziebną.

I starca drugiego spostrzegam za murem,
Ten zwiesił brew siwą i okiem ponurem
Potacza po sobie, po nagich swych dzieciach,
Co jako szczenięta walają się w śmieciach,
I z głodu skowyczą...
A krew pędem rwistym
Nabiega mu w serce, — bo jedna mu ręka
Została by błagać to ludzi, to nieba,
A druga — gdzieś zgniła na polu ojczystém.
Wtem dziecko przypełzło mu do nóg i jęka:
«Ach, ojcze mój, ojcze! jam głodny! — och, chleba!!»
Od głosu takiego kamień i mur pęka.

A starzec w lochu nie widzi, nie czuje,
Jak ćma osklepił się workiem — rachuje!
A potem powstał, zadmuchnął kaganiec,
I szeptem zmówił pobożny różaniec,
I tak swobodnie jak majtek po burzach,
Usnął na złocie jak gdyby na różach.

O, nocy spokojna! jako w matki łono
W tobie nasze nadzieje, smutki nasze toną,
Ty zawsze tajemna, milcząca, łagodna,
Na świat ten poglądasz jako matka rodna,
I nieraz łza twoja do nas rosą leci,
Gdy patrzysz na bole lub zbrodnie swych dzieci!

— 1844 —

POD ZIEMIĘ!

Pod ziemię! pod ziemię! daleko od ludzi,
O, byle cichego gdzie schronu!
Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trudzi,
Jak pobrzęk grobnego podzwonu.

Próg domu nabiłbym ostremi kolcami,
I lwa bym umieścił przed progiem,
Bym raz już sam został z mojemi myślami,
Z mojemi myślami i z Bogiem.

By nikt mi gadkami codziennych wydarzeń
Nikt myślą zbrukaną, jałową,
Nie psował świecących obrazów mych marzeń,
Gdy dumam z schyloną w dłoń głową.

I chciałbym mieć grodziec z twardego granitu
By nie miał ni okien, ni wchodu;
Miast dachu, niech widzę sklepienia błękitu
I wierzchy drzew kwietnych ogrodu.

Powojem niech do mnie wspinają się róże,
 Orłowie po niebie niech lecą,
Niech czasem pioruny płomienią się w chmurze,
 W noc cichą niech gwiazdy mi świecą.

I byłbym szczęśliwy daleki od wrzasków
 Od śmiechów cynicznych motłochu,
Daleki od podłych zawiści niesnasków,
 Kto głębiéj zanurzył skroń w prochu.

I byłbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę,
 Odgrodźmy się morzem dalekiem —
Gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę,
 Że byłem zrodzony człowiekiem!

Nieznany gdy błądzę w waszym mrowim tłumie
 Nie wita mnie żaden duch bratni —
A mnie się wydaje w méj wzgardzie a dumie,
 Żem z bożych śpiewaków — ostatni.

Otoczcież mnie takim pokojem i ciszą,
 Bym słyszał jak duchy pokrewne
Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołyszą
 I w żale rozwodzą się śpiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń
 Mnie ciszy nie szukać daleko —
Pod ręką jest ziemia głęboka na sążeń
 I drewna kawałek na wieko!

O PÓŁNOCY.

Północna ciszo! ileż w tobie głosu
Kiedy cię biedne moje serce słucha —
Co zaumarłe pośród dnia chaosu,
Dopiero nocą w życie się rozrucha,
I wplata w swoją półsenną rozmowę
Nowe swe dzieje — boleści nie nowe.

Lub gdy mu troska dzisiejsza dokuczy,
Co się tak wbija jak pazur jastrzębi,
I nim się niemi pogardzać nauczy
Po kłębek wspomnień sięga do swéj głębi,
Roztacza taśmy niby ujaśnione,
Choć także bolem i łzami kupione.

Północna ciszo! roztocz skrzydła swoje
I weź mię na nie jak kwilące dziécię,
W sen mię skołysaj — bo marzyć się boję —
Boję się myślą wybiegać w to życie,
Co jeźli trafnie wywróża początek
Nic mieć nie będzie prócz łez i pamiątek.

MŁODOŚCI MOJA!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową,
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem narodu został ulubieńcem....
Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą,
Niechaj jak prorok przed bożym narodem
Z sztandarem wiary postępuję przodem....
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!
Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
Kiedy go otchnę silnym moim duchem.

Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem
 Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
 Z któréj się tyle łez i krwi wylało...
Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!
 Każda myśl moja niech się zazieleni
 W sercach mych braci, niech się tam rozpleni;
Co ma być białem, niech nie będzie czarnem.
Młodości moja, nie bądź mi snem marnym —
 Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
 By z niéj się późne żyć uczyły syny...
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

DO MOJEJ SIOSTRY KAROLINY W.

Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
Nie czeka cię orszak klaskaczy i sług,
Li śpiewak nieznany obsypie cię kwiatem
I piosnką pasterzy oznajmi przed światem.

Przed naszą swawolą odwrócił się Bóg;
Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
I pośród nas grzesznych stań czysta i dumna
Jak wieków minionych odkryta kolumna.

A ludzie przed tobą zmaleją jak pył,
I spojrzeć w twe oko nie będą mieć sił
I serca pokruszą i padną ci twarzą
I może choć we snach o cnocie zamarzą.

O! skromny mój kwiatku, nad połysk i dzień
Potulny przenosisz zacisze i cień,
Lecz gdy cię osłoni noc skrzydłem swem cichem,
Ku gwiazdom, ku niebu woniejesz kielichem.

O! gdybym mógł kiedy z podniebnych mych jazd
Przechować dla ciebie niebieskich siedm gwiazd —
Ich wieńcem ubrałbym skroń twoją tak białą,
Ich blaskiem, promieniem spowiłbym cię całą.

I sarka i pyszy się grzeszny już lud,
I gdyby Pan w gniewie chciał zniszczyć nasz ród,
Potopem żelazne chciał ugiąć nam karki —
Dla ciebie by jednej otworzył drzwi arki.

Od czoła twojego rozjaśnia się mrok,
Ja chory na duszy gdy spotkam twój wzrok,
Choć gorycz okrzywia mi serce i wargi,
To szepcę modlitwę miast klątwy i skargi.

Przed nami i dla nas odmiennych dwie dróg:
Twą ścieżkę do nieba wygładził ci Bóg,
Ty w kółku rodzinnem w zakątku, śród ciszy —
On jeden myśl twoją i duszę usłyszy;

A śpiewak dla ludu, szalony brat twój,
Popędzi po świecie na burze, na bój,
Poszarpią go żądze, pokrwawią go ciernie —
O siostro! w pacierzu wspominaj go wiernie.

Jeśli mnie, młodego, grób zimny i głaz
Oderwie od czynu, od pieśni, od was,
To może Pan sądu umieści mnie w niebie,
Bom ciebie czcił tutaj i siostrą miał ciebie.

LAZARA.

„Sułtanko moja! gwiazdo haremu!
Peri! podobna kwiatu złotemu,
Co w siódmym raju zakwita —
Jakażto chmura przeszła nad tobą,
Że blask ócz twoich zćmiła żałobą?
Korny niewolnik twój pyta.

Gniew twój bolesny jak gniew Alaha,
Jak sznur jedwabny z rąk Padiszaha
Gdy niemy Tatar przyniesie;
I dusza moja pod twoim gniewem,
Jak za Samumu struna powiewem
Rozstraja, zsycha i rwie się.

Dźwięk twego głosu: śpiew Izrafila,
Twój uśmiech welum raju odchyla,
Twe serce okryte lodem;
Będęż z ust twoich i z twego czoła
Jak z Trebizondy ogrodu pszczoła
Truciznę wysysać z miodem?

Nie jeden okręt w pięknéj Basorze,
Dla ciebie fale błękitne porze
Szukając pereł u brzegów;
Bogatem futrem zgięte wielbłądy
Gdzieś przebiegają dla ciebie lądy,
I białe puszcze ze śniegów.

Dla ciebie wszystkie szale w bazarze;
Dla ciebie greckich wysep korsarze
Rabują Franków towary;
Z pieczar indyjskich olbrzymie słonie
Niosą klejnoty, by ciemne skronie
Oświécić mojéj Lazary.

Dla ciebie stroją słupy z porfiru
Kobierce Jezdu i Kaszemiru
Jak wnętrze świątyni Kaaby;
Dla ciebie płacą haracz z kadzideł,
Ten potępiony lud bez wędzideł —
Syny Eblisa: Araby.

Dla ciebie biją srebrne fontanny
Chłodem i wonią; twéj łaźni wanny
Kute z greckiego marmuru,
Bielsze są nawet niźli twe ciało,
I jako po niem krążą nieśmiało
Przejrzyste żyłki lazuru.

O zważ Sułtanko! gdy Klefty żoną
W burzliwych nocach nogą skrwawioną
Po górach za nim biegałaś —
To on dla ciebie niemiał ni domu,
Nic, prócz swéj strzelby! z nim pośród łomu
Na ostrym kamieniu spałaś.

I ciebie piękną i ciebie młodą
Twój Klefta karmił chlebem i wodą,
   Grubą tkaniną osłaniał;
Jak antilopa skacząc przez skały
Z tobą i z nożem w ręku — zuchwały!
   Zbrojne me Spahi rozganiał.

To też mnie srogo męczyła trwoga,
Zanim nadeszła ta chwila błoga,
   Kiedy przy blasku kagańców,
Głowę psa tego ujrzałem w worze —
A ciebie Peri! wiódł na me łoże
   Wódz moich czarnych rzezańców.

Lazaro! teraz sypiasz na puchu,
Oddech twéj piersi w lekkim podmuchu
   Kołysze fręzlą kotary;
Czegoż tak smutna siedzisz od ranka?
Czyli przechodnia jaka cyganka
   Rzuciła na ciebie czary?

Przebóg! krwią twoja splamiona warga,
Gniewna twa ręka na szmaty targa
   Srebrnego zawoju końce;
Jakaż chęć twoją zapełnia duszę?
Powiedz! a ziemię, niebo poruszę,
   Nowe zapalę ci słońce!

O powiedz! jakie są twe życzenia,
Choćby to dziecka były zachcenia,
   Ja je wypełnię od razu;
Oto niewolnik klęka przed tobą,
Miej litość nad nim, miej ją nad sobą,
   Wyrzeknij słowo rozkazu."

«Omarze!» — branka przerwała grecka —
«Myśl moja nie jest zachceniem dziecka»
I wzniosła oczy płonące,
I lwicą była z tém okiem w blasku —
«Baszo! twój kindżał chcę mieć z Damasku —
Na nim twe serce drgające!»

DAMOKLES.

Nad Syrakuzą, miastem żałoby,
Tyran okrutny, sęp krwawodzioby,
   Potężnem berłem panował.
Pod swoje stopy słał ludzkie czaszki,
I niewolników pruł dla igraszki,
   A przy ich jęku — ucztował.

Nieznając miasta ni obyczajów,
Do Syrakuzy z dalekich krajów
   Damokles mędrzec przybywa;
I ledwie wysiadł z okrętu łodzi,
Tuż mu niewolnik drogę zachodzi,
   Do zamku króla go wzywa.

Poszedł; — przy wielkich schodów podnóżu
Pielgrzymie suknie otrzepał z kurzu
   I wstąpił w zamku przysionki;
Każdy przysionek sługami pełny,
Każdego szatę z tyryjskiéj wełny
   Bramują złote koronki.

I przez komnaty przechodził mnogie,
Na ścianach lśniły kamienie drogie
   Ujęte w sztuczne oprawki;
A kiedy oczy wzniósł ku powale,
Zadrżał z podziwu — miast niej, zuchwale
   Wisiały szklanne sadzawki!

W sali tronowej siedział dumny,
Około tronu białe kolumny
   Aż w niebo parły swe głowy;
Damokles patrząc na te przepychy
Ukląkł olśniony, — do syna pychy
   Takiemi przemówił słowy:

»Potężny królu! bogów kochanku!
Twe czoło ciągle w bezwiędłym wianku
   Godowe ozdabia kwiecie;
Budzisz się, żeby usnąć w rozkoszy,
A myśl o jutrze snu ci nie płoszy —
   Tyś najszczęśliwszy na świecie!

Na tobie panie! potwór zawiści
Zamysłu swego nigdy nie ziści,
   Bo ty wytępiasz go w jądrze.«
Tu urwał mędrzec, co żył nie błądząc,
Damokles mędrzec — lecz z tych słów sądząc
   Nie bardzo przemówił mądrze.

Tyran się zaśmiał i odrzekł na to:
»Niechże cię moją obloką szatą,
   Na moje złożą posłanie,
Co tylko każdy zmysł twój zapragnie,
Niech do twéj woli zaraz się nagnie,
   A z jutrem zmienisz swe zdanie.«

Wszechwładną ręką król na tłum skinął,
I wnet się z tłumu rój sług wywinął,
   Ci mędrca do łaźni wiodą;
A nim go futer okryli błamem,
Wprzód go natarli wonnym balsamem,
   Różanną oblali wodą.

A gdy omrokiem ćmiło wieczorze,
Damokles zaległ królewskie łoże,
   Oparty na złotogłowiu;
A przed nim stały z owocem czary,
Z Falerny winem złote puhary,
   W girlandy kwietnem okowiu.

A szereg krytych gwiazd w alabastrach
Przed nim się migał w tęczowych astrach,
   Kadzidła wiały z trójnogów,
Dwanaście cudnych dziewic czekało,
By spowić białem ramieniem ciało —
   Damokles drwił z wszystkich bogów.

Wtem gdy znienacka z puchów zatopu
Szczęśliwy mędrzec w górę, do stropu
   Wzrok rozmarzony podnosi —
W gardle mu zmarło przestrachu słowo:
Nad jego łożem, nad jego głową
   Miecz duży wisiał na włosi!

Zerwał się z łoża — a drząc o życie
Tak szeptał z zamku uchodząc skrycie:
   »Bezpieczniej owca zalękła
Może usypiać w wilków gromadzie,
Bezpieczniej noga stąpa po gadzie,
   Niźli...«
               Ach, struna mi pękła!

GĘŚL JEREMIASZA.

1.

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depcę cię i łamię,
Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę;
Po Jeremiasza gęśl wyciągam ramię!
Do wtóru bratnich jęków ją ostrunię,
Dzikim rozstrojem każdą pieśń zpiołunię.

Bo chcę wyśpiewać i ten ból matczyny,
Gdy wróg jej dziécię rzuci do płomienia;
I cichą rozpacz ojca, gdy mu syny
Wloką, by przybić na krzyż poświęcenia —
Bo chcę wyśpiewać wściekły szamot męża,
Kiedy przykuty widzi błysk oręża.

Zapieram siebie! wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie — jak zesłannik boski.
Cały mój naród jest dla mnie rodziną!
Łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię,
Cierpiąc ból jego chcę śpiewać. Ach cierpię!

Gęśl w słabej ręce dzierzę po praojcu —
Chociaż mą duszę jego duch okola,
Trwogą się chwieję — i w moim ogrojcu
Wołam: Niech Ojcze! spełni się Twa wola,
I jeźli wypić mam kielich goryczy,
Niech mnie umacnia Twój anioł strażniczy;

I niechże taką zbroją mnie okuje,
Od którój każda chęć ziemiańska pryśnie.
O! bo ja słaby — nieraz potrzebuję
Przyjaźnej piersi, co mi skroń przyciśnie,
Ciszy dla serca, snu dla moich powiek —
Daj mi zapomnąć — żem człowiek!

2.

Czuję się mocnym — już duch wstąpił we mnie,
Krwawe obrazy cisną się natłokiem,
Tak jasno widzę! — i przyszłości ciemnie
Jak błyskawicą rozświetlam mem okiem.
Dźwięk dzikich tonów już mnie nie przestrasza —
Witaj mi gęśli! — gęśli Jeremiasza.

I siadam smutny na zwalonym głazie,
Przedemną miasto smutku się rozściela;
Jestem jak jedna palma na oazie
Bez towarzysza, i bez przyjaciela —
Miałem ich wiele! — wróg ich wymordował,
A resztę żywych pod ziemię pochował.

I nieraz w nocnej ciszy o Jehowa!
Kiedy mną rzuci pokora i skrucha,
I aż na ziemię padnie moja głowa —

Słyszę podziemny, głuchy ciąg łańcucha,
Słyszę daleki jakiś łomot młota:
To moi bracia żłobią miny złota!

W ciągłych męczarniach moje oko wodzę
Od wód Bałtyku do Czarnego morza.
Panie! ja widzę, jak matce niebodze
Wróg małe dzieci wydziera z pod noża,
Potem je rzuca o krawędzie lodu,
Żeby wytępić szczep mego narodu.

I widzę w puszczach związany w szeregu
Lud biczowany i głodem i mrozem —
Giną bez wieści! — i tylko po śniegu
Iście ich znaczy krew starta powrozem;
Panie! czyż krew ta wylana pod biczem
Na naszej szali pokuty jest niczem?

Panie! my grzeszni, o grzeszni my bardzo!
Klątwa nam ciąży, — bo są między nami,
Co pocałunkiem tyrana nie gardzą,
Co się bratniemi napawają łzami,
I żeby upstrzyć się plugawą gwiazdą,
Podli! — kalają własne swoje gniazdo.

Klątwa nam ciąży! o, bo są i tacy,
Co się z wrogami podzielają łupem,
Co ostrą szponą jak krwiożerczy ptacy
Nieraz się pastwią nad matczynym trupem,
A między bracią pełzają szakalem —
O płacz, płacz Polsko! siostro Jeruzalem!

3.

Niezmierna żałość gniecie moją duszę,
Omdlała ręka już struną nie włada,
Wiatr mną kołysze, na proch się rozkruszę —
Proroku! duch twój niech do mnie zagada,
Bo ból okręcił mnie ogniową szarfą
I na twarz padam razem z twoją harfą!

Warszawa.

STANCE DO MOJEJ MATKI.

Oto twe dziécię, twój syn pierworodny
Znowu do serca twojego kołacze,
Ty je jak zawsze otwierasz — on płacze,
Bo w tę świątnicę znów wchodzi niegodny.

Ciasną mu była ojcowista chata,
Niby go gniotły matczyne pieluchy,
Młodego orła pobratymcze duchy
Wciąż go wabiły do boju — do świata.

Przestrzeżne słowa twojego pacierza
Mimo mych uszu płynęły jak woda;
Szalono grała krew gorąca, młoda:
Do lotu ptaszę! — a skrzydła bez pierza!
I poleciałem.....

Oto twe dziécię, jak ptak zabłąkany,
Powraca nazad do rodzinnej strzechy,
Szukać spoczynku, ciszy i pociechy,
Szukać balsamu dla zadanej rany.

Po własnej ziemi w pielgrzymim przejeździe
Przechował w sercu ból swego narodu,
A jemu na nie kładziono garść lodu,
I cierń go bodła w każdem obcem gnieździe.

To on nim nową zamyśli wędrówkę,
Aby oślepić pamięci straszydło,
Pod twoje matko podsuwa się skrzydło,
Jak słabe pisklę przytula swą główkę.

Nie wiń go matko! jeźli czasem we śnie
Pomnąc na męki i cierpienia bliźnie,
On choć szczęśliwy w swojej ojcowiźnie,
Nieraz zbudzony zakrzyczy boleśnie.

Nie wiń go matko! gdy ostrem wędzidłem
Jeżeli pamięć mu sercem zatarga,
Z ust jego wyjdzie przekleństwo lub skarga —
Choć mu tak błogo jest pod twojem skrzydłem.

Oto twe dziécię po męczącym boju
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło,
I swe ramiona oplata w około,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.

Matko! on ciebie uwielbia i kocha,
Samego Boga on weźmie za świadka,
Boś ty mu wszystkiem, boś ty jego matka —
A resztę świata — to niby macocha.

O! bo dla niego, dla twojego syna
Nieraz ci troski głowę zakłopocą,
Nieraz zapłaczesz i bezsenną nocą
Westchniesz dla niego — o moja jedyna!

Bo jeźli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, jeźli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty rodzicielka
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

A on ubogi — czemże na podziękę
Za tyle ofiar, czemże się odpłaci?
Dla ciebie matko, jak dla swoich braci
Nic nie ma — tylko miłość i piosenkę.

Lecz jeźli kiedy lud, wypłatnik boży
Wieniec mu sławy zawiesi u głowy,
To on dla ciebie pierwszy liść laurowy
Zerwie ze skroni i u nóg twych złoży.

*

O matko moja! jak silne łańcuchy
Zarzuć, o! zarzuć nademną ramiona,
Osłoń mi oczy, przyciśnij do łona,
Bo znów na boje wołają mnie duchy!

— 1845 —

PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Dziwnato chwila! pokój mam w duszy
I serce ciche, a świat tęczowy
Śmieje się do mnie, i nibym zdrowy;
A jednak czuję jak mi się kruszy
Ostatnia struna z życiem wiążąca,
A jednak patrzę na zachód słońca
Jakbym go ujrzéć już więcéj nie miał,
A jednak głowa tak mi obwisa,
Jak liść żałobny, smutny, cyprysa
Kiedy mu słowik nagle oniemiał.

Dziwnato chwila! przed memi oczy
Świat się tak mglisto jak przez łzę toczy,
   I chłód grobowy kości me wierci;
Jak liść osiki tak jestem drżący,
I tęskny jestem i jestem śpiący,
   Jakby mnie skrzydłem tknął anioł śmierci.

I taką nutą gra mi powietrze
Jak gdy się z gościem nie ziemskim zetrze,
A moje imię słyszę w téj nucie;
Chciałbym się w ptaka, w chmurkę przewinąć,
By za tym głosem do gwiazd popłynąć —
Jestże to śmierci przeczucie?

A oto jestem jak kwietna trześń,
W koło mej głowy majową nocą
Myśli-pszczółeczki rojem brzękocą,
A w koło serca ptaszki świegocą,
A ja rozwiewam woń.... pieśń.

Lecz cóż po kwiecie, lecz cóż po woni,
Li kwiatem, wonią, — nic więcej?
Będęż sechł tylko przy białej skroni
Albo przy piersi dziewczęcej?

Jabym palące chciał czoła bliźnie
Osłonić cieniem i chłodem,
Usta maczane w klątwy truciźnie
Osłodzić owocu miodem;
Jabym chciał w mroźnej, trętwiącej zimie
Kiedy im serce oskrzepłe,
Snem letargicznym, gnuśnym zadrzymie
Wybuchnąć w płomyki ciepłe;
Jabym zaświecić chciał im pochodnią
Między spodleniem a zbrodnią;
Jabym chciał błysnąć ogniowym ciosem,
W ręku anioła mściciela;
Jabym się spalić chciał nawet stosem,
Byleby z moim popiołem,
Na zmazę winy, runęły społem
Popioły odkupiciela!

A oto teraz chylę gałązki
   Bogate kwiatem i wonią
Smutny, bo przyszłych plonów zawiązki
   Śmierć może stargać swą dłonią.

I mamże Panie! już tak za młodu
Zbiegać w początku mego zawodu?
I blizkiej śmierci zsyłasz mi wróżbę
Kiedym rozpoczął już świętą służbę
   Ku chwale Twojej, mego narodu?

Oto przed moim rodzinnym progiem
Przestrzeń tak żyźna leży odłogiem;
Chęcią płomienną, ręką gotową
Chcę po niej rzucać nasienie: słowo!
Miałożby ramię Twojego gniewu
Myśl mą krępować łańcuchem zgonu?
Zwichnąć mi rękę w środku zasiewu?
Oślepić oko na widok plonu?
Oniemieć usta w połowie śpiewu?

Jam tak dalece już się zadłużył
U Ciebie Panie, u braci ludzi,
Że mnie myśl owa męczy i trudzi,
Żem się wam dotąd nic nie odsłużył.

I z niemowlęcia i od kołyski
   Ojciec i matka jak dwa anioły
   Nieoszczędzali trudu, mozoły,
Żeby prostować duszę woskową
Żeby w niej tłoczyć swych cnót odciski.
I formowali mnie w kształt kolumny
   Czystej i białej, w niebo patrzącej,
   A burzom, gromom urągającej,

Coby nikomu pokłon swą głową
Nieuderzyła, chyba w dno trumny.

A teraz przyszedł już czas wypłaty —
Dług mej wdzięczności przez tyle laty
Niczem nie zmniejszył się od powicia;
O Panie! Panie! daj życia, życia!

I kiedy z bryły chropawej dziecka
Z ich rąk wybiegłem pięknym filarem,
O! to ta przyszłość, szorstka, nieświecka,
Nie miłym dla mnie była ciężarem.

I zamiast kościół boży podpierać,
Zamiast piorunom nadstawiać czoła,
Lubiłem rzewno, tęskno pozierać
Jak ze sklepienia nocnego szczytu
Przez siatkę chmurek, przez mgłę błękitu,
Tańcem się wiła gwiazda wesoła.
Lubiłem kiedy miękkim powojem
Gałąź się do mej piersi tuliła,
Kiedy zielonym, wonnym zawojem
W koło mej skroni się zakręciła,
A wtedy dusza senna pokojem
Nie męzko w takiem objęciu śniła.

I gdyby teraz mnie lud zapytał,
Com mu za wieszczby z nieba wyczytał,
Czy wypełniłem cel posłannictwa?
O! tobym spłonął wstydem zwodnictwa,
O! to lud klątwąby mnie przywitał.

Lecz dzięki Panu! jeszczem przechował
Moc duszy młodej, i niezmarnował
Wszystkiego czasu; wyjdę z ukrycia,
I lud mi klaśnie w chwili rozwicia —
Lecz Panie! Panie! daj życia, życia!

POLSKA Z KRZYŻA.

Na krzyżu konam z zwieszoną skronią,
Z przebitą piersią, z przebitą dłonią,
Z skrwawioną koroną cierni;
Zczerniałe wzgórza ludzi mrowiskiem
Męce mej wtórzą urągowiskiem —
A gdzież są, gdzież moi wierni?

A chciwość moje szaty rozdziera,
I złość ciekawie ku mnie poziera,
Czy z skargą skona syn boży;
Z piołunu do mnie skacze kielichem,
Śmieje się głośno nieszczerym śmiechem,
A w duszy jednak się trwoży.

O ludy ziemi! i na was czeka
Okrutna męka syna człowieka,
Przyszłość mi wasza odkryta;
Spełnia wyroku chyżo się zbliża,
Wam błogosławić z mojego krzyża
Zrywa się ręka przybita.

I was do krzyża także przybiją,
Skrwawione ręce potem umyją,
A wy umierać będziecie;

Niechże was srogość mąk nie przestrasza,
Niech jako moja będzie śmierć wasza,
Jeżeli zmartwychstać chcecie.

Zwisa mi głowa, oko się mroczy,
A wrzask bluźnierczy mętno się toczy,
Niebo się kryje żałobą,
A głos mój pada na tłuszczę ciemną:
O ludu ziemi! — nie płacz nademną,
O! zapłacz lepiej nad sobą!

TRZY STRUNY.

O! mam ja harfę — od Boga kochany!
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze,
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze,
A moje serce o! to jej podnóże.

I z tego serca biegną struny różne,
A wszystkie były z mych bolów poczęte;
Ja je wysyłam jak ptaki podróżne,
Niechaj brzmią pieśnią, którą ziemi dłużne,
Niech jak łabędzie z milczenia odklęte
Zawodzą hymny prorocze i święte.

Jedna z strun takich jak włókno pogody
Ciągle lecąca i w ciszy powiewa,
Wciąż się zaczepia o góry, o wody,
O prochy mogił, o zwalone grody,
Wciąż na podsłuchu, co tam szumią drzewa,
Co woda szemrze, co jaskółka śpiewa.

A kiedy całą tę harfę oblata,
Na tysiąc ramion jak polip rozwiana,
Kiedy się wszędzie ze wszystkiem pobrata,
I w końcu pozna że z całego świata
Ach! najpiękniejsza ta matka kochana —
To pod mą dłonią drzy rozradowana.

A druga struna wiąże się do strzechy
Tych biednych sierot, co w zniewadze giną,
I tam opieśnia ich żal bez pociechy,
I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
Przez tyle wieków nieotarte płyną —
Że zbrodnią jest już to, co było winą.

Ta druga struna chciałaby się dostać
Do ich serc głębi, by jej tajnię głosić,
Aby rozjemcą między nami zostać,
Aby wiedziała gdzie grozić, gdzie chłostać,
I komu kazać i kogo poprosić,
I jakie modły do Boga zanosić.

A trzecia struna, moja struna złota,
Pnie się do nieba jak sznurek pajęczy,
A tam niebieskie, zasunięte wrota
Tak gęstą siecią ciekawie obmota,
Że każde słowo wyroków oddźwięczy,
Każda wieść zbiegnie po takiej poręczy.

I po tej strunie płynie wielka skarga,
Skarga milionów — ale w swoim biegu
Za każdym ruchem mojem sercem targa;
Tak przy gorącej modlitwie drzy warga,
Tak kiedy łabędź swą piersią ze śniegu
Rozbija fale, drzy lilja u brzegu.

Biada, o biada temu, kto znieważy
Świętą tę harfę spowitą w całuny;
Piętno mu hańby wycisnę na twarzy,
Każda go struna przeklnie i zaskarzy
Przed sądem Boga; nad nim te trzy struny
Dzień i noc świecić będą jak pioruny!

Lecz oto wiedzie nas gwiazda zaranna
W czas obiecany światłością obrończą;
Wtedy z tej harfy melodja sklanna
Uderzy w niebo: Hosanna! hosanna! —
Wtedy te struny w jedną się połączą
I pieśń rozpoczną, co wieki nie skończą.

FANTAZYA NAD ZABITĄ DZIEWCZYNĄ. *)

DZIEWCZYNA PIERWSZA.

O senna siostro! o czem ty marzysz
Z zwróconą ku gwiazdom twarzą?
W milczeniu nocy, czy tak się skarzysz
Jak białe róże się skarzą?

Głosu twojego tłum nie posłyszy, —
Zrodzi się w ciszy i zginie w ciszy
Jak łza, co serce wypłacze;
Ale był słowik, co twoją spowiedź
Schwycił natchnieniem, więc ci odpowiedź
Śle przez me usta prostacze.

O senna siostro! nie skarz się więcej —
Choć cię na ziemię zepchnięto
Aby cię szorstkie porwały ręce
A potem rzuciły — zmiętą.

*) Wiersz ten służy za epilog do niedrukowanego dramatu Karola Szajnochy p. t.: Panicz i dziewczyna.

Nie skarz się nie skarz! kwiat, co swą wonią
Wiał nad niewdzięczną, weselną skronią
I uwiądł śród pjanych śmiechu —
Lepszą miał dolę, niż ten, co głazy
Obwijał kwieciem, aż mu się płazy
Wylęgły w brudnym kielichu.

Lepszą miał dolę, kto przypadł kwiatem
Na serce bliźnie z wróżbą szczęśliwą,
Niż ten, co wzgardził Bogiem i światem
I wyrósł chwastem, pokrzywą.

Niż ten, co bratni odstąpi wieniec
I ściera z czoła wstydu rumieniec,
Choć słońce patrzy nań ostro;
Niż ten, co tarnią stanie śród drogi
By ranić świętych pielgrzymów nogi....
. . . .
O, senna siostro!..

DZIEWCZYNA DRUGA.

Na kurhanie, nad krynicą
Smutniała kalina;
Z zapłakaną tam źrenicą
Uklękła dziewczyna.

— Jak ja mogę być wesołą
Kiedy zdrój w żałobie.
— Jak tu z ziemi podnieść czoło
Kiedy matka w grobie.

Leciał krasy ptak do wody
I ujrzał kalinę;
Wybiegł z strzelbą panicz młody
I ujrzał dziewczynę.

— Oj kalino! nocą ciemną
Daj mi jagód swoich.
— Oj dziewczyno! pójdź, pójdź zemną
Do pałaców moich.

— Pełne krwi jagody u mnie
To krew z nich wytryśnie!
— Już ten moim będzie w trumnie
Kto mnie raz uściśnie!

— Oj kalino! tu usiędę
By ci wiecznie śpiewać.
— Oj dziewczyno! ja cię będę
Na sercu ogrzewać.

I nagięła się kalina
Do ptaka krasnego.
I skłoniła się dziewczyna
W ramiona lubego.

Niewiem jakim pan wyrodny
Pozbył ją sposobem —
Dość że uciekł ptak swobodny
Z zakrwawionym dziobem.

DZIEWCZYNA PIERWSZA.

Dosyć tych pieśni! bo one po wierzchu
Płyną żywota jako lekkie łodzie.
Ileż tam walki w jego głębin zmierzchu,
Ileż tam dziejów na to dno osiada,
Choć gładkie niebo na wodzie.

Pieśń ma jak nurek w tę głębinę wpada,
Długo się między straszydłami wije,

Długo się błąka w koralowym lesie,
Nim się na skałach ukrytych rozbije
 Albo wam perłę wyniesie.

Mnie duch nieznany kładzie w usta słowa,
Wyrzec je muszę na zaklęcie jego;
Sercem przeczuwam co nie pojmie głowa;
Jam jak ptak morski, co przed niepogodą
 Śpiewa — a nie wié dla czego.

O senna siostro! i twą duszę młodą
Dopóki trzymał jasny duch w niewoli
Życiem jak pieśnią igrałaś do woli;
Lecz gdy go światy uniosły jaskrawsze,
 I tyś umilkła na zawsze.

Jakże się dziwnie ludzkie życie gmatwa!
Pokój nas czeka tam na drugim brzegu,
Niebo nam świéci — to przeprawa łatwa;
Więc się rzucamy szereg po szeregu,
A morze ciche — pogodą nas mami,
Ciche — choć płynie krwią naszą i łzami!
I ciebie siostro długo fala niosła
Niby w kolebce bez steru i wiosła;
Z ufnością krwawej oddałaś się fali
Myśląc że barwę wzięła od korali —
A ona ciebie z muszlami i z pianą
Na brzeg rzuciła z piersią roztrzaskaną.

O życie ludzkie! — w zamian za cierpienia
Cóż ty nam dajesz? — nic, tylko marzenia,
 Nic, tylko krótkie sny;

Z świętej miłości i z poświęceń wielu,
Z wielkich nadziei i z wielkiego celu
Nic — tylko krew i łzy.

GŁOS Z GÓRY.

Każda myśl wielka przebywa męczarnie
Zanim ją ludzkość ogarnie;
A serce miękkie nie masz boleć w łonie
Zanim go wieczność pochłonie?

DZIEWCZYNA DRUGA.

Lekko, lekko — w krzyż jej ręce
Załamcie w pokorze,
A ja piosenką poświęcę
Jej liściane łoże.
Niechaj marzy senne łono
Śpiewno i zielono.

CHÓR.

Śpiewno i zielono.
Niechaj się tam biednej prześni,
Że usnęła w strachu
Przy słowika nocnej pieśni,
Przy leśnym zapachu;
Że usnęła bez miłego
Czekając na niego.

CHÓR.

Czekając na niego.
Gdy spuścicie ją uśpioną
Do cichego doła,

To niech twarzą obróconą
    Pogląda do sioła;
Czy nie wyjdzie kto z wieczora
Od białego dwora.

CHÓR.

Od białego dwora.

A gdy zbudzą ją anieli,
    Na swém łożu siędzie,
I krew ujrzy na pościeli;
    To jéj zdać się będzie,
Że gdy luby ją uścisnął
Sznur korali prysnął.

CHÓR.

Sznur korali prysnął.

MARZYCIEL.

Jemu od skroni wiatr włosy odegnał,
Gwiazdy ku niemu migały wesoło;
On stał na wietrze — a blade miał czoło,
I takiem okiem potaczał w około,
Jakby konając świat żegnał.

I z białą twarzą jak posąg nagrobny
On patrzał w niebo — a z bolu omdlewał;
A kiedy nocny chłód, co nim powiewał,
Strzeźwił mu zmysły — on gwiazdom zaśpiewał,
A głos miał drżący, żałobny:

„I nigdyż ciszy nie znajdę dla serca!
Jak Arab w puszczy ku widmu ogrodu
Stąpam pragnący w ramiona zawodu —
I tracąc wiarę, czyż mam już za młodu
Urągać jako bluźnierca?

Czego się dotknę w ręku mi się kruszy;
Ciemnieje droga kędy stopy zwrócę;
Blednieje gwiazda gdy na nią wzrok rzucę;
Zmarłym nadziejom pieśń pogrzebu nucę,
Z nową nadzieją w méj duszy!

I czuję niechęć ku dniowi białemu;
W ciemnej ustroni samotny usiadam
I z tamtąd z jednym tylko Bogiem gadam —
Lżéj mi gdy duszę przed nim wyspowiadam,
A jednak smutno samemu!

I znowu sercu cięży jakieś brzemię,
Rwę się do świata, samotność mię nudzi.
„Tyś śpiewak ludu, więc idź między ludzi —
„O biedny ptaku! jeźli lot cię trudzi
„Zlatuj z błękitu na ziemię.»

To ziemia, ziemia! — jaki gwar w tym wirze,
A gwar niesforny, a wir ciemny, mętny,
Rzucam się w niego miłością namiętny —
Obco w nim jakoś i chłodno; — i smętny
Opieram głowę na lirze.

Śpiewać im będę — mam ja pieśni z nieba;
Słuchaj mię ludu, słuchaj! — gdzież jest rzesza?
Ona wesoło do cyrku pospiesza,
Tam gdzie ją skoczek najemny rozśmiesza —
Jej smutnéj pieśni nie trzeba.

Więc jako pielgrzym gdy między skałami
Zbłąkany spyta o drogę — i słucha,
A głos mu nazad powraca do ucha,
Nikt go nie słyszał! — i znów cisza głucha —
Jak on zalałem się łzami.

Kilku zostało — na moją pieśń czeka —
Śpiewam! — o! jak się im źrenice palą,
I płaczą zemną, wraz zemną się żalą —
Odeszli — jutro pieśniarza pochwalą,
Ale potępią człowieka!

Bo śpiewak jeźli chce ujść od potwarzy
Niechaj przed ludźmi stoi niewidomie,
A pieśń niech swoją zwiastuje im w gromie,
Niech ją jak morze rozleje w ogromie,
Niech ją jak wulkan rozżarzy.

I niechaj będzie jako Bóg na niebie
Świętą tajnicą zakryty dla świata,
Bo człowiek nawet i Bogiem pomiata
Jeźli w tym Bogu ujrzy swego brata
I podobnego do siebie.

A więc uciekam przed zawiścią braci,
I znów mię cisza grobowa oblega,
Gdy w serc tysiącu mój głos się rozlega
Niemam nikogo! — li po ścianach biega
Cień mojéj własnej postaci.

Serce, którego uczuciem gorącem
Ludzkość jak swoją własnością frymarczy,
Nie może spocząć gdy ból go obarczy,
Niby gladiator skrwawiony na tarczy,
Na drugiem sercu bijącem.

I wiecznie tęsknę za jakąś istotą
Coby mą głowę do piersi stuliła,
I jako miękki powój się owiła
O moją duszę — i równą mi była
Sercem, natchnieniem i cnotą.

A jeźli wieniec cierniowy mi splotą
A ból do grobu zepchnie mnie przedwcześnie,
To żeby ona złamana boleśnie
Przy mojej urnie, — świeciła mi we śnie
Jak anioł z koroną złotą.

Nieraz się rzucam zaślepiony w wierze
Gdzie mię zawabi blask jasnego czoła,
Gdzie mię głos srebrny do siebie przywoła:
Zaczynam kochać — i zamiast anioła
Znajduję potem półzwierze!

A jeźli kiedy szczęśliwym trafunkiem
Znajdę na świecie bliźnią duszę taką,
Którą Bóg z moją tą samą oznaką
Związał, — i natchnął ją myślą jednaką:
Świat je rozdziela — rachunkiem.

I wagą złota każdą duszę zważą
I pójdą w targi — kto da więcej za nią,
Każdą z osobna rozedrą, poranią,
I jak kwiat słaby skryją sklanną banią —
A potem zapomnąć każą.

O straszno patrzyć w dalszą drogę ciemną!
Codziennie oczy do światła otwierać
By niemi tylko w noc czarną pozierać,
Cierpieć za życia, a w końcu umierać
By nikt nie płakał nademną....?

A wszak do szczęścia równe miałem prawo
Razem z drugiemi; — za cóż mię Bóg karze?
Może w tej chwili kiedy ja się skarzę,
On srogi wyrok zmienia dla mnie; . . . marzę . . .
Ta gwiazda świeci tak mgławo . . .

Chcę się w nią wpatrzyć, — niechaj oko wieszcze
Jasnym promieniem ciągle na nią leci;
Jeźli ta blada gwiazda się roznieci
I nagłym blaskiem na niebie zaświeci —
To będę szczęśliwym jeszcze."

I patrzał w gwiazdę — czekał od niej hasła,
I patrzał długo nieruchomem okiem,
I drżał jak listek pod uczuć natłokiem —
I padł na ziemię — bo gwiazda pomrokiem
Mgliła się, mgliła — i zgasła.

— 1846 —

ZIMOWYM ZMROKIEM.

Samotny siedzę, wieczorny mrok pada,
Tam wicher miecie tumanami śniegu,
Z nim czarnych ptaków łamie się gromada
I kracząc szuka po drzewach noclegu.

Gwarem czeladzi gada do mnie ściana;
Tam oni ogień obsiedli weseli,
I jakaś piosnka, rzewna, zapłakana;
Jak druga nitka ciągnie się z kądzieli.

Krzyk czarnych ptaków i piosnkę dziewczęcą
Łomotem swoim splątała szaruga;
Sprzeczne te głosy wichrzą się i męcą
Razem z mą myślą — Ach, a noc tak długa!

Przemykam oczy i na me oblicze
Milczący kładę wyschłe obie dłonie,
I mego serca uderzenia liczę;
O! jakże zwolna ono bije w łonie.

Więc mi się zdaje, że ja już spokojny
Usnąłem ciszą pod mogiłą ciemną,
Podczas gdy ludzkich namiętności wojny
Wirem się toczące szaleją nademną.

Do czarnoksiężkiej bani świat podobny
Szatanów krzykiem rozdętej ogromnie,
Jeden głos tylko ma dla mnie żałobny,
Jeden głos tylko, co żali się po mnie.

W TARNAWCE.

On mi dłoń ścisnął — i noc spokojną
Nawiał nademną życzeniem;
Pocóż wy mary wspomnień tak rojno
Bieżycie w serce z cierpieniem?

Czemuż szarpiących myśli boleśnie
Nie wyrwie z czoła noc blada
Razem z tym włosem, co tak przedwcześnie
Z bolałej skroni wypada?

On mi dłoń ścisnął — i poszedł zasnąć
Śród woni trojga aniołów,
A ja się boję światło zagasnąć
Choć głowa ciężka jak ołów.

Anioł-stróż wieje nad jego domem
Skrzydłem go słoni przed chmurą,
To ja wędrowiec pędzony gromem
Pod jedno wkradam się pióro.

I do tej świętej czepiam się strzechy
Jak grzesznik do szat kapłana,
Aby tchem wciągnąć zapas pociechy
Nim w podróż wyruszę z rana.

Kiedy poglądam na jego dzieci
Pamięć się zwodzi zdradziecko,
Serce świetleje i myśl się kwieci —
Bo mi się zdaje — żem dziecko.

I w tem marzeniu długo się nurzę
Długo się myśli plątają,
Zanim przypomnę, żem przetrwał burze,
Że nowe na mnie czekają.

A gdy się oko z mroku oddymi
Widzę stojący u proga
Kij mój święcony, kij mój pielgrzymi,
Co ma wieść ludzi — do Boga.

[illegible]

[illegible]?
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]?
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible],
[illegible]
[illegible]
[illegible]

ZIEMIA.

Ziemio! nie jesteś ty miłości tworem,
Bo niéma serca ni miłości w tobie —
Jak zalotnica strojąc się wieczorem
O blasku jeno marzysz, o ozdobie.
Za prawdę ziemio, z nudy i przesytu
Bóg ci dał chwilę motylego bytu,
I jak ćma głupia kołujesz przy słońcu,
Aże w nie wpadniesz i spłoniesz na końcu.
Tyś samolubna! zanurzona w kwieciach
O swych cierpiących zapominasz dzieciach;
Ciekawie chwytasz głosy różnéj treści,
Oprócz jednego — prócz głosu boleści.

Nieraz z twej cierni wiła dłoń zdradziecka
Koronę męki dla twojego dziecka;
Ta cierń zbrodnicza świętą krwią opita
Potem na wiosnę w biały kwiat rozkwita,
I ptaki o niej śpiewają po świecie:
Jakie to białe i niewinne kwiecie!

I nad naszemi domy gdy pożary
Porozwieszają czerwone sztandary,
A matka z włosem roziskrzonym w błyski
Do niemowlęcej rzuca się kołyski —

To wtedy chmura lecąca po niebie
Śród ciemnej nocy tak szepce do siebie:
Wesołe ognie, co na ziemi płoną,
O, jakże pięknie malują mi łono!

Ziemio! tyś zawsze, tyś zawsze jednaka. —
Szatan ironji wciąż lata nad tobą,
Co nam ból sprawia, tobie jest ozdobą,
Tobie jest blaskiem. — Mówią, że łza ptaka
Zakamieniała staje się bursztynem;
Ziemio! krew nasza dla ciebie rubinem,
Jęk nasz dla ciebie melodijnym dźwiękiem,
Zbielałe kości tobie łożem miękkiem.

Widziałem dzisiaj jak łańcuch żórawi
Ciągnął od morza przynęcony wiosną,
I leciał chyżo — i pieśnią radośną
Sławił jeziora gdzie się lilja pławi
I sławił góry uwieńczone w sosny
I srebrne rzeki na dolin kobiercu —
I nad tą ziemią lecąc wolnym szlakiem
Nic, nic! nie widział, nie słyszał — prócz wiosny!
A jam zapłakał i mówiłem w sercu:
O Panie, czemuż ja nie jestem ptakiem!
Stare życzenie! — wiek wtórzy za wiekiem,
Że lepiéj ptakiem być — niźli człowiekiem.

FRAGMENT.

Hej, burzy, burzy! — na czarnej chmurze
Niech pędzi wicher z piorunem w dłoni,
I rwąc z jej czoła godowe róże,
Niechaj tę ziemię kirem osłoni.
W tysiąc wulkanów niech się rozpada,
I żałobnica skryta popiołem
Niech bodzie niebo węglanem czołem,
O swojej krzywdzie niech rozpowiada
Lawą łez spiekłych, ognia językiem,
Przekleństwem matki, sieroty krzykiem.

Stoję nad srodze pobitemi braćmi!!
Co? — Słońce świeci! — czemuż się nie zaćmi?
Czemuż nie pęka niebo, nie drga ziemia?
Gdzież Bóg, którego ten widok oniemia,
Gdzież On, co piorun dzierzy bez użytku?? —

Patrzcie! — zasłona świętego przybytku
Prysła jak dawniej — kolany zgiętemi
Wlokę się ku niej — pokorny, przy ziemi —
Spojrzałem za nią głęboko — i trwoga
Twarz mi zbieliła . . . Nie widziałem Boga!!

TRZY STROFY.

Półsenny jestem — głowa ciężeje,
Krzyżową przebyłem drogę,
Chciałbym w śnie zabyć okropne dzieje;
Chciałbym — i zasnąć nie mogę.

Przyszła staruszka, matki mej matka,
Rozwiała swe włosy siwe,
„O moje dziécie! młode masz latka,
Czemuż nie jesteś szczęśliwe?“

O matko! dziécie twoje cierpiące
Nie może zasnąć głęboko,
Aż wydrze z łona serce bolejące
I jakieś drugie tam oko!

DO LILJI.

1.

Harfo moja złotostruna!
Czemu jęczysz z pod całuna
Żałobnico ma!
Czy się lękasz by śpiew marny
Nie zwlókł z ciebie twój strój czarny
Gdzie się niża łza?

Dawnom rozbrat wziął z weselem
I nie będę już minstrelem
Póki bolu — tchu,
I nie będę już balladą
Pod arkadą piękność bladą
Kołysać do snu.

Bo i Ona, którą pieśnię,
Lubi patrzyć w świat boleśnie
Lubi czarny strój,
I od woni róż ucieka,
Choć z wieńcami na nią czeka
Cherubinów rój.

Bo i ona od kołyski
Zapamięta mieczów błyski
I bojowy róg,
I nie gardzi pieśnią moją
Choć me pieśni czoła stroją
W piołun, w cyprys, w głóg.

Pogrzebowa moja płaczko,
Harfo moja! tyś tułaczką
Była długi czas;
Gdyś leciała raz przez sioła,
Jam usłyszał głos anioła,
Co pocieszył nas.

2.

Tyżeś to chciała z błękitu
Rzucić w otchłań łez i zgrzytu
Garść niebieskich snów!
Toż mi teraz w świecie jaśniéj,
Z wiecznej mego serca waśni
Czystszym wyszedł znów.

I znów wierzę, i znów pragnę,
Ja, co chęci ani nagnę
Do czczych marzeń jazd,
Teraz skrzydła z kurzu trzepię
I po nieba szukam sklepie
Śladu dawnych gwiazd.

Długo nikt mnie nie rozumiał,
Byłem jak ptak co zaszumiał
Śród powietrznych fal,

I niknąłem ja w przezroczu,
I nie posłał nikt swych oczu
Za mną w przestrzeń — w dal.

I nie pytał nikt: w swym biegu
Do jakiego dąży brzegu
Wędrowny ptak ten,
Czy gdzie zginął śród odmętu,
Czy gdzie na maszcie okrętu
Zadumał się w sen.

I martwiałem żalem zdjęty,
Aż mię zbudził głos twój święty,
Teraz czuję ja,
Że mój brzeg dla wszystkich brzegiem,
Że polecą tam szeregiem,
Gdzie dzwoni pieśń ma.

Że w zwątpienia czarnej chmurze
Roztęczyłem moje piórze
Na przymierza znak,
A nie jeden wzniesie oczy,
By usłyszyć co proroczy
Zaśpiewa mu ptak.

3.

Jakżem dumny! — w mojej dumie
Jak w purpurze chodzę w tłumie;
Lecz u twoich wrót
Cichy jestem i pokorny,
Bom ja żebrak niepozorny
Przed skarbem twych cnót.

Bo łachmanem moim kryję
Nie jedną na piersi zmyję
Pełną jadów złych;
Przed słonecznym twoim blaskiem
Mój blask sztucznym wynalazkiem,
Mój blask tylko — szych!

Ty mi wróżysz sławę wielką —?
Jabym spłynąć chciał kropelką
W szczęścia twego zdrój,
Bo ja tylko, jak przechodzień
Błądzę w niebie, gdzie cię codzień
Wodzi anioł twój.

Zawieszona między rajem
Gdy modląc się za swym krajem
Wydanym na łup,
W niebo stąpasz z swym aniołem,
Tom nie godny zmiatać czołem
Śladów twoich stóp.

Pieśń, co piersi me rozszerza
Mniej jest warta od pacierza
Białej duszy twej,
Mniej od każdej smutnej myśli,
Co się w główce twojej kryśli
Śród przygody złej.

Tyś jak lilja z jasną skronią,
Co pociechy swojej wonią
Tam gdzie ból się gnie;
To do świętej tej prawicy
Naszej matki męczennicy
Jabym włożył cię.

4.

Aniołeczku! liljo biała!
Czegoś tak mi osmutniała,
Od jakiego snu?
O! choć duszą wniebowzięta,
Tyś z raju jak my wyklęta
Boś ty Polką tu.

Liljo, liljo! — na dolinie
Gdzie krew nasza strugą płynie
Zeszłaś wiotko ty,
Lecz we smutku tyś się zgięła,
Bo na ciebie krew bryzgnęła,
Krew i sierot łzy.

I krew, co twe łono pali,
Chcesz opłukać we łzy fali,
A więc płacz i cierp!
Czysta zbroja może trwalsza,
Lecz ta świętsza i wspanialsza,
Co ma rdzę i szczerb.

Siostro moja! niech więc razem
Będzie modlitwy wyrazem
Pieśń moja, twój płacz;
Każdy hymn, co ja wypieśnię
Na różańcu ty boleśnie
Łzą jak perłą znacz.

A gdy takie modły nasze
Jak ofiarną złożym czaszę
Jehowie u nóg,

O! to może na swe łono
Swą prawicą wytężoną
Podejmie ją Bóg.

5.

Siostro moja, cud się jawi,
Mam widzenie, co nas zbawi
Nie płacz dziécie... çyt!
Patrz na niebo! z krwi powodzi
Jakiż to blask tam wychodzi..?
Hosanna! — to świt!!

ANIOŁ-PAŃSKI.

Och! jasno, zielono — a wieczór tak cichy,
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące,
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł-Pański....

O! dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł-Pański....

W cmętarnej tej ziemi jak wojsko na leżach
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni nie jedną wyprawą;
I ciche sny mają — bo czyści i święci
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co świat ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta
A usta zamarłe odchylą:
Anioł-Pański....

Nie każdy w swym grobie spoczywa snem ciszy
I rzewną tę piosnkę nie każdy usłyszy —
Są tacy, co walcząc ze strachem
W okropnych męczarniach rzucają się w trumnach,
Bo marzą, jak niegdyś stojąc przy kolumnach
Z ojczystym zapadli się gmachem.
A głosy jęczące zgruchotanych dzieci
Aż dotąd piorunią im w uchu,
I żaden głos inny już ich nie doleci —
Więc za nich o zadzwoń mój duchu:
Anioł-Pański....

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię
A ciało pielgrzymką stargane boleśnie
Do ciszy trumiennej się skłoni,
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pachole, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł-Pański....

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie!
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie
    Jak pszczoły w swym ulu spruchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięztwem promienny, powagą spokojny,
    Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży
    Z dumania się mego ocucę,
I serce tak żywo jak dzisiaj uderzy,
    Jak dzisiaj pokornie zanucę:
        Anioł-Pański....

— 1847 —

SCENA Z ANTIGONY SOFOKLESA.

CHÓR.

STROFA.

Miłości, któż cię zwycięży!
    Wszak równie twój grot się miecie
I na serce wielkich męży
    I na ust dziewczęcych kwiecie.
Morza przelatasz i błonie
    Kędy strumień brzęczy;
I syn nicestwa i ten, co swe skronie
    W nieśmiertelne liście wieńczy,
Dla ciebie szaleństwem płonie.

ANTISTROFA.

Mężów dotąd nie zmazanych
    Nawodzisz na szpetne zbrodnie;
Między braćmi krwią związanych
    Zapalasz wojny pochodnię.

W blasku dziewiczego łona
W oczach nam rozkwita
Tęsknota wiecznem prawem uświęcona —
A zwycięzka Afrodyta
Z uśmiechem wzrusza ramiona.

Kogoż nie może poruszyć
Ten smutny widok? — a nie znam sposobu
By źródło mych łez ususzyć,
Gdy widzę jak Antigona
Do ciemnego spieszy grobu.

ANTIGONA

(otoczona niewolnikami wychodzi z pałacu.)

STROFA 1.

ANTIGONA.

O patrzcie na mnie ojcowie méj ziemi!
Na mnie stąpającą
Ostatnią drogą i oczy łzawemi
Na blask Heliosa patrzącą.
Ach raz ostatni! i nigdy już więcej!
Mnie żywą Hades wiedzie za ręce
Do Acheronu.
Ni mnie otoczą Hymenu wieńcem,
Ni pozazdroszczą mi w głośnej piosence
Łożnicy schronu.
Acheron jeden moim oblubieńcem.

CHÓR.

Czyż nie zstępujesz w promiennej chwale
W łoże wieczności — na cóż te żale?

Ty nie zmożona chorób skazitelnych
Długą boleścią — żelazem nie tknięta,
Idziesz do grobu żywa i święta
Jak nie szedł żaden z śmiertelnych.

ANTISTROFA 1.

ANTIGONA.

Wiem jak Frygijka, ta córka Tantala
U Sepilos szczytu
Konała niegdyś od ojczyzny zdala;
Teraz ją szata z granitu
Spowiła nakształt pnącego się ziela
Co się po skalném jéj czole rozściela;
I jak wieść głosi
Wieczny śnieg nad nią tając potokiem
Wypływa martwem, kamiennem jej okiem.
I mnie unosi
Podobnie onej Demon szybkim krokiem.

CHÓR.

Ona była bóstwem i z bogów zrodzona,
My śmiertelni wyszli ze śmiertelnych łona;
Chwałą jest dla nas z bóstwem wyniesionem
Przynajmniéj równać się — zgonem.

STROFA 2.

ANTIGONA.

Biada mi! ty drwisz ze mnie, ach, czemuż na bogi!
Urągacie mojéj głowie?
O Tebie drogi!
Wsławiony wozami,
Wy jego mężowie,

Wy sami!
I wy źródła Dircejskie,
Gaje święte, nieba niebieskie,
Za świadki stańcie mi razem,
Jak nieopłakana mych przyjaciół łzami,
Bezprawnym pchnięta rozkazem,
Do mego zbliżam się kresu!
O ja z nieszczęśliwych
Najnieszczęśliwsza! — ani ja do żywych
Należyć mogę, ani do Hadesu!

CHÓR.

O Antigono! rozmiotana w szale
Tyś tronem Diki zatrzęsła zuchwale;
Sama stanąwszy na odwagi szczycie,
Za winy ojców cierp dziécię.

ANTISTROFA 2.

ANTIGONA.

Najboleśniejszą strunę dotknąłeś wspomnieniem
O losie mego rodzica,
Co z całem plemieniem
W noc zbrodni zapada
Świetny jak błyskawica.
O, biada
Tobie matko kazirodna!
Ty, co płodem syna płodna
Puściłaś mnie ścieżką głogów.
Teraz patrz matko, jak w samym rozkwicie
Obarczone klątwą Bogów
Za tobą idzie — twe dziécię.
W złowrogiéj chwili

My, o mój bracie, krwią się połączyli,
Bo umierając unosisz me życie.

CHÓR.

Z dawnych to czasów jest rzeczą chwalebną
Czcić swych umarłych posługą pogrzebną;
Lecz kto żelaznej władzy gwałci wolę
Sam siebie wtrąca w niedolę.

ANTIGONA.

Ach bez przyjaciół, bez łez, bez kochanka
Chować się muszę w ziemię — sama jedna!
I nigdy w świetle różanem poranka
Już nie zabłysnę — ja biedna!
Nad moim losem żadna łza nie pada....
Biada mi, biada!

KREON

(wychodząc z pałacu.)

Tym łzom i skargom nie byłoby końca
Gdyby odwrócić mogły śmierci skrzydło.
Dalej z nią naprzód! — i jak rozkazałem
W nakrytym grobie zostawcie ją samą;
Mniejsza, czy ona zginie w pierwszej chwili,
Czy żyjąc tarzać w ciemnościach się będzie.
Śmierć tej dziewczyny nie zaciąży duszy;
Czyści jesteśmy, — niech więc z ziemi wierzchu
Zstąpa czemprędzéj do zmierzchu.

SPOWIEDŹ SERCA.

(Podsłuchane.)

Smutna to chwila, ta wieczorna chwila!
Cicha modlitwa usta mi rozchyla,
Serce spowiedzią odzywa się z głębi;
Podobna jestem do nocnego kwiatu,
Co swoich marzeń nie objawia światu;
    Wzrok mój tak smętny — gołębi.

Z mętów dnia dusza się okołysała,
Znów ona teraz przezroczysta, biała
Jako toń morska po przebytej burzy.
Snem obciążona nim rzęsa opadnie
Patrzę w toń duszy — wszystko widzę na dnie
    Co, gdzie zgubiłam w podróży.

Tam leży ślubny stargany mój wieniec,
Tam łzami zdawna spłukany rumieniec
Barwę swą przeniósł w korali powoje,
Tam leżą szczątki z tej łodzi rozbicia,
Co mnie nieść miała przez ocean życia,
    Tam leżą perły — łzy moje!

A ja gdy kruchej chwyciłam się deski
To mnie mój anioł, mój promień niebieski
Wyniósł do brzegu pod bramę klasztorną;
Słońce w tem morzu chowało swą głowę
Razem z mem szczęściem — a dzwony spiżowe
Grały modlitwę nieszporną.

Lecz mi nie dali wypocząć po trudzie
I znów do świata zepchnęli mnie ludzie,
Świat mnie otoczył samolubnym krzykiem;
Jak zwiędła palma stanęłam na puszczy
Bez kropli rosy — bo nikt z całej tłuszczy
Nie mówił moim językiem.

Od tych pamiątek nim dusza odwyknie,
Czasem jak dziécię jeszcze we śnie krzyknie,
Chociaż już boleść na czole się starła;
Nieraz się oko weselem rozżarzy,
Nieraz i uśmiech przeleci po twarzy —
Ale ja sercem umarła!

Wszakże ja Boże, nie skarzę się Tobie,
Że mi tak wiosna przelata w żałobie,
Że mi zdeptano moją wiarę młodą,
Ni ja losowi chcę złorzeczyć kłamnie —
Wszakże kochałam! to już dosyć dla mnie —
Miłość jest w sobie nadgrodą!

Choć pamięć o Nim pamięci nie warta,
Chociaż ta dusza przez niego rozdarta
Dawno niewdzięczną pogardza istotą,
Jednak ja Boże, wyznać się nie wstydzę,
Że w tej miłości moją chwałę widzę —
Miłość jest najmniej pół-cnotą!

Niedbam ja Panie, że w tym wielkim tłumie
Nikt mej miłości, nikt mnie nie zrozumie,
Może ją nawet wyśmieją szkielety;
Że oprócz Ciebie, co znasz ptaków loty,
Chyba mnie pojmie mój anioł-stróż złoty
I bratnia dusza poety.

CZARNY SZAL.

(Na temat Puszkina.)

I wy mnie pytacie z pijanym hałasem
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

I wy mnie pytacie? Ha, dobrze Serbowie!
Lecz wprzódy niech wino zaszumi w mej głowie,
Niech pieśni lirników do reszty mnie zgłuszą,
Bym treści słów moich nie pojął sam duszą.

Więc żywo lirniku po strunach puść palce,
Z pełnemi kielichy przystąpcie służalce,
Niech jeden mi głowę podeprze wezgłowiem —
A teraz słuchajcie Serbowie, co powiem.

I pieni się puhar i lira już gędzie —
Ach, dotąd ja widzę jej piersi łabędzie,
I dotąd mi pachnie zwój czarnych warkoczy
Pod którym gwiazdami świeciły jej oczy!

Na zamku ją miałem — a byłem ja młody
I lgnąłem tak do niej jak czajka do wody,
I milszą mi była od pamięci czynu,
Żem sztandar zatykał na murach Semlinu.

I milszą mi była niż koń mój cisawy,
Towarzysz wyprawy i wspólnik mej sławy,
I milszą mi była . . . . gdzież puhar mój złoty?
Czy wina zabrakło? — Przez piekło i grzmoty!

Trzy beczki z piwnicy wytoczcie hajducy . . . .
O biali śpiewacy! Bojana prawnucy!
Dla czegóż pieśń wasza z ust klątwę wystrasza —?
Ach! ona tem była, czem dla mnie pieśń wasza!

I miała w swem oku ta dziewica grecka
Powagę królowéj i niewinność dziecka,
Toż przy niéj wszelakiéj pozbyłem się pychy
I byłem jak dziecko pobożny i cichy.

I próżno pod oknem rzał koń mój bojowy,
Jam z białej jej piersi nie podniósł już głowy;
I próżno miecz do mnie migotał ze ściany,
Jam dłoni nie zerwał od szyi kochanéj.

Bo ja ją tęczowem otoczyłem kołem
A ona mi była mym stróżem-aniołem;
Bo ja ją z haremu uniosłem pod burką
A ona mi była . . . . ha, była jaszczurką!

I dotąd po szyi, po piersi pełzała
Dopokąd mi serca nie wygryzła z ciała,
Więc z drugim . . . ha, piekło! — krew grać mi zaczyna —
Kindżała i wroga! — kindżała — lub wina!

Raz sprosił na ucztę mnie towarzysz broni
Na ucztę weselną — więc jadę w sto koni,
A w zamku, co hardo Dunajem potrąca,
Zostało sług kilku i Ona — płacząca.

I Ona, co czarnym osłonięta szalem
Na baszcie się wiała tęsknotą i żalem
Jak sztandar żałobny nad miastem wymarłem....
Więc skryłem oblicze i konia poparłem.

Lecz gdym się z bratami za stołem rozłożył,
To we mnie na nowo burzliwy duch ożył;
Minęło dni wiele — przy śpiewie i winie
Jam marzył o bojach a mniej o dziewczynie.

Do nocy nasz okrzyk rozlegał się echem —
W tem stary mój sługa nadleciał z pośpiechem
I szepnął mi słowo i jedno i drugie...
Jak wściekły skoczyłem i zabiłem sługę!..

I zbiegłem w podwórzec i dopadłem konia
Świat mglił się przedemną — a lasy i błonia
Migały w mem oku zjawiskiem znikomem —
Nim gwiazdy pobladły — stanąłem przed domem.

Kolanem i pięścią wybiłem podwoje —
Widzicie! — tam w kącie — tam było ich dwoje,
Tam było ich dwoje splecionych uściskiem....
Ha! jam ich rozerwał kindżała połyskiem!

I zdarłem z jej czoła żałobną zasłonę
I milcząc ścierałem nią ostrze zbroczone —
I przeszła noc krwawa — gdy dawnym zwyczajem
Świt spłonął — dwa trupy płynęły Dunajem.

Więc wy mnie pytacie z pijanym hałasem
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

Hej wina! a chyżo! — niech pamięć złowroga
Zatonie w puharze .·... Lecz cóż to? — Na Boga!
O, patrzcie druhowie!.. u tamtych podwoi...
Ktoś stanął... czy posąg?... Nie!.. Ona tam stoi!

To Ona... Haido!... odsłania swe łono
I wabi ku sobie... ach, w oczach czerwono!
Krew falą się wznosi... jak w onej tam nocy —
Zaczekaj... już idę... druhowie... pomocy!!

W ALBUM H. S.

O Polko, Polko! na co tam pieśni
 Kiedy po gromie uderza grom,
Na co tych gości, którzy niewcześni
 Z pochodnią idą w płonący dom.

O Polko, Polko! na cóż mam tobie
 W księdze pamięci me imię ryć,
Gdy bez pomników ci leżą w grobie,
 Co tem już byli, czembym chciał być!

DO AUTORA KORDJANA. *)

O tak! baranek, co wybiegł z rana
   Na chłodne rosy w dolinie,
Patrzy czy z nieba jego Kochana
   Z blaskiem nie spłynie.

Perlą się rosy — zleciało słonko,
   A jego Święta nie zlata,
Li mgłą słoneczną zwisła nad łąką
   Biała jej szata.

Ona upięta w tęczy opalu,
   Błękitną więziona banią
Tęskni za ziemią, — toż i on w żalu
   Wciąż płacze za nią.

---

*) Odpowiedź na wiersz pisany do autora Skarg Jeremiego, a zaczynający się:

Ojczyzna, twoja święta kochanka
   Chodzi po łąkach Pani słoneczna,
Ty idziesz za nią jak duch baranka
   I wołasz: Wieczna!

Płacze i czeka — tymczasem nogi
    Wikłają mu się w pokosach,
I konający legł pełen trwogi
    Na zimnych rosach.

Zamglonem okiem kiedy baranek
    Żegnał się z kwieciem na błoniu,
Ujrzał, że pasterz, jego kochanek
    Stał na ustroniu.

A więc czołgając się przez murawę
    U stóp się jego położył,
I oko podniósł ku niemu łzawe,
            I ożył!

On pasterz z niebem sojusz odnawiał,
    Gwieżdżąc się myślą na szlaku,
On, co już nieraz z Panem rozmawiał
    W ognistym krzaku.

On taki wielki! — a gdy obaczył
    Płacz cierpiącego jagnięcia,
Do jego skargi zniżyć się raczył
    Z błękituwzięcia.

Bo on zrozumiał życia zawiłość,
    I choć go ducha wynosi dzielność,
On rzekł duchowi: przez niższych miłość
    Płyń w nieśmiertelność!

Paryż.

— 1848 —

PRZY POMNIKU KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

«Płyną Elstery wody, płyną zawsze,
A rany Twojej dotąd nie obmyły,
Fale jej coraz mętniejsze i krwawsze.»
O, precz ze skargą! z pod Jego mogiły
Bojowej trąby dosłyszałem dźwięki.

Płomiennej ziemi garść wezmę do ręki!
Jutro gdy rzucę ją w polskie powietrze,
Popiołem spadnie na pokutne głowy,
A z Faryzeów fałszywy blask zetrze,
A wrogów spali jak dech Samunowy.

O jasny wodzu żórawiego stada!
Słoneczny hufiec Twój odleciał mgłami,
Dziś nowe gniazdo do lotu rozkłada
Skrzydła niewprawne — więc leć Ty przed nami,
Orle Olimpu! z piorunami w szponach.

LA RÉPUBLIQUE!

(Wiersz napisany przez F. Freiligratha na pierwszą wiadomość o rewolucyi Lutowej w Paryżu.)

1.

La république! La république!
Hej, już nam po żałobach!
Na szabli mig stary tron znikł —
Toć był to bój! — La république!
A wszystko we trzech dobach.
La république! La république!
Vive la république!

2.

La république! La république!
Sto gromów wpadło w ciszę;
Ramienia rzut, a błysk, a krzyk,
I słowo słów: La république!
Tak Pan Bóg dzieje pisze.
La république! La république!
Vive la république!

3.

La république! La république!
Tam za nią krew już leją;
Przez jęk i szczęk i harmat ryk
Zdobyty wał! — La république!
Sztandary nasze wieją.
La république! La république!
Vive la république!

4.

La république! La république!
Hej wiara z dolnych kątów,
Nam z wałów grzmią: do kós, do pik,
A w szczerby baszt! — La république!
Przy świetle naszych lontów!
La république! La république!
Vive la république!

5.

La république! La république!
Ho! bracia tam na górze,
Za wami w ślad — La république!
Na mostach już tętni nasz szyk,
Drabiny już przy murze.
La république! La république!
Vive la république!

6.

La république! La république!
Kto szemrze o rozdwoju?
Co? ludów gniew? — La république!
Gdy wszystkim z rąk opada łyk
Wszyscy jednego kroju.
La république! La république!
Vive la république!

7.

Od dzisiaj więc — la république!
Obozów dwa, dwie straży —
Tu zastęp nasz, co w słońce wnikł,
Niewolnik tam, co w jarzmo wzwykł —
Niech pada co się waży!
La république! La république!
Vive la république!

8.

Więc w niebogłos: La république!
Kres bojom i rozdroży!
A liga w krąg, szczęście z tych lig
I miłość wszem — la république!
I rozkwit w łasce bożéj!
La république! La république!
Vive la république!

— 1849 —

U BRZEGU.

Tobie ja śpiewam gołębico moja,
Coś mi oliwną gałązkę przyniosła!
Już srebrnem swiatłem znęca mnie ostoja;
Więc w grzmiące morze rzucam stare wiosła
Za tobą spiesząc gołębico moja!

Pod bramę z tęczy wchodzę — taki jasny!
Pogodzonemu ze światem i z Bogiem
Gdyby się jeszcze rozścielił kraj własny,
Jak przed kościoła uklęknąłbym progiem
Taki pogodny, cichy — taki jasny!

Drogą niewoli zapomniałem chodzić!
Bo gdy mnie z losem jątrzyły poswarki
Chcąc mego ducha z więzów oswobodzić,
Sród burz skoczyłem do szalonej arki,
A w nieba lecąc — zapomniałem chodzić.

Z długich obłąkań gdym wracał do brzegu
Pytałem ziemi, co szarzała bliska:
«Piastową chatę znajdęż na noclegu?
«Piastowe serce znajdęż u ogniska?
I wszystkom znalazł przy tobie — u brzegu.

Pójdziemy razem, pójdziemy we dwoje,
Przez mgły wiszarów, przez dolin kobierce,
A w chwilach trwogi ja cię uspokoję,
W chwilach spokoju rozdźwięczę ci serce,
A cierpiąc — cierpieć będziemy — we dwoje!

Gdy śpiewać będę, ty módl się za braćmi;
Przeczuciem żyją dusze swietlne, młode,
A dusza moja nigdy się nie zaćmi,
Bo patrzy w Boga, w jutrznię i w pogodę
I śpiewa ufna: Módlmy się za braćmi!

*

Tak więc stęskniony, od ciebie daleki,
Gdy dwa dni nudzę — dwa dni? ach, dwa wieki!
Gdy mnie samotność otoczyła cieśnią,
A ty przez gwiazdy patrzysz na mnie smutnie,
Ja w twoje imię zakląwszy mą lutnię
Myślę o tobie myślą serca: Pieśnią! —

— 1850 —

NIE WIŃ MNIE.

Dziécie moje! białe, jasne,
Ty mnie nie wiń, nie skarz na mnie,
Że ja w smutku czasem gasnę
Lub uśmiechem błyskam kłamnie.

Ze mnie nieraz z twych uścisków
Wyrwą duchy, co gromadą,
Pełne chwały, pełne błysków,
Gdzieś na złotych chmurach jadą.

A jeźli mi od łańcucha
Łaską rzucą dźwięków roje,
To me serce drzy i słucha...
Ty mnie nie wiń dziécie moje!

Ty mnie nie wiń, że ja chmurny
Lubię kryć się do popielnic,
I z ojcowej, smętnej urny
Jakby z baszty, jak ze strzelnic

W grozie patrzę na te pola,
Gdzie pogańska wre swawola.

A gdy ujrzę, że te hordy
Nie na święte idą kordy,
Ale skore do odwrotu
Zdala strutą strzałą warczą:
To już twego mi namiotu
Białe płótna niewystarczą;
Bo chcę bronią być nie tarczą,
Choćbym ważył szczęście własne....
Ty mnie nie wiń dziécie jasne!

OJCOWSKI PSALM.

(Po urodzeniu się Kordjanka.)

Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche;
Jedno dziécie! a weszło z niém takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele,
I napełnią go wrzawą uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną,
I tak się rozkochają w tém braterskiem gnieździe,
Że starce jak pisklęta kwilą przy rozjeździe.

Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: Pokój z twoim domem!
I zaledwie głos przebrzmiał, to niska ta chata
Swą strzechę jak ramiona dziękczynne rozplata,
I podniósłszy ją w górę swą małość przyczynia,
Aż stała się modlitwą, wielka — jak świątynia.

I zaraz w niej przybrało wszystko pozór swięty,
Radosnem przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały,
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.

I od kiedy w niej mieszka niewiniątko boże
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
Słodka muzyka pszczółek ciągle gra na lipie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe....
A ja chodzę jak senny, wielbię Pańską sprawę
I upajam się kwiecia i gołębi bielą,
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,
I tém światłem ścian moich i wonnością pował....
O! jak ty Panie ducha mego rozradował!!

— 1851 —

DO JENNY N.

W twej piersi żyje wieczny, czysty płomień,
Toż głos twój świeci jak słoneczny promień,
Sferyczną nutą w naszem uchu dźwięczy
A w duszy błyska kolorami tęczy.

I głos twój nieraz szumi jak kaskada,
Dzwoni jak zbroja gdy na nią miecz spada,
To słowiczeje gdzieś we mgłach po rosie....
Ale najczęściej drzą łzy w twoim głosie.

Więc po tym ogniu, co twe serce mieści,
I po tej twórczej, pieśniarskiej boleści,
I po tym jęku, co w świat bije ostro,
My obcy mową — zowiemy cię siostrą.

I błogosławim każdą twoją drogę,
I jedną tylko dajemy przestrogę,
Abyś nas nadto nie rwała do nieba,
Bo nam na ziemi żyć i walczyć trzeba.

PRZEZ OGIEŃ W BLASK!

Jeźli widzicie, że chłopiec - sokole
Wichrzy się, burzy, sam nie wié dla czego,
I w kruche serce wielkie wmawia bole,
I na świat patrzy jak na coś obcego:
O! wy nie mówcie, że on chwile młode,
W których myśl jego rozwija się w brzask,
W marzeniach trawiąc, czyni sobie szkodę...
— On idzie przez ogień w blask!

Jeźli widzicie, że naród mniej winny
Od innych, walczy z przemocą i z nędzą,
A miłosierny zawsze i gościnny
Choć jego dzieci od obcych wrót pędzą:
O! wy nie mówcie, że on w grób zapada
Nie godny oka bożego i łask,
On Chrystusowi rośnie na sąsiada....
— On idzie przez ogień w blask!

— 1852 —

DO MOJEJ MYŚLI.

O myśli moja twórcza! gdzie iść tobie w drogę?
Ojczyzna cię zaklęła na zawsze w swe koło,
Gdzie stąpisz groby tylko spotykasz i groby,
Albo serca za życia zmarłe lub rozdarte.
Nie wolno tobie spocząć jakbyś chciała rada
W rzeźwiącym chłodzie cieni, co od mogił pada,
By tam usta i ucho do ziemi przykleić
I z ojcami rozmową miłą się weselić;
Niewolno tobie marzyć zawsze o ich sławie
Kiedy ludzie żyjący z losem walczą krwawie.
Ile razy wędrówką śród żywych strudzona
Na grobach spoczywając przebywasz za długo,
Mój duch-sędzia wnet woła za tobą: gdzie ona?
I znowu ciebie czeka ta droga pokutna,
I znowu iść nią musisz choć tęskna, choć smutna.

Naprzód! naprzód! bez folgi, mój wieczny tułaczu!
Gdzie słychać dźwięk orężny, gdzie w łez cichych płaczu
Niewiasty z sierotami patrzą w bitew pole,
Lub pod murem więziennym siedzą i oczyma

Podnoszą się ku kratom jak wiotkie powoje;
Gdzie bracia w rozproszeniu po wszech ziemi krańcach
W tęsknocie mrą lub giną na nieznanych szańcach:
Tam tobie iść i walczyć i cierpieć i śpiewać!

Gdybyś dzisiaj przed oczy synów, co w arenie
Dla stwierdzenia swej wiary, a nie dla zwycięztwa,
Rzucają się na lwice bez broni i nago:
Postawiła ich ojców żelazne posągi
W pancerzach i na mieczach opartych z powagą,
I krzyknęła: Patrzajcie! jacy piękni, wielcy! —
Toby ich przeszył okrzyk ten jak urąganie
I nie jeden z goryczą, co się w uśmiech krzywi,
Odparłby: My nie mniejsi, lecz nie tak szczęśliwi!

O myśli moja twórcza! kiedy się przegoją
Rany świeże, a z mętów tak łzy się ostoją,
Że będą płynąć czyste jak wilżąca rosa,
Gdy dusze choć w cierpieniu zmienią się w niebiosa
Pogodne — wtenczas pójdę z tobą między ojce,
Podziemny 'swiat przekształcę na jasne ogrojce,
Rozpatrzysz się w postaciach, opieśnisz do woli
„Brzmiącą sławę stuleci“ — dzisiaj tyś w niewoli!
Napróżno się zanurzasz w omdlenie i trwogę:
W ślad za dźwigającemi krzyże — w drogę! w drogę!

ZAWIANA CHATA.

Chato polskiego chłopa zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą cichą nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz, czerwono już świécisz łuczywem,
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt! — weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę!....
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

PO KLĘSCE.

(Obrazek.)

Zgarnął bezładne myśli i z konia zeskoczył;
Lecz zawiodły go nogi, zachwiał się, zatoczył.
Zanadto znużył ciało i duszę tej nocy,
By lekko nieść oboje; uczuł się bez mocy —
I choć hardość tajonych bolów nim wypręża,
Słaniał się; krokiem dziecka chorego, nie męża,
Szedł po gankowych schodach do sklepionej sieni,
Tam go echo żałośnym powitało tonem,
I ujrzał w ciemni kilka świecących promieni,
Kształtem strun, w niewidomej harfie naciągnionych;
Blaski biły szczeliną z podwoi przymknionych,
Otworzył je — i czołem nocnem, zachmurzonem,
Jasność komnaty zmącił, potem wsparł o ścianę
Serce wzdęte, bijące, żółcią rozpłakane,
I z pod oka w głąb patrzał: widok był surowy.

Pośrodku sali, którą zdobiły makaty,
Gdzieś z tureckich namiotów zerwane przed laty,
A z ich tła spłowiałego rzędem wystawały,
To z ciemnych ram poważne antenatów głowy,
To rynsztunki wojenne, kolczugi, przyłbice,

Oręże różnej miary, instrumenta chwały,
To wianki zbóż, trofea bogobojne, wiejskie:
Rozkroczył się stół duży; dwie jarzące świéce,
O długich knotach, skąpem światłem opływały
Na rozwartym foliale «księgi machabejskie.»
Obok staruszek w wielkiem, poręczowem krześle
Spał, ręce zaplecione trzymając u łona;
Włos gołębiej białości spływał mu w ramiona,
Ach, a jedną mu nogę dorobili cieśle,
Bo z drewna była; jego przymkniona źrenica
Nieruchomie patrzyła w młodego szlachcica,
A promień magnetyczny tak w nim działał skrycie,
Że duchem poczuł drogiej osoby przybycie.
Wraz zatrząsł się staruszek, ręce jako rudle
Zaczęły bić powietrze, noga drżała w szczudle,
Piersi, szybkim oddechom niemogące sprostać,
Zachrypiały; z morza snów próżno chciał się dostać
Na ląd twardy, na jawę; mocno go sen trzymał,
A on walczył sam z sobą, szamotał się, zżymał,
Aż na wybladłem czole krople wystąpiły
Zimnego potu, ręce opadły bez siły,
I tylko jęczał głucho, jak człowiek tonący;
Lecz już go przelękniony młodzieniec w pół imał.
— Panie rotmistrzu, wołał, Boże wszechmogący!
Drogi mój opiekunie, o zbudź się, zbudź, proszę!
I zbudził się staruszek, lecz nie na rozkosze.

Zwolna oczy otwierał, głęboko oddychał,
Resztę mar niespłoszonych rękami odpychał,
Półsennie ciągnął głosem:

— Tyżeś to Stefanku?
Wiedziałem, że tu jesteś, cóż serce-kochanku?
Czy pomszczone już krzywdy ludu na Antjochu?...

Świątynie splugawione czy powstały z prochu?
Wszak nie w liczbie zwycięztwo, z nieba idzie siła —
Starteż hufce orężne? wielkaż ich mogiła?
Rozwielmożył się w pysze nieprzyjaciel chytry,
Aż Pan gniewem rozgorzał — niech zagrają cytry!
Lud mój biodra przepasa, stary zakon święci!

I ściągnął ręką w czoło, w splątanej pamięci
Niby wątku szukając. Młodzieniec go słucha
Namiętny, wrzący cały, wewnątrz ogniem bucha,
Nieludzko zatrząsł śniącym:
— Zbudź się, zbudź się starcze!
Nie marz, kiedy ja cierpię! zdejm ze ściany tarczę,
I zakryj nią oblicze jak wojownik grecki,
Bo oto nas dotyka grotem los zdradziecki,
To niechaj twej boleści na twarzy nie widzi,
Ani ten Bóg wesoły, ani świat, co szydzi!!

— 1853 —

KANONIZACJA ŚW. JACKA.

1.

Rzekł Ojciec święty: «Rycerzu mój dobry,
Narodzie polski! wytrwały i chrobry,
Do twoich bitew za Chrystusa Pana
Daję ci jeszcze jednego hetmana —
Kość z kości twojej. Polonio! Polonio!
Jak mszalne dzwony twoje miecze dzwonią,
Najbezpieczniejszaś ty twierdza!
Żywot twój pełen ofiary a cichy
W morze miłości spływa. Tu pychy
I szumu patrzą — na falach krwi płyną,
Rwą się przez skały, wzgardzili doliną —
Ach, tylko w przepaść spada katarakta!»
Tak Ojciec święty żalił się — i akta
Kanonizacji potwierdza.
Powstali z klęczek Miński wojewoda
I pan Tworowski z Buczacza, krew młoda;
A gdy ich Papież przyciskał do łona
Rzekł drugi: «Twoja potrójna korona,

O Ojcze święty, nie spadnie ci z głowy
Pokąd za tobą stoi ród Piastowy.
Skiń — a twą skargę gdy rozniosę wszędzie,
Wnet tobie Polska na odsiecz przybędzie
I ja i moja załoga buczacka
Na honor świętego Jacka!»
Słuchał go słodki i uśmiechający
W końcu rzekł papież: «Synu mój gorący!
Źle mnie pojąłeś, nic mi nie zagraża,
Żali się tylko mój głos, nie oskarza.
Przy twojej jasnej pokorą Ojczyźnie
Pogasły inne narody jej bliźnie,
Ztąd słowo żalu, bo ich widzę zgubę —
Ty się strwożyłeś o mnie dziecko lube?! —
Błogosławieństwo tobie! — a w niedzielę
Ujrzę was w Piotra kościele.»

2.

Dumał Tworowski: «Rzuciwszy herezję,
Czuję że anioł do nieba mię wiezie.
W dźwiękach modlitwy i w kadzideł dymie
Tonie mi dusza — dobrze mi w tym Rzymie!
Aż żal odjechać; ten staruszek biały
Synowskie we mnie obudził zapały,
Chciałbym mu służyć jak Panu
Do samej śmierci; więc tym głowę biédzę,
Czem go przekonam, że go tak nawidzę.
Gdy dłużej myślę myśli mam zawilsze....
Pójdę! i dam mu to, co mi najmilsze.»
I żeby trudnej kwestji nie odnowił
Zebrał się szybko, wziął co postanowił
I poszedł do Watykanu.
«Mój Ojcze święty,» mówił do papieża,

«Niech ten dar mały tobie nie ubliża;
Wszak nieraz dawniej brano za ofiarę
Od biednych ludzi gołąbeczków parę.
Przyjmże łaskawie, jak ci daję wiernie,
Tę złotą klatkę barwioną misternie;
Pełno w niej ptasząt — z Polski one rodem;
Od jutrzni cudnie pieją korowodem.
By mi tu w szkołach słodkie niosły słowa,
　　Przysłała je matka wdowa.
A ja je tobie tu zostawiam w Rzymie,
Aby ci niosły mej ojczyzny imię.»
A na to papież: «Późne twoje chęci —
Ciebie i kraj twój nie stracę z pamięci —
Biedne sieroty, jak patrzą przez siatkę!
I one także mają czułą matkę.
Gdy ja się cieszę, niechże wszystkich cieszę,
Ja twoją klatkę i bez nich zawieszę —
Złote więzienie otwieram z nienacka:
Bądźcie wolnemi w cześć świętego Jacka!
Głoście ją lecąc przez kraje nieznane
　　Wolnością udarowane!»

— 1855 —

NIEBEZPIECZNĄ.

Ange par l'amour, démon par la fantaisie, enfant par la foi, vieillard par l'expérience, homme par le cerveau, femme par le coeur, géante par l'esperance, mère par la douleur et poëte par ses rêves.

Balzac.

(dedykując Polce Modestę Mignon.)

— Więc ta róża, ta biała, już należy do mnie?
— O nie jeszcze, mój panie.
— Chociaż tańczę skromnie,
Cuda nieraz się dzieją w tej szalonej polce,
Oto w piersi zostały mi tej róży kolce —
Za karą idzie łaska, kwiat idzie za kolcem,
Jeźli niechcą iść w parze...
— Fredro z Bohomolcem!
— Którą rolę grasz pani najlepiéj?
— Złej żony;
Bo słucham, słucham rada, co ptak rozpieszczony
Świegoce, jak świegotać już ma we zwyczaju;
Którym ptakiem pan dzisiaj?
— Dziś....ja słowik w maju!

— Spojrzyj pan, żona pańska patrzy na nas zdala,
Ztąd słyszę jak rozmowy naszej niepochwala
Jej oko choć milczące.
— Nic w niej złego zgoła.
— Cień grzechu już anioła smuci — masz anioła.
— A jam człowiek i grzeszny.
— Widzę ja to, widzę....
Wstydź się mości poeto, wstydź się...
— Już się wstydzę...
A mąż pani nie patrzy?
— Tam gra preferansa.
— Mając żonę tak piękną... Boże! jaka szansa!
Co pani robisz na wsi?
— Co? ja gospodyni!
Hoduję ananasy i myślę o dyni.
Wszędzie, wszędzie mnie pełno, cały dzień się krzątam,
Przeróżnemi rzeczami naraz się zaprzątam:
Smażę soki, kompoty, zlewam je do słojów,
Raz na tydzień w krowiarni pilnuję wydojów,
A czasem się ponudzę, a czasem zasmucę....
Wtedy zwykle z kucharzem o masło się kłócę;
Ja swoje a on swoje — okrutnie uparty....
A gdy słota, a mąż mój wyjedzie na karty,
Albo dalsze z nienacka lustruje folwarki,
To coś dłubię igiełką; widzisz pan te szlarki?
Te, na rękach — cóż ładne? mojej są roboty....
Także z memi kotkami różne stroję psoty,
Białe jak śnieg kocięta... Ja bardzo szczęśliwa!
Żeby pan moje lniane zobaczył przędziwa,
Cienkie....jak włosy pana — ach! a moje kwiaty,
To moje ideały, to tęczowe światy,
Wszystkie a wszystkie własną pielęgnuję dłonią,
Do piekła zaprowadzić można mnie ich wonią,
Zobaczysz pan, zobaczysz, ja tak kwiaty lubię,

Umrę kiedyś z ich woni, kwiatami się zgubię...
— Byle nie białą różą....
Ot, tańcujmy lepiej.

*

— Choć oddychać nie mogę....ten taniec mnie krzepi....
Jak pan tańczysz ochoczo....jakby nie poeta....
— Namiętnie lubię taniec..
— To wielka zaleta!....
Patrz pan! młodsi od pana ledwie się ruszają,
Studenci, dyplomatów poważnych udają....
Że też pan niepilnujesz tak swojej powagi....
— Duch mój jak posąg grecki poważny choć nagi.
— Jakże to uroczyście! jak w jakim dramacie —
— A to tylko w komedji —
— Bośmy na herbacie.
Żona pana zazdrośna?
— Zazdrośna, zanadto.
— Zazdrości, co z miłości, nigdy nie jest nadto.
Cobym ja za to dała, by mąż, co mnie kocha
Bardzo, bardzo — zazdrosnym był dla mnie choć trocha;
Gdzie tam! ani mu w głowie; ciągle gdzieś za domem —
Nie doróżką to konno, nie konno, to promem;
A w domu? to nudnemi rzeczami zajęty,
Już się nawet niekłócę lubię spokój święty —
W lecie: woły na paszy a próżne stodoły,
W zimie: pełne stodoły, na gorzelni woły,
Ot i cała rozmowa — a ztąd dla mnie smutki;
Czy wiesz pan, że złe z tego wynikają skutki;
Z białemi żabotami młodego markiza
Zaczęłam bałamucić...no, tak, tak...narcyza...
Zwykle koło sadzawki siedziałam na ławce,
On u nóg moich klęczał, — ale ku sadzawce,

Zamiast patrzeć mi w oczy, raz wraz zérkał zyzem,
I zakochanym w sobie zbrzydziłam narcyzem.
Znów o mało nie wpadłam w romans z tulipanem,
Zajął mnie swą purpurą i wysokim stanem,
Cóż, kiedy mój królewic w herbie nosił ciołka,
A ja ciołków nielubię; więc ja do fijołka,
Co pachnie jak poezya, a oczy ma skromne,
Niby trochę zamglone, niby nieprzytomne,
I tak sobie romansik prowadzim na piękne....
Czego pan na mnie patrzysz? doprawdy się zlęknę,
Czy co złego mówiłam? myśl się nie natęża
Tańcząc polkę....ja bardzo kocham mego męża;
Przyjedź pan kiedy do nas.
— Jeźli mnie zaślepi
Miłość róży — przyjadę.
— Ot, tańcujmy lepiej.

*

— Już dosyć!
— Lećmy dalej!
— Siądźmy na tej sofce...
— Tam zwykle taniec wiedzie.
— Czasem na manowce —
Nieuważał pan w tańcu, jak mi mocno bije
Serce?
— Kto sercem żyje, ten dwa razy żyje.
— Nie zawsze to iść dobrze za uczuciem szczerem.
— Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem.
— Jak to smutno powracać do domu po balu
Z głową pełną chaosu....pan nieczujesz żalu?
— Ja wrócę do mych dzieci.
— Ach, ja niemam dzieci!!
Nie oglądnie się duch mój gdy z ziemi odleci —
Ja niewiem co bezsenne nad kołyską noce!

Serce moje bezludne, a życie sieroce,
I żadna nie zostanie tu po mnie pamiątka.
O! czemuż choć jednego ja niemam dzieciątka!
Wtenczas choćby po cierniach chodziłabym gładko,
Ta już jest pół-aniołem, którą nazwą matką,
Jabym była aniołem, cnotliwą jak święta....
Cóż robić! z biedy kochać już muszę kocięta
Kiedy niemam nikogo. Stworzeńka dowcipne!
Czasem zła jestem, ach, zła... więc kotka uszczypnę
I w dobry wpadam humor, tak to się naszczurzy.
Nieuważał pan nigdy jak się kotek chmurzy?
O! to bardzo zabawne. Jednego mam kotka
Cudo! taki rozumny, ledwie nie szczebiotka,
Pojęciem jak natchniony, a jako myśl wartki;
Kiedy czytam na rozkaz odwraca mi kartki....
Czytałeś pan Lirenkę? jakże pisze ślicznie
Lenartowicz! — tak jakoś miodno, balsamicznie,
Jakby siedział pod lipą, a do jego skrzypki
Spływały brzęki pszczółek, woń kwiatu, miód lipki;
A przytem takie nieraz wydobywa tony
Jakby grały kościelne w całej Polsce dzwony.
Ja na jego Lirence co wieczór się modlę....
Mój mąż czytać nielubi, on ciągle na siodle —
Mówi, że dla próżniaków nie zły wynalazek;
Ślepemu nie przedstawi natury obrazek!
No, kiedy pan przyjedziesz?
— Z różą czy po różę?
— Na pogodne me czoło sprowadzasz pan burzę,
Burzę....jak mamę kocham, pono się odczepi....
Weź pan ją.
— Podziękuję.
— Ot, tańcujmy lepiej....
..muzyka ustała....pięknie! w samą porę!
ly już swoje palce wysunęłam skore —

Tak bywa i fantazjom moim, jeźli szpetnie
Nieznośna rzeczywistość w pół drogi je przetnie....
Schowaj Pan! żona pana ot ku nam się zbliża.
Mąż pani, to znajomość moja aż z Paryża,
Gdzie pono z nas obojga niezrobiono ryżu,
I mówiliśmy właśnie wiele o Paryżu....
O! jakże ja szczęśliwa, żem poznała panią,
Jak za snem pięknym zdawna już tęskniłam za nią,
Jak gwiazdy jej szukałam — tak słodkie zjawisko
Czy radość mi przyniesie?... mieszkamy tak blisko.....

*

Zbudziłem się — nademną moja bladolica
Jak lilja nad zmąconem zródłem się kołysze:
— O czem śniłeś? twarz twoja dotąd się zachwyca
Rozkosznem przypomnieniem.
— Ach! grzeszyłem we śnie.
— Cóż takiego?
— Czarowna ot rozstrzepanica
Bałamuciła ze mną.
— Czy zbudziłam wcześnie?
— Już pierzchło: widzę Ciebie!
— Piękne rzeczy słyszę —
Więc za karę opiszesz to wierszem —
— Opiszę.

SĄD MATEK.

Od cesarza Francuzów przyszły słowa zdradne:
«Lecę jak zamach miecza, śmierć niosę gdzie padnę,
A w mej żelaznej dłoni trzymam wieńce darów;
Spieszcie się syny Polski do moich sztandarów,
Bo ja spieszę!
Jeźli wielką ofiarą spłoniecie od razu
Hojnie pobłogosławię waszemu żelazu;
Jeźli stanie żołnierzy trzydzieści tysięcy,
Choć trzydzieści tysięcy, jeżeli nie więcej,
Kraj wam wskrzeszę!»
Ojczyzna! za ojczyznę! — rośnie krzyk po kraju,
Rwą się dzieci do broni po ojców zwyczaju,
Po drogach tętnią konie, huczy śpiew wesoły,
Przy drogach siedzą matki, stroskane anioły,
I tak płaczą:
«Ach, trzydzieści tysięcy — na pastwę armatom!
Ach, trzydzieści tysięcy — próżni naszym chatom!
Ach, trzydzieści tysięcy przekleństw w ich omroczy!
Najmłodsi i ostatni! już was nasze oczy
Nie obaczą.

Ślepi, głusi wołają o tobie: tyś wielki!
Ale my się radziły Panny Zbawicielki,
Matki o jasnem oku; wołamy: tyś krwawy!
W burzy, co światem miota, prócz dumy i sławy
Czego szukasz?
Rozrzutnie postępujesz sobie z krwią ofiarną,
A ludom, co z ufnością do ciebie się garną,
Widmo przyszłej wolności rzucasz na zadatek;
Cały świat oszukujesz — ale ty serc matek
Nie oszukasz!
Mijają nas, nie słyszą — bądźcie, bądźcie zdrowi —
Pozdrówcie starszych braci pod Trebią, pod Novi,
W San-Domingo!...»

W PARYŻU.

Raz mnie burza młodości zaniosła daleko —
Aż do onego miasta kędy po nad rzeką
Na zapłakanych wierzbach polskie harfy wiszą;
A w ich cieniu harfiarze siedzą i kołyszą
Głowy w dłoniach wyschniętych. Kiedy zmrok zapadnie
Schodzą się pod zielone szałasy gromadnie
Współwygnańcy, ich bracia młodsi choć rówieśni,
I wołają: «ach pieśni nam dajcie, ach pieśni!
Wstańcie wieszcze! i palce rozpuśćcie po lutni,
Źle nam bardzo, strudzeni jesteśmy i smutni,
Słowa wasze choć losów naszych nie przełamią,
Wzdy niech nam prorokują zbawienie — niech kłamią!
Niech głoszą, że ojczyznę niebawem ujrzemy,
Ciesząc się, wybierając się w drogę — pomrzemy!»
Oni nie dali temu odpowiedzi słowu
Podnieśli tylko oczy łez pełne — i znowu
Każdy z nich zakamieniał ku wodzie nachylon...
Nad nimi wre i huczy szalony Babilon.

DO MŁODEGO POETY

ADAMA P.

Młody mój druhu, polski lutnisto,
Witam cię sercem całem,
Pieśnią swą wodzisz wzniośle a czysto,
Ze łzami a z zapałem.

I jesteś jako niwy podolskie
Nadzieja dzieci, wdów - matek:
Tak pełny w ziarno jak żyto polskie,
A skromny jak bławatek.

Prawie rowieśny, gdy jednak noszę
Skroń doświadczeniem blade,
Pozwól, że w twoje wieszcze rozkosze
Poważne rady kładę.

W proroczym ogniu utoń na zawsze,
Wszystkiego szukaj w swym duchu,
A bądź ze stali na chwile krwawsze,
Złoty, na jasne — mój druhu!

W życiu i w pieśni nie błądź po światach,
Hamuj się w górnym locie:
Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość — w prostocie!

Bo na tym świecie wszystko się miecie,
W dolinę klęśnie góra,
Tylko trwa-stale to boskie dziecie,
Wieczna, niezmienna: Natura!

Kto ją ukocha, temu rozpowie
Swe cuda z uczuciem szczerem,
A powiernika tego świat zowie
Szekspirem lub Homerem.

A po te cuda sięgaj głęboko,
Powagę z miłością ożeń,
Niech się twe myśli jak chmiel nie wloką,
Niech jak dąb puszczają korzeń.

Kuglarskie wieszczby których gmin słucha
Rodzi lot ptaka, obłoków —
Z pieczar to ziemi i z pieczar ducha
Szły głosy boskich proroków.

Żegnaj więc druhu, żegnaj na schodach
Kędy zstępują cyklopy —
Tam po krużgankach w twoich pochodach
Napotkasz ślady mej stopy.

Tam cię ogarną dreszcze przestrachów
I bole rodzicielki,
Ale jak Dante wyjdziesz z tych gmachów
Ponury, blady — i wielki!

A po tych trwogach i po tym bolu
Gdy wyjdziesz z duszą młodą,
Szybko cię słońce na polskiem polu
Złotą rozjaśni pogodą.

I jak ja wtenczas siądź sobie skromnie
Pod lipą czarnoleską,
A będzie tobie jak jest wkoło mnie
Jasno, spokojnie, niebiesko.

I z kosarzami idź w łąkę na tło,
Idź do chat śniegiem zawianych,
I młodszych braci wywodź na światło
Wzgardzonych i zapomnianych!

Nigdy nie pragnij sławy od świata,
Świat ten zawistny i płochy;
Ona cię sama jak Cyncynata
U prostej znajdzie sochy.

DO MOICH PRZYJACIÓŁ.

(Odpowiedź na wiersz J. C. Z.).

Wielu was nie mam! choć pamięć zliczy
I śpiące w mogiłach kości;
Wielu was nie mam! — Kiedyż nas wiele?
Rycerzy ducha, o! przyjaciele,
Tryumfatory a bez zdobyczy —
My zawsze będziem w mniejszości!

Śród szmeru dziejów, ileż jest głosów
Gromowych, ognistych, lotnych?
I nas nie wiele — bośmy i lepsi!
I nas nie wiele — bośmy i krzepsi!
Na korczowisku cały łan kłosów,
A dębów kilka — samotnych!

Sporni, słoneczni ho! z nas orłowie,
Urąga nam świat ślimaczy,
Od Nazaretu dawniej nas zwano,
Dzisiaj wy wiecie jakie nam miano,
A gdy tem mianem świat się nazowie,
My się nazowiem — inaczej!

My śpiącym wiecznie bijem na trwogę
Bezsenni z Tytanów rodu,
I wiecznie walczym w zbłąkaniu męztwa,
Bo dla nas żywych niema zwycięztwa,
Ciałami tylko tyczymy drogę
Do Jerozolimy grodu.

I wiecznie dążym krwawym pochodem
Do Jerozolimy grodu!
Ruszać się nie chce ten świat leniwy,
Bo on w spoczynku tylko szczęśliwy —
Więc sarka na nas. My idźmy przodem
Z narodem lub bez narodu!

Z płomiennem sercem, z gwiazdą na czole
I z wiarą która się ziści,
Przodem a śmiało! choć serce pęka,
Choć nas niejedna wstrzymuje ręka,
A tam pod nami niech głuchną w dole
Swary, potwarze, zawiści.

*

Takiem ja słowem na twój głos budzący
Mój odzew daję — bom czujny, nie śpiący,
Chociaż nie brzęczę brzeszczotem.
Choć niewidomie ciągle z wami idę,
Wyżej chmur ziemnych niosę moją dzidę
Z błyszczącym od słońca grotem.

— 1856 —

DO LAMARTINA.

Widziałem cię! wtedy niosły cię głów ludzkich fale,
Ty spokojny, uśmiechnięty w natchnieniu i chwale,
Ku tobie szły głosy, oczy, ręce twego ludu —
On jak ołtarz rozścielony, ty nad nim — mąż cudu!

Tak płynąłeś przez ulice na żywym rydwanie,
Wciąż witany grzmotem głosów: Wieszczu nasz! Kapłanie!
A w tej chwili gdy poetę wynosił i chwalił,
Lud przeliczał trupy bratnie — w środku tron się palił!

Na przemiany rozszlochany, to znowu płomienny,
W twym pochodzie tryumfalnym szedłem niby senny,
A łza moja, a krew moja tobie błogosławi,
A duch głośny krzyczy we mnie: On nas — on nas zbawi!

I lud pyta: gdzie go ponieść, wodza Tyrteusza?
«Tam na gniazdo naszych swobód, tam gdzie nasza dusza:
Do ratusza! do ratusza! — A gniazdo bezwstydów,
Dom królewski, niechaj idzie na dom inwalidów!»

I wnieśli cię na Kapitol, świata przewodniki,
I zrobili cię przewodźcą wielkiej republiki,
I oblekli cię synowskiej miłości szkarłatem
I krzyknęli: Ztąd rządź nami — a przez nas, rządź światem!

A potem krzyż z domu króla obłudnego wzięty,
Krzyż na którym wisiał Chrystus biały i rozpięty,
Obnosili między tłumem, co uchylał czoła,
I z milczącą pobożnością wnieśli do kościoła.

I modlili się: My Twoi! błogosław nam Chryste —
Patrz na ręce nasze czyste, na zamiary czyste,
Niech Cię obraz nie przestrasza dawny, senny, dziki,
Boś Ty Panem teraźniejszej naszej Republiki!

O narodzie Heraklidów, o dzieci półboga!
Gdy was widzi poruszonych, Boga zbiera trwoga!
Co was pędzi? — Oni pragną, o czem inni nie śnią,
By ich dzieje były jedną bohaterską pieśnią.

Ty śpiewaku Żyrondystów, ty wiedziałeś o tem
Gdy śród nocy uciszonej a samotny potem,
W ukorzeniu, w którem z duszy ustępuje mraka,
Rzekłeś: «Boże! wiem dla czego wybrałeś śpiewaka!

Wiem że boża Republika to jak wielostrunna
Harfa, która zawsze dźwięczna, choć czasem piorunna,
Że jej struny jednym strojem grać winne pospołu —
Czy te krótkie, czy te długie — czy z góry, czy z dołu.

I wiem także, że wystarcza, aby harfę oną
Oprzeć tylko o pierś ludzką czystą i natchnioną,
To już po niej sam duch boży na akordy wieje
A wyśpiewa ona światu miłość i nadzieję.»

Tak mówiłeś — ale mylnie mówiłeś w tym względzie,
Że wódz ludu, to oparcie na śpiewne narzędzie;
Bóg natchnienie tylko daje — na harfie nie brzęka —
A z natchnienia Słowo idzie, a za słowem — Ręka!

Więc gdy chcący lepiej przejrzeć swych przeznaczeń tonie,
Na olśnione swoje oczy położyłeś dłonie,
I wpatrzyłeś się w te głębie gdzie świat ducha cały:
Przed oczyma twojej duszy dwie postacie wstały.

Jedna miała uśmiechnięte i anielskie lica,
A w jej ręku czysty, jasny miecz jak błyskawica,
Co śród ludzi moc niebieską i powagę szerzy
I przestrasza — choć na tysiąc w jednego uderzy.

Poglądając na anielskie w mieczu bohaterstwo,
Druga postać sine usta skrzywiła w szyderstwo,
A z jej ręki, co się wije jak gadzina wązka,
Wysunęło się jej żądło: oliwna gałązka.

O! są chwile, w których głosy by zgłuszyć zwierzęce
Świętem graniem harfy bożej — słabe ludzkie ręce;
Wtedy mieczem bij po strunach, bij nakształt pioruna —
Mniejsza, jeźli pęknie jakaś zardzewiała struna.

Ach! dla czegóż tym postaciom nie spojrzałeś w twarze —
Byłbyś przyjął znak zwycięztwa, miecz anielski w darze;
Ach! dla czegóż cię uwiodły obłędy pozoru —
Byłby dzisiaj świat szczęśliwszy od Twego wyboru.

Bo ty śpiewne Republiki narzędzie przedziwne,
Ustroiłeś wraz z swą skronią w gałązki oliwne,
Opasałeś je trójbarwną wyszarzałą szarfą
I oparłeś o pierś czystą — i usnąłeś z harfą!

NA GROBIE.

Biały nasz anioł z aureolą złotą
U tronu Marji chwieje się tęsknotą,
Czeka z niebieskiej wychylony bramy —
My tu czekamy.

O Marjo Panno! tęczo bożej łaski!
Tęskniące dziécie otul w swoje blaski,
A nam niech widok niebiosów zasłania
Chwile czekania.

DO MEGO BRATA ADOLFA.

Niechże cię ręką ze łkaniem okrążę,
Bolesny węzeł znów silniej nas wiąże,
Dwoje ich znikło — a my już jak sami!...
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Trumna przy trumnie, tak śpią sobie cicho —
Tu świat nad niemi wre krzykiem i pychą,
One się śmieją niebieskiemi snami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

A gdy im domek rodzinny się przyśni
Chylą usteczka jak wiśnię ku wiśni
Zroszone łezką — tulą się rączkami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

No ciszej, ciszej!... one się kołyszą
Teraz nad nami, gdy płacz nasz posłyszą
To jasne czoła im chmurka poplami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Wzleciała jedna i w dół rączką kiwa:
«Chodź tu siostrzyczko, ja bardzo szczęśliwa!»
Ach, toż im szczęścia niemieszajmy łzami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Kłopotne życie a długie o! długie,
My je wysłali, ja jedno, ty drugie,
I święciej teraz pójdziemy cierniami:
Aniołki nasze modlą się za nami!

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziécie, dziéwcze pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziécie moje?
                    — Sława Bogu!
— Na wiek wieków — co chcesz dziécie moje?
— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!....
— Pies ten złego nierobi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ta niczyja —
          —. A gdzież matka?
                    — Zmarła maty.
— A twój ojciec?
          — Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
          — Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą a czasem niedadzą;
W zimie często do piérza posadzą,

Teraz nie....Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami...ot! człowiek biéduje....
— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła —
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie —
To ty dziécie, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta, chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O! o! bardzo głodna...

*

O ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci niemasz chleba!...
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny ach! bo nieszczęśliwy.

O ty ziemio polska! ty zawodna!
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,

Kwietnę twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale niemasz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umié, już się skarzy,
I o grobie niby starzec marzy....
O ty ziemio! ty macocho gminu!....

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź mój synu!
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

DO N. B.

Nieznani, zdaleka pozdrówmy się mile
W dwa akordy pieśni,
Obydwa na wielkiej stoimy mogile,
Braciaśmy boleśni!
Swiat nam wlewał w dusze różne zdroje hojne,
Dziś już pełna waza,
I leją się teraz nam pieśni spokojne
Z łez, z ognia, z żelaza!

CZY WY MNIE ZNACIE?

Wy mnie czytacie, wy mnie chwalicie,
A tak wam ciemne poety życie,
Wam się wydaje, że on w obłoku
Ptak, co ludzkiemu gdzieś znika oku;
A jego ziemia tak jak was więzi,
Jemu najmilej na tej gałęzi,
Gdzie jego gniazdo wisi włosienne,
Gdzie jego radość i troski dzienne.

On jeźli światu goruje w locie
To on samotny, to on w tęsknocie;
Jakże on chętnie wtedy się zniża
Do kościelnego w swej wiosce krzyża.
On nieraz skrzydła bujne opuszcza
Dla zielonego na łące kuszcza,
A cóż dopiero, jakże on leci
Do swojej ptaszki, do swoich dzieci.

Odkąd ja dolne pokochał niwy,
Odtąd ja lepszy, odtąd szczęśliwy;
Odkąd ja górne porzucił jazdy,
Już mi na ziemi palą się gwiazdy,

Ojców mych dzieje jak mleczna wstęga;
Stojąc, skroń moja do Boga sięga;
Wszystko się w moim gromadzi słuchu,
Wszystko ztąd widzę — pokorny w duchu.

Czasem się w loty dusza wyprosi,
Wtedy ją ciemna burza unosi;
Na oceanu zdradliwej wodzie
Walczę z falami — ho, na swobodzie!
A niżej lśni się strumień mej wioski
I dzwonią od niej mych dzieci głoski....
Kończy się walka i burze cichną,
Kiedy się dzieci do mnie uśmiéchną.

W CISZY.

Słońce się zniża — niebo pogodne
I zwierciadlane jak szyby wodne,
    A wieczór jak sen spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny,
On bez nazwania — co ten świat niski
    Stroi jak dziecko własne
W srebrne obsłony, w smaragdów błyski,
    A rankiem w kwiaty jasne.

Do koła wzgórza zieleniejące
A w dole łąka — na gładkiej łące
    Ciemniejsze łóz arabeski.
A wszędzie taki spokój niebieski!
Że mi się zdaje, że tu jest Eden,
    Że w miejscu wczoraj stworzonem
Pierwszy żyjący stoję sam jeden
    Pod szklannym niebios dzwonem.

Sam? sam? sam tylko! — Dusza się zlękła
Tego sieroctwa . . . ot, muszka brzękła!
    Ot, ptak poleciał przez liście!

Ot, ścieżka czeka na czyjeś przyjście!
A tam na polu ludzie bieleją,
Ot, i dolata ich śpiewka!
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
Ot, chata! ot, cerkiewka!

Pełno nas, pełno na bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie —
Ile każdemu potrzeba
Znajdzie się zdroju, cieni i chleba;
Jednego Ojca jedne my dzieci
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci
I równa nam opieka!

Piękna ta ziemia i żyć w niej pięknie!
Aż łza się kręci, aż dusza mięknie
Pełna miłości i zgody;
I świat ten pewnie tak jak ja młody,
I miłujący jak ja i zgodny,
I czuje rozkoszy dreszcze,
W czyste natchnienia na zawsze płodny
Jak moje serce wieszcze!

KIEDYŚ — KONAJĄC.

O! raz ostatni patrzę na tę ziemię,
Kędy od wieków chodzi moje plemię
We krwi a słońcu. Oczy we łzach mokną —
Szkoda mi Polski! — odsłońcie to okno —
Niech na nią patrzę, choć ją pożegnałem —
O! raz ostatni tę ziemię widziałem!

Ranek pogodny — z doliny mgły wstają
Kościelne dzwony nowy dzień witają —
Chórami ptactwa tam dzwoni dąbrowa...
Ojczyzno moja, bądź zdrowa!

Dla żyć mających przeszła już noc krótka,
Tam po obozach brzmi ranna pobudka...
Z pługami ciągną wieśniacy na niwy...
Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

PRZEPIÓRECZKI.

Niech będzie co będzie,
A pióra niewstrzymam w serdecznym rozpędzie!
Pochwalić ja muszę dwie białe dziéweczki,
Jak duch mój samotne,
Jak moja myśl lotne:
W Perepelnikach to dwie przepióreczki.

Głos słodki przy głosie
A w niebo aż dzwoni — choć nisko, choć w prosie,
I leci na pola, na łasy, na rzeczki —
A gdzie je posłyszą,
Szanują je ciszą,
W Perepelnikach te dwie przepióreczki.

Przy żniwie a w pracy
Bieleją w swych płótnach cierpliwi wieśniacy,
Na bożem to polu pokorne owieczki;
Weselsi gdy z rosą
Pociechę im niosą
W Perepelnikach te dwie przepióreczki.

A tam przez manowce
Po grudzie a w trudzie tłumią się wędrowce,
O ścieżki bezcelne wnet rwą się do sprzeczki;
W tem głosy gdzieś dzwonią,
Dłoń wiąże się z dłonią:
W Perepelnikach to dwie przepióreczki.

I z całych okolic
Pytają: zkąd głosy? — To głosy jasnolic,
To głosy pieszczone moich kuzyneczek.
O moja ty Polsko!
Tyś harfą eolską,
Dopokąd masz gniazda takich przepióreczek.

— 1857 —

DLA SYNÓW ŚWIATŁOŚCI.

Synu światłości! ty sam wiesz jak często
Twa dusza chmurą okrywa się gęstą.
O synu lotu! ty sam sobie świadkiem,
Gdy cierpisz grzesznym zniżony upadkiem.
Napróżno w tobie rzutna duma rwie się,
Bezskrzydlna, ona nie unosi ducha;
Co cię rozjaśni, co ciebie podniesie?
Skrucha!

Módl się! i uderz o ziemię kolanem,
Boś głupi, nizki, ułomny przed Panem;
Obmyj się łzami gdyś zwalany błotem,
Zatęsknij z ducha za światłem i lotem,
A wtedy spłynie wnet na ciebie łaska,
Wnet cię otoczą niebieskie promienie
A czoło twoje ozdobi przepaska:
Natchnienie!

I staniesz silny przed swoim narodem,
Choć tobą wzgardzą, powiedziesz go przodem!
Nic nie odbije twojego oręża,
Moc słowa twego gnie, łamie, zwycięża!
Więc ty olbrzymie zginaj się przed Panem
Abyś nie upadł jak upadłeś wczora —
Wiedz, że nas trzyma na wzgórzu świetlanem:
Pokora!

ORŁY I SŁOWIKI.

Dawniej o dawniej, tyle orłów było!
Czy to nad zamkiem, czy to nad mogiłą
Zawsze hetmański ten ptak się unosił
Lotny, krzyczący — ho! bo chwałę głosił.
Dziś ich napróżno szukać na błękicie —
I ja, co wiodę roztęsknione życie
I patrzę w niebo — raz orła widziałem —
A leciał cichy i skrzydłem nieśmiałem.

Lecz zato, ile razy nad wieczorem
Wyjdę samotny ścieżką po nad borem,
Mnóstwo słowików słyszę. Takie mnóstwo,
Czy to bogactwo nasze, czy ubóstwo?
I pytam: Czy płaczący chór słowiczy
Już moją ziemię na zawsze dziedziczy?
Wiecznież o mroku ta pieśń kwilijąca?
Jabym chciał orłów słyszeć — przy wschodzie słońca!

I duch narodu miał orłowe krzyki —
A teraz co? Poszedł na słowiki.
Śpiewają piewcy z miłością, z nadzieją,
Dla czuwających przez całą noc pieją,

Tylko sarkają senni na te ptaki
I tylko szydzą z nich nocne hulaki;
Lecz gdy się brzaski jutrzenne oznaczą
Słowiki ścichną — a orły zakraczą!

O bracia orły! o bracia rówieśni!
Wstańcie! bo koniec już słowiczej pieśni!
Rozwińcie skrzydła — do lotu, do lotu!
Ja wam zaśpiewam pieśni chwały i grzmotu!
Krzep się mój duchu, nie leń się, nie wczasuj,
Krzycz mi jak trąba i jak dzwon hałasuj!!

PROLOG.

WYGŁOSZONY PRZY NOWEM OTWARCIU SCENY POLSKIEJ WE LWOWIE W R. 1857.

(Scena przedstawia świątynię, w której dwa nagrobki; na jednym napis: Wojciech Bogusławski, na drugim: Jan Nep. Kamiński. Z głębi, szeroką bramą wchodzi chór w kostiumach teatralnych; ten dzieli się na dwie części i staje po obu stronach sceny z przewodnikami na czele — potem wchodzi:)

KAPŁANKA.

Witam was, witam — serce moje rośnie
Jak kwiat ku wiośnie.
Pójdziemy znowu dawnym naszym torem
Kochani i kochający!
Z zapałem będziem dźwigać brzemię trudu,
Choć nieraz serce cierpi pod bisiorem...
A Ty Wszechmogący!
Spraw by ta scena stała się dla ludu
Szkołą i wzorem.

Niechże ta scena wciąż świętością stoi,
Kiedy się zowie świątynią;
Niechaj tu Czysty wchodzić się nie boi,
Niechaj nas matki nie winią;
Niechaj tu żaden z niewinnych młodzieńców
Nie kryje w dłoni rumieńców;

Niechaj dziewice usta swoje milą
 A nigdy oczek nie chylą.
A ci, co słabi, niech wychodzą krzepsi,
A ci, co grzeszni, niech wychodzą lepsi.

Wy, którym tutaj przebiegło życie
I w dobrej cześci z dawna nosicie
 Kapłańską odzież,
Myślcie i o tem, że przyjdą wnuki,
A wy pomrzecie; przy was dla Sztuki
 Niech rośnie młodzież.
Chętnie podnoście ją radą i pracą,
 Niechaj się przy was bogacą;
Niech ich nie dzielą drobne niesnaski,
Niech od was przyjmą złote przepaski
 Czyści, natchnieni, szlachetni;
Bo kiedy po was uderzą w dzwony,
By nie powiedział lud rozżalony:
 Oto pomarli — bezdzietni!
(wskazując na nagrobki)
Oto imiona dwóch wodzów, dwóch mężów,
 Dwóch bohaterów, choć bez orężów,
 Jedno i drugie jak pała
 Blaskiem nieśmiertelnym!
Całe ich życie szło walką i męztwem —
A jak skończyli? — Zwycięztwem!
 Bo niedołężny tylko upada,
 Niedołężnemu tylko tu biada,
 A wieczny tryumf i chwała
 Wytrwałym i dzielnym!

Ci wasi mistrze, te wasze przodki,
Nie większe od was dzierżyli środki,
 A zwyciężyli, a zwyciężyli —
 Bo wiarą żyli!

Każdą zaporę,
Każdą przekorę
Wiara roztrzaska!
W wierze potęga
Gdy siły sprzęga,
Dla wiary — łaska!
Sojuszem bratnim w dłonie uderzcie
I wierzcie!

(Do chóru.)

A wy nowo zaciężni pod nasze sztandary
Natchnienia i wiary,
Nie myślcie, że ta scena ma gładkie posadzki
Do wesołej schadzki —
To dom ofiary!

Bo słowa wieszczów
Jak łzy padają,
Z duchowych dreszczów
Powstają.
Wieszcz co je wyda, rodzi je w boleści,
On cierpiąc — wieści;
Jednak szczęśliwszy, bo gdy pieśń dojrzewa
To ten ból — co śpiewa,
Swobodnie spłacze;
Ale wy biedni jego słów siewacze,
Wy je nieraz powtórzycie
Śmiejąc się i skacząc,
Choć w sercu płacząc
Gorzko i skrycie.

Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Mieć musi potęgę w duszy,
Co się nie złamie, nie skruszy.

Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Musi się zaprzeć siebie —
W piekle żyć nieraz i w niebie!
Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Niechaj o zysku nie marzy —
Bóg wynagradza, świat — darzy.
Kapłaństwo nie jest rzemiosłem!

Może was wabi świetny strój,
Sceniczny żart i śmiéch,
Pokłask, co idzie z nim?
Na stroju waszym — szych!
We śmiechu nieraz — grzéch!
A poklask taki — dym!

Na bój pójdziecie, na bój!
Natchniona w duchu, ja mówię z ducha,
Błogosławiony kto słucha —
Na bój pójdziecie, na bój!

Będziecie walczyć z upartym losem
I z nędzą może — choć waszym głosem
Klejnoty będziecie rzucać.
Sami w cierpieniu nieraz upadać,
Choć według woli sercami władać
Weselić i zasmucać.
A w końcu waszej podróży dalekiéj,
Może was czeka — starość bez opieki.

Dawniej Moliera w święconej ziemi
Nie chciano grześć —
Teraz my równi między wybranemi —
Jak bohaterom natchnienia i czynu
Wolno nam liście wawrzynu
Na czole nieść.

Jeźli więc kogo wyniesie Sztuka,
Niechaj już szerszej sławy nie szuka,
    Najtrwalsza, co w narodzie!
U nas ofiara już we zwyczaju —
Toż zaszczyt służyć takiemu kraju,
    Choćby o głodzie!

(do publiczności, stanąwszy na proscenium)

Cóż do Was powiem? Wam, co czujecie,
Piękne i Dobre — jak nikt na świecie,
    Cokolwiek powiem — Wy wiecie!
W zamgloną przyszłość, co przedemną płynie
    Z wesołem sercem lecę,
Narodowego słowa świątynię
    Waszej oddając opiece.

(Grupa oświetlona. Z za postumentów nagrobkowych podnoszą się duchy z twarzami zakrytemi i wyciągają ręce błogosławiące. Zasłona zwolna spada.)

— 1859 —

KOŁYSANKA.

(do muzyki I. C. Kesslera: Chansonnette de berceau.)

Luli senny mój aniołku,
   Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
   Spuszczam słodką łzę.
Granicami twego świata
   Moich ramion dwoje,
Wieńcem czarów cię oplata
   Drżące serce me.

Ach tam na świecie
   Gdzie bój i gwar,
Tam się rozmiecie
   Twój piękny czar;
W sercach się kładą
   Tam gad i jeż —
Choć ranny zdradą:
   Kochaj i wierz!

Luli senny mój aniołku,
Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
Spuszczam słodką łzę.
Cicho, miękko tobie dźwięczy
Pieśń, którą cię koję,
A łagodnym blaskiem tęczy
Płoną oczy me.

Ach tam za ścianą
Ni dnia bez chmur,
Zdrój — poi pjaną,
Drogi — śród gór.
Ty wytrwaj w życiu
O synu mój —
Przy gromów biciu:
Módl się — a stój!

Luli senny mój aniołku
Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
Spuszczam słodką łzę.
Niech nie trwożą cię w twym niebie
Matki niepokoje;
Sama spłaszam je od ciebie
Jak komary złe.

W ALBUM Z. R.

Ciebie chcą ściągnąć na ziemię
Nitko z przędzy Matki Boskiéj,
Na tobie chcą wieszać brzemię:
Walk powszednich marne troski.

Ty wiej się dalej błękitem
Po nad nasze smętne wody,
Po nad biednych ludzi żytem —
Zwiastunko długiej pogody!

Ty wiej się dalej nad nami,
Biała, lśniąca, w ciągłym locie —
Czasem się uwieś myślami
Na moim samotnym płocie.

Nazwą ciebie pajęczyną,
Lecz ja człowiek z prostej wioski
Wiem, że jesteś nad krainą
Śliczną przędzą Matki Boskiéj!

— 1860 —

MARSZ POLSKI.

1.

W górę serca i czoła! noc się czarna rozsłania,
Z bożej dłoni, co wskrzesza, idą blaski zarania,
I ta Święta, o którą moc szatańska się starła,
Drgnęła w grobie i mówi: Spałam tylko, nie zmarła!
Razem, razem, odrzućmy grobnych głazów ostatki —
Precz! precz! — Ach, widne już oblicze tej Matki!

2.

Wstaje ze snu strasznego a chwiejąca i blada,
Niby spojrzeć się boi — a uśmiecha się rada;
Jakże wiele jej obce! i nie wszystko poznaje —
Te dwa morza to twoje i te grody i kraje!
Prędzej, prędzej, niech biedna o swych dzieciach się dowie —
Krwi! krwi! z żył wszystkich na jej szczęście i zdrowie!

3.

Wiele było goryczy między braćmi rodnemi,
Spór my wiedli o ziemię, spadkobiercy bez ziemi;

Najprzód ziemię odzyszczem, potem stanie zagroda,
A w zagrodzie swoboda — gdzie swoboda, tam zgoda!
Ramię w ramię ty Lachu, ty Rusinie serdeczny —
W bój! w bój! a błyskaj jak miecz jeden dwusieczny!

4.

To na stany, na wiary nas bezładnił ład stary:
Kto dziś w Polskę nie wierzy, ten bez stanu i wiary!
Nas niewola zrównała a nadzieją my spolni,
Nazywano nas różnie — my nazwiemy się: wolni!
Ramię w ramię herbowni, izraelscy, siermiężni —
W bój! w bój! my jedni, jeźli wszyscy orężni!

5.

Z potępionych przez naród dziś niejeden rozpacza —
W górę serca i czoła! Polska wszystkim przebacza!
Do nas bracia zbłąkani, do naszego tu łona,
Na czas smutku i grzechów niech zapada zasłona!
Przodem, przodem, na sławę rwij się dziatwo niesławy —
W bój! w bój! tam zmyje plamy wasze chrzest krwawy!

6.

W polskiej Wierze kto wytrwa, ten zwyciężył i dopiął;
Co nam stanie zawadą — w gruz niech idzie i popiół!
Miłość naszym orężem, lecz gdzie zdrada lub opór,
Tam nam miłość w jad przejdzie — oręż zmieni się w topór!
W pochód, w pochód, a wszystko co dziś stanie przed nami —
W proch! w proch! się zetrze pod miljonów nogami!

7.

O ty Polsko, o nasza! przez pokutę natchniona,
My na tarczach cię wzniesiem krzycząc światu: To Ona!

To zwiastunka miłości, gwiazda szczęścia dla ludów,
To królowa bez koron, wiecznych ofiar i trudów.
Naprzód, naprzód, anielska, nasza apostolska —
Bóg, Bóg, Bóg z nami! tam gdzie walczy Polska!

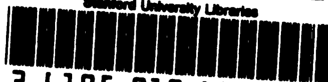
Jassy.

— 1864 —

OSTATNIA STROFA.

Na ziemi mogił pogasły ognie,
Słychać w ciemnościach syk węży --
Cięży nam ręka straszna, o cięży,
Lecz nas nie złamie, nie pognie!
Nie płacze naród na trupie syna,
Choć z niego proch i glina.
Gdy przyjdzie pora
Jutro jak wczora
Proch — na proch weźmiem, glinę na ołów —
Pożary wstaną z popiołów!

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.


Stanford University Libraries
3 6105 010 629 488

